

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

STYCZEŃ 2015/1



GOŚĆ SPECJALNY:

TOMASZ
CZARNY

www.magazynhisteria.pl

DRZWI | HORROR DOMU RACZYŃSKICH
INCYDENT NA WSI | KAŻŃ
MUCHOŁÓWKA | NOWE WŁOSY PAULINY
PIWNICA | POŚWIĘCENIE | PROKLATA TRIJCA
ZEGAR ŚMIERCI

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
DRZWI	Antoni Nowakowski	5
HORROR DOMU RACZYŃSKICH	Paweł Cieliczko	20
INCYDENT NA WSI	Jakub Branicki	35
KAŻŃ	Krystian Janik	49
MUCHOŁÓWKA	Karol Mitka	66
NOWE WŁOSY PAULINY	Dariusz Kick	75
PIWNICA	Mariusz Wojteczek	92
POŚWIĘCENIE	Tomasz Czarny	108
PROKLATA TRIJCA	Edward Horsztyński	115
ZEGAR ŚMIERCI	Agnieszka Kwiatkowska	131

Redakcja: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki i skład: Roman Panasiuk

Ilustracje: Roman Panasiuk, Paweł Chmielnicki

Korekta: Dagmara Adwentowska

email: magazynhisteria@gmail.com

Witajcie!

To już szósty numer Histerii, a pierwszy w nowym roku. Dwanaście miesięcy temu przeprowadziliśmy burzę mózgow w skromnej redakcji, zastanawiając się nad nazwą magazynu. Kiedy padło słowo *histeria*, wiedzieliśmy, że to jest to, czego szukaliśmy. Oczywiście nikt z nas nie miał na myśli „duszności macicznej”, a raczej potoczne znaczenie tego słowa.

Wartki strumień wspomnień popłynie w marcu, kiedy ukaże się rocznicowy numer, pełen niespodzianek, nad którymi już intensywnie pracujemy.

Obecne, styczniowe wydanie ujrzało światło dzienne w 206. rocznicę urodzin E.A. Poe. Kto wie, może kiedyś, gdy większość z nas zabierze śmierć, świat literacki będzie hucznie obchodził urodziny pisarza, który debiutował na łamach naszego magazynu? Może będzie to jeden z autorów-laureatów naszego PO(E)dejrzanego konkursu na horror detektywistyczny? Dwa zwycięskie opowiadania i jedno wyróżnione możecie przeczytać w tym numerze. Co jeszcze na Was czeka? Nie chcemy odkrywać wszystkich kart, ale uchylenie rąbka tajemnicy chyba nikomu nie zaszkodzi.

Zawsze staramy się, by każda Histeria była urozmaicona jeśli chodzi o rodzaj i atmosferę opowiadań. W styczniowym wydaniu każdy znajdzie coś dla siebie. Oprócz wyżej wspomnianych tekstów, utrzymanych w klimacie prozy Poego, mamy coś dla miłośników gore. To za sprawą „Poświęcenia”, autorstwa naszego gościa specjalnego – Tomasza Czarnego. W świat bizarro wprowadzi Was natomiast „Muchołówka” Karola Mitki, który powraca do nas po kilkumiesięcznej przerwie. Nutę horroru w wersji sarmackiej zawdzięczamy E. Horsztyńskiemu („Proklata Trijca”). Oczywiście to nie wszystko, ale resztę... odkryjecie sami.

Przed lekturą dziesięciu historycznych opowiadań zapraszamy na wywiad z Przemysławem Kyrzem, którego „Smakosz” na drodze głosowania został uznany za najlepszy tekst listopadowego numeru.

Życzymy mocnych wrażeń i do zobaczenia na marcowych urodzinach Histerii!

Historyczna Redakcja



WYZNANIA HISTERYKA



Przemysław
Kyrcz

Na co dzień jestem szczęśliwym mężem i wiodącym spokojne życie emigrantem. Cenię sobie prywatność i prawdziwe życie, więc nie znajdziecie mnie na facebooku. Z natury jestem człowiekiem dość cichym, ale uwielbiającym wdzierać się w głowy czytelników za pośrednictwem swoich tekstów. Pisanie jest dla mnie formą odreagowania i przelania swoich lęków na innych. Wychowałem się na książkach Kinga, Koontza, Herberta i Mastertona. Dziękuję wszystkim Czytelnikom za głosy, dzięki którym mogłem dołączyć do zacnego grona Histeryków.

Pozdrawiam i życzę wszystkiego Najstraszniejszego!

Skąd pomysł na „Smakosza”?

Pomysł na „Smakosza” pojawił się po przeczytaniu kilku powieści Edwarda Lee. W przedmowie do „Sukkuba” przeczytałem, że polscy wydawcy, redaktorzy i tłumacze nie chcą pracować z powieściami Pana Lee, ponieważ poziom brutalności jest dla nich nie do przyjęcia. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, jak ktoś może odbierać mi przyjemność obcowania z literaturą, którą lubię. Dla porównania – w Anglii, gdzie przyszło mi mieszkać, książki Edwarda Lee są dostępne w każdej księgarni. Uważam, że jeśli nasz rodzimy rynek wydawniczy zalewany jest książkami typu „Pięćdziesiąt Twarzy Greya” tylko dlatego, że na Zachodzie się to sprzedaje, to ten sam szablon powinien obowiązywać w przypadku Edwarda Lee. Myślę, że „Smakosz” był także chęcią sprawdzenia się w gatunku gore i przekonaniu się, czy w czasach, w których żyjemy, można jeszcze czymś zaszokować czytelnika.

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Praca nad tekstem jest w moim przypadku dość dziwnym zjawiskiem dla mnie samego. Podczas pisania pierwszej wersji, historia po prostu się pisze i ja sam nie bardzo wiem, skąd się bierze i gdzie zmierza. Po skończeniu pierwszej wersji „budzę się ze snu” i czytam, co napisałem. I dopiero wtedy zaczyna się świadoma praca z tekstem. Więc dla mnie pisanie jest trochę jak trwanie w półśnie... czasami udaje się wyśnić całą historię od razu, a czasami niestety dopada mnie bezsenność.

Skąd czerpiesz inspiracje do pisania?

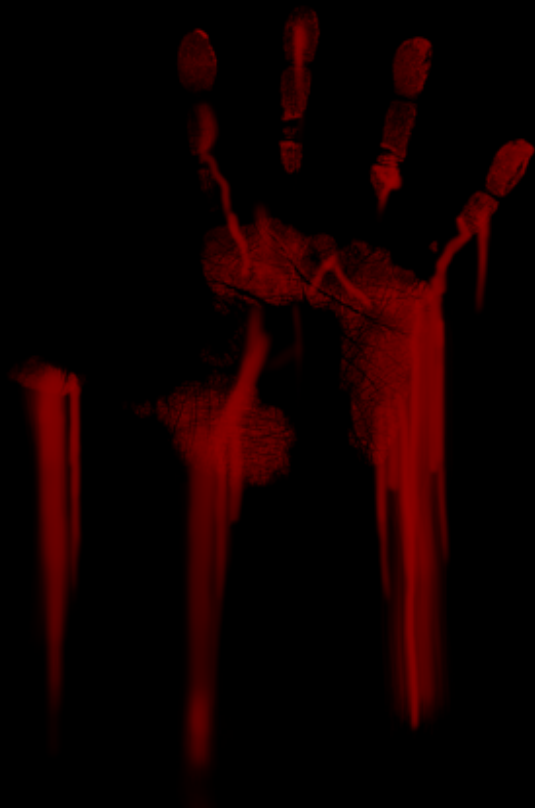
Inspiracją dla mnie są najróżniejsze rzeczy. Czasami jest to zdanie przeczytane albo zasłyszane w tv, czasami sen. Otaczający nas świat i ludzie to niewyczerpane źródło inspiracji. Ja sam uwielbiam obserwować ludzi i ich zachowania. To świetna zabawa!

Pisanie to hobby czy coś więcej?

Pisanie od zawsze było dla mnie czymś więcej. Świadomość, że ktoś czyta moje teksty, daje mi ogromną satysfakcję i motywację do dalszej pracy. Wywoływanie emocji u czytelnika to wspaniała rzecz. Pisanie dla mnie jest jak dzielenie się samym sobą z innymi...niektórzy cię zjadają i im smakuje, inni nabawiają się tylko sraczki (śmiech)

Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?

Histeria to coś, co mnie dopada, kiedy nic nie mogę napisać... jest jak postać, która zawsze za tobą podąża ciemnym korytarzem, i zawsze, kiedy się odwrócisz, potrafi znaleźć miejsce, aby się schować... (śmiech)



rys. Roman Panasiuk



DRZWI

Antoni Nowakowski

Przeczekiwali skwar wczesnego popołudnia w cieniu oliwnego gaju. Po obiedzie i krótkiej sjeście, znowu, aż do zmierzchu, czekała ich praca przy zbiorze fasoli.

Wcale nie należała do łatwych. Co prawda łodygi w tym roku wyrosły wyjątkowo wysokie, więc nie musieli zbytnio się schylać, ale pole naprawdę imponowało obszarem, no i obrodziło zatrzesienie długich strąków z grubymi ziarnami. A ciągle tworzyły się nowe.

Jednostajna praca od świtu szybko powodowała znużenie – skłonić ciało, odciąć garść strąków, włożyć do zawieszzonego na szyi koszyka, znowu się pochylić, zebrać kolejny tuzin, przejść krok dalej... Odnieść wypełnioną po brzegi kobiałkę, wysypać zawartość do okazałego wora i wrócić. I tak bez chwili przerwy, w rosnącym blasku nieboskłonu i wzmagającym się upale, aż ciału prawie zabraknie potu, a mięśnie karku zesztynieją ze znużenia.

Saduceusze z Rady Starszych bardzo cenili fasolę, a wszyscy uznawali, że słuszenie. Szybko wypełniała żołądek, dając poczucie sytości. Owocowała prawie bez przerwy, należało tylko stale zrywać żółciejące strąki. Wymagała też wielu zabiegów – nawadniania, usuwania chwastów, przywiązywania rozwijających się pędów do wbitych w ziemię kijów – ale jej uprawa naprawdę się opłacała. Mączyste ziarna dawały też coś, o czym saduceusze wspominali z uśmiechem – siłę.

– Jeżeli chcemy zdobyć przyrzeczony przez Boga Kanaan, musimy być mocniejsi od mieszkańców ziemi obfitości, czczących tylko doczesne uciechy, żyjących w grzechu – nadmieniali z naciskiem. – Może nawet fasola jest darem Stwórcy, bo dawniej jej nie sadziliśmy. Może on ustalił jej formę i zapewnił tak długą i obfitą płodność...

Teraz jednak obaj odpoczywali. Mieli tutaj wszystko, czego potrzebowali. Dawno już zagospodarowali spory przestwór ziemi pośrodku szachownicy pól, oddany przez Radę Starszych ich wiosce w użytkowanie. W namiocie ze skór leżały derki, poduszki wypchane słomą i sianem, płachty tkanin służące za nakrycia, jeżeli nocowali. W odległym zaledwie o krok strumyku chłodził się bukłak z winem, a w przeniesionej z wioski skrzyni przechowywali talerze, kubki i cenny woreczek soli. Miecze i hełmy zawiesili na ożebrowaniu schronienia. Przydawały się – niekiedy zjawiali się złodzieje zbiorów i trzeba było ich odstraszyć. Czasami próbowano przesunąć znaki graniczne – wtedy też wrzask i szcęk dobywanego oręża szybko robiły swoje.

Kiedyś zażarcie dyskutowali, czy naprawdę tutaj przydadzą się ciężkie i długie ostrza, uwierające głowy szyszaki i grube tarcze. Abdiel twierdził, że wystarczą tęgie pałki. Jon przypomniał jednak coś, o czym wspomiano rzadko, ledwie półgębkiem i z wyraźnym strachem – o wysłannikach Otchłani. Sługach ciemności, pomioście Szatana, jak często ich nazywano. Dawno nie widziano demonów zła, jednakże wiosną, zaraz po orce, na skibach ziemi znowu pojawiły się głębokie ślady ich stóp.

– Przeklętych mieszkańców Otchłani nie odstraszą grube kije, nabijane metalowymi szpicami... – odpowiedział wtedy Jon. – Okrywają ciała płytami z metalu. Lepiej mieć pod ręką prawdziwą broń, przenikającą przez ich osłony.

Abdiel wysłuchał przyjaciela, pomilczał chwilę, a potem aprobująco pokiwał głową. Następnego dnia przenieśli do namiotu jeszcze kilka włócznie z ciężkimi grotami, dwa łuki i spory zapas strzał.

Małe ognisko paliło się prawie bez dymu, podgrzewając sagan ze strawą. Wszystko tchnęło spokojem upalnego i sennego dnia. Całkiem niedaleko skowronek wyśpiewywał swoją ptasią melodyjkę.

– W tym roku rośliny tak obwieszono, że gną się prawie do ziemi. – Jon wsadził łyżkę do garnka. Pociągnął nosem, wciągając zapach bulgoczącej potrawy. Szczupłą twarz z bródką rozświetlił uśmiech zadowolenia. – Doskonały plon. Zasluga naszej pracy przy nawadnianiu i pięknej pogody – nieboskłon od miesięcy bez chmur... Łaska Boga, Pana naszego. Opiekuje się wybranym ludem.

Drugą ręką przeżegnał się pośpiesznie. Po brodzie pociekł sos z wkładanego do ust drewnianego sztućca. Jon wytarł ją dłonią, a potem starannie wylizał palce.

– Abdi, nie czytaj tego przeklętego gówna – rzucił, nakładając na talerze obfite porcje.
– Ktoś zauważy, że studiujesz zakazane pismo. Wielu za jego głoszenie skończyło na krzyżu. Mieli szczęście, jeżeli tylko ucięto im język albo ukamienowano.

Zatarł dłonie, przyglądając się kopiałym zestawom jedzenia.

– Nie taka znowu zła śmierć – ciągnął, ważąc w dłoni woreczek soli. Nie zostało jej już dużo, a sporo kosztowała. – Ktoś trafi sporym odłamkiem skały w głowę, tracisz zmysły i nic nie czujesz. Nawet wtedy, gdy dobijają cię maczugami.

Cynową warzuchwią obficie dolał sosu do talerzy, a potem dołożył po kilka kawałków mięsa. Mieli pracy na parę dni, więc od razu przyrządzili sporo jedzenia.

Jon uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zębami. Wiedział, że ładnie wyglądają i lubił je pokazywać.

– Myśl o Świącie Płodności – kontynuował. – Mamy wysmienite zbiory, więc pewnie saduceusze zezwolą na większą ilość kopulacji. Może też wyrażą zgodę na mój ożenek... Jestem zdrowy, pracowity, mam ciało bez żadnej skazy. Umiem walczyć... Te wypociny o drzwiach – pogardliwe prychnięcie przerwało wypowiedź – nadają się tylko do jednego: podtarcia dupy. Zajmij się lepiej posiłkiem, pysznie pachnie.

Dłonią o wyrobionych pracą, mocnych palcach przeczesał grzywę płomieniście rudych włosów.

Długa do ramion czupryna Jona budziła podziw dziewczyn, co rosłego mężczyznę napawało nieskrywaną dumą. Parę lat temu nabył grzebień z rzadkiego i drogiego metalu – ołowiu – i nie żałował nabytku. Codziennie czesana rudawa fryzura zyskiwała coraz bardziej płomienistą barwę. Dziewczyny lubiły szczotkować poplątane i grube włosy wyrosniętego i muskularnego mężczyzny, często szepcząc mu do ucha:

– Pamiętaj o Dniu Płodności? Spotkajmy się wtedy, gdzieś w zacisznym miejscu...

Abdiel, milcząc, wziął do ręki zapisaną drobnym, ale starannym pismem kartę papieru. Kiedyś zwierzył się Jonowi, że podziwia pracę kopisty, jego odwagę i samozaparcie – ujęty przez strażników Rady Starszych, nikogo nie wydał, choć obiecywano mu ocalenie życia. Skazany na ukamienowanie, zginął mężnie, wrzeszcząc:

– Głupcy, jesteśmy ludzką mierzwą, przewożoną nie wiadomo przez kogo, nie wiadomo po co i nie wiadomo dokąd! Wyzwólmy się i osiągnijmy nirwanę!

Krzyczał do chwili, gdy jeden ze strażników saduceuszy nie wepchnął mu knebla do ust, a potem roztrzaskał głowę metalowym drągiem, służącym do wymierzania pospolitym łotrzykom kary łamania kości.

Jon i Abdiel też ciskali kamieniami. Gdy wracali do swoich sadyb, Abdiel spostrzegł leżący w kępie tamaryszków gruby zbiór kart, przewiązanych sznurem. Jeden rzut oka wystarczył, żeby domyślił się, co znalazł – zakazany traktat, źródło herezji, przypowieść szerzoną przez odszczepieńców i zaprzańców. Księgę, kwestionującą prawie wszystko, w co żarliwie wierzono. Ktoś, przestraszony widokiem kaźni, wyrzucił arkusze papieru, mogące doprowadzić go przed sąd saduceuszy – i pozbawić życia.

Abdiel, po prostu z ciekawości, przejrzał pierwsze trzy karty – a potem ukradkiem, nocami, przestudiował traktat o drzwiach do końca. Teraz czytał go już po raz czwarty, niekiedy coś podkreślając zaostrzoną trzcinką, maczaną w rozwodnionej sadzy.

Ten chudy, żyłasty mężczyzna z wydatnym, orlim nosem i policzkiem przeciętym blizną nie musiał teraz pomagać Jonowi – o brzasku przygotował jedzenie. Jon wykonywał swoją część pracy – gotowanie.

Widać było, że posiadanie i studiowanie przez Abdiela wyklętego dzieła bardzo męczy Jona.

– Drzwi... – kontynuował po chwili przerwy z tą samą nutą pogardy. – Nirwana... Pieprzenie. Jesteśmy jak bracia, nie wydam cię, jednak spal ten traktat. I dlaczego wertujesz go w biały dzień? Dopraszasz się, żeby ktoś doniósł o twojej głupiej pasji strażnikom saduceuszy.

Splunął na ziemię.

Abdiel odłożył na bok gęsto zapisaną kartę i zabrał się za studiowanie kolejnej. Jadł wolno, jakby stojący przez nim talerz fasoli z mięsem niespecjalnie go interesował.

– Nikt nawet nie pomyśli, że ktoś jest tak szalony, iż czyta o drzwiach tam, gdzie wszyscy go widzą – zauważył sucho. – Każdy powie, że pilnie przypominam sobie którąś z przypowieści o Bogu naszym jedynym, aby skomentować ją w dniu sabatu.

Jon pokiwał głową. Abdiel, zasłużony weteran wojen z Kananejczykami, często dostępował zaszczytu omawiania przypowieści w wioskowej świątyni. Słuchano go z uwagą.

Abdiel zebrał jednak arkusze, owinął splechciem tkaniny i włożył do kosza z owocami, przekładając na wierzch z tuzin dorodnych pomarańcz. Z dziwnym uśmiechem przypatrywał się Jonowi.

– Ciekawa rozprawa filozoficzna... – podjął po chwili. – Nie pojmuję, czemu Rada Starszych grozi jej twórcy stosem. Czemu zakazała czytania jego dzieła... On tylko twierdzi, że nasz świat jest skończony. Podaje dowody... Przypuszcza, że jesteśmy jednak częścią świata nieskończonego. I że istnieje łączy z tym światem. Przejście, może jedno z wielu... Nazywa je drzwiami. W tym duchu objaśnia wiele znanych legend. Píše, że kiedyś już sprawdzono, iż drzwi naprawdę istnieją. Ich otwarcie przeniesie nas wszystkich do świata nirwany, wypełniającej nieskończoność. W tym naprawdę nie ma nic obrazoburczego. Saduceusze przesadzają, nie rozumiem dlaczego.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Skowronek znowu podjął swój dźwięcznie brzmiący zaśpiew. Przez chwilę uważnie słuchali skrzydlatego śpiewaka, może chwającego obfitość zbiorów z wioskowych pól.

– Taa... – Jon wrócił do rozmowy. Znowu prychnął. – Spójrz no tylko!

Nożem do usuwania łyka wskazał przestrzeń przed sobą.

Pola fasoli, owsa i żyta ciągnęły się aż po horyzont, przedzielone kępami drzew owocowych i zagonami z gęstwą tyczek podtrzymujących pędy winorośli. Wiał łagodny wietrzyk, tonujący upał.

Całkiem niedaleko, tuż za granicznym kopcem, wytyczającym domenę sąsiedniego sioła, łysawy mężczyzna w chitonie obchodził rozległą połąć ziemi z niskim i rzadko rosnącym żytem. Wznosząc ręce, przeklinał tak donośnie, że Abdiel i Jon dobrze go słyszeli.

– Im nie obrodziło... – Jon krótko skwitował złorzeczenia. – Głupcy, nie przyłożyli się do pracy. Nie słuchali wskazań swojej rady, nie chwalili ze szczerego serca Pana, nie oddali mu umysłów i dusz... Zostali ukarani. Jesienią upieką niewiele jęczmiennych placków i chleba, a ich dzieci zapłaczą z głodu... Jeżeli wprowadzą porcjowanie jedzenia, najstarsi wymrą, a ich ciała użyżnią jałową glebę. W przyszłym roku osiągną obfitsze plony.

Ze smakiem oblizał łyżkę.

– Gdybyśmy wreszcie zdobyli przyrzeczoną nam ziemię Kanaan – stwierdził z nutą tęsknoty w głosie – ziemię obiecaną, zmieniłoby się wszystko. Żylibyśmy szczęśliwie w krainie obfitości.

Oczy Jona błysnęły.

Oboje odwrócili wzrok. Wiele razy widzieli już takie obrazy ludzkiej rozpacz – i sami je przeżywali.

– Tak jest wszędzie. – Jon z wyraźną złością wrócił do wątku rozmowy. – Dostrzegasz gdzieś jakieś drzwi? Brednie! Ten pieprzony filozof siedzi teraz w jamie w ziemi i pewnie skamle o miskę strawy, czekając na proces. Jego domostwo zburzono – słuszną karą, nie można ludziom mącić w głowach. Głupi wypierdek napłócił bzdur, a ty się nimi zachwycasz!

Pokręcił głową.

– Ten pisarzyna pewnie nie umie zarznąć jagnięcia i podzielić tuszy. – Kawalkiem chleba Jon zbierał resztki sosu. Wszyscy wiedzieli i pamiętali, że nawet krztyna pożywienia nie może się zmarnować. – Abdi – ciągnął rozmarzonym tonem – lepiej pomyśl o Święcie Płodności. O bachanaliach. Strugach lejącego się wina, pieczonych jagniątkach, tańcach nagich dziewczyn... o ich piersiach, brzuchach i kępach włosów – wiesz gdzie. Gdy przypominam sobie zeszłoroczną noc, od razu kutas mi staje.

Zaśmiał się rubasznie, klepiąc po brzuchu.

– Zauważyłeś, że staje nam tylko raz w roku? – Abdiel podał towarzyszowi pomarańczę. Uśmiechnął się kpiarskim skrzywieniem warg. – Tylko raz, jakbyśmy przeżywali zwierzęcą ruję... Nie sądzisz, że to dziwna sprawa? Powiedz mi jeszcze jedno – co jest dalej, za wytęsknioną i wymarzoną krainą Kanaan, jak twierdzą saduceusze, przyrzeczoną nam przez Boga? Co? Wiesz?

Oczy Abdiela też teraz błysnęły. Ciągnął dalej, cichym, ale pewnie brzmiącym głosem:

– Nikt tego nie wie, nawet saduceusze. Pewnie właśnie tam ulokowano drzwi. Może nawet znajdują się za Otchłanią... Albo tuż przed nią. Myślę o tym, żeby je odnaleźć.

Niecierpliwym gestem potarł bliznę na policzku, jakby znowu w starej ranie odczuwał ból.

W plemiennych wioskach szanowano Abdiela za odwagę i męstwo, okazywane podczas prób podboju ziemi Kanaan. Rada Starszych ceniła jego doświadczenie i przemyślność, coraz częściej powierzając mu przewodzenie niebezpiecznym misjom zwiadowczym. Wiele takich wypraw nigdy nie powróciło, a o ich członkach słuch zaginął.

– Ciała naszych braci poćwiartowano i wrzucono do dołów z gnojem, żeby wzbogaciły cenny nawóz... – kwitował któryś z saduceuszy, gdy stracono już nadzieję na powrót wyprawy. – Ich ofiara nie poszła jednak na marne. W każdym kłosie pszenicy znajdzie się niebawem cząstka ich cielesnych powłok, bo dusze z pewnością trafiły do raj. Wypieczony z tej mąki chleb jeszcze zjedzą Kananejczycy, kiedyś jednak nas nasyci...

Wyprawy pod wodzą Abdiela kończyły się szczęśliwie. Wracały, niejednokrotnie z posieczonymi i broczącymi krwią uczestnikami – ale wracały. Abdiel nigdy nie zostawiał ciał poległych towarzyszy – nakazywał je, mimo fetoru rozkładających się zwłok, zabierać ze sobą. Wyprawy przynosiły ważne wieści – o położeniu studni z wodą na Spalonych Ziemiach, tam cenniejszych od złota, sile grodów Kananejczyków – wznosili ich coraz więcej – wysokości i grubości murów, liczbie wież, rodzajach uzbrojenia.

Rada Starszych z wielką uwagą wysłuchiwała sprawozdań wysokiego, żylastego mężczyzny, cieszącego się coraz większą estymą. Długo przetrawiano twierdzenia Abdiela, że strażnicy Otchłani porzucili Spalone Ziemie.

– Napotkaliśmy ich zaledwie kilku. I tak jest za każdym razem – z niezachwianą pewnością siebie Abdiel wyjaśniał saduceuszom budzącą zdziwienie opinię. – w każdej wyprawie... Wyglądało na to, że tylko sprawdzają, czy ktoś jednak nie osiedlił się w lepiej zachowanych częściach. Nie zwracali na nas uwagi. Znając położenie ocalałych źródeł wody, przejdziemy skażoną grzechem ziemię bez kłopotów.

Zarządzone dodatkowe misje potwierdziły prawdziwość tych spostrzeżeń.

– Nie ma tam już dusz do porywania w ognie Otchłani, zabrakło ciał do ćwiartowania żywcem. Cóż mieliby tam dalej robić? Po co pilnować pustki? – Jeden z saduceuszy, kiwając głową, podał zaskakująco proste wyjaśnienie dziwnego zjawiska. – Jeśli tak jest, jedna z przeszkód do podbicia Kanaanu obróciła się w proch. Zniknęła...

W ostatniej wyprawie wojenne szczęście opuściło jednak Abdiela. Jego oddział, już w drodze powrotnej, wpadł w zasadzkę. Wyrwali się z okrążenia, przebili przez mur włóczni, mieczy i toporów, lecz cios siekiery dosięgnął hełmu dowódcy. Ciężki szłom wytrzymał, ostrze ześlizgnęło się, ale rozorało policzek.

Broczący krwią Abdiel mógł biec, a potem iść – i dzięki temu ocalał. Początkowo wydawało się, że szybko dojdzie do siebie. Jednak rana coraz bardziej się paskudziła, a ciało trawiła wysoka gorączka. Zaczął majaczyć. Gwałtownie chudł.

– Zepsuta krew... – orzekł wioskowy znachor, badający nieprzytomnego wojownika. – Możliwe, że Kananejczycy zanurzają teraz oręż w kadziach w trucizną. Nie wiadomo, czy przeżyje.

Nakazał stosowanie okładów z chleba ugniatanego z pajęczynami. Nie żałowano dla Abdiela cennego pieczywa, a stajnie i chlewy oczyszczono z owoców pracy pajaków.

Abdiel wydobrzał, jednakże zmienił się. Stał się milkliwy. Wydawało się, że nieprzerwanie o czymś myśli. Niekiedy mówił sam do siebie, jakby powtarzał – albo formułował – spostrzeżenia, zrodzone podczas tych tylko jemu znanych rozważań. Pracował chętnie, znowu pokazując swoją tężyznę. Na zadawane przez saduceuszy pytania, kiedy podejmie następną wyprawę, z nikłym uśmiechem odpowiadał, że jeszcze nie jest gotowy. Ponownie zamknął się w sobie, ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi wargami głęboko nad czymś medytując.

Wtedy właśnie znalazł wyklęty traktat.

Teraz też odłożył pomarańczę, zacisnął usta, podparł ręką podbródek, wpatrując się w przestwór pól, jakby dostrzegł w nich coś niezwykle interesującego. Bezdźwięcznie poruszał wargami, pewnie znowu formułując jakieś wnioski.

– Dalej są Spalone Ziemie, zwane też Skazonymi, zniszczone ogniem pustkowie, pas gruntów oddzielających nasze plemię od żyznych ziem Kanaanu. – Jon przerwał ciszę. Mówił tak, jakby tłumaczył dziecku oczywistą prawdę. – Przecież wiesz o tym... Pewnie dalej istnieją kolejne krainy, już nam nieznane. Na końcu jest bezkresna Otchłań, siedlisko sług ciemności, pomiotu Szatana. Porywają grzeszników, niedowiarków, ludzi żyjących bez Boga. Dręczą ich, ćwiartują za życia, aż nie skonają w okrutnych mękach... Tak samo czynią z ich duszami. Wiernych wierze chroni jednak nasz Stwórca. Nasz Bóg jedyny i Pan. Abdielu, opamiętaj się! Wszyscy o tym wiedzą!

– Nieprawda!

Człowiek z blizną na policzku zerwał się z zydlu.

– Nieprawda... – powtórzył głuchym głosem. – Powiem ci coś, czego nie przekazałem saduceuszom, bo i tak by mi nie uwierzyli. Pewnej nocy szedłem samotnie na czele oddziału, wyprzedzając moich ludzi o jakieś parędziesiąt kroków. Byłeś wtedy z nami... Jak zwykle, sprawdzałem, czy gościniec wolny. Napotkałem ich – napotkałem wysłanników Otchłani. Prawda, że ledwie kilku. Nie uwierzysz, ale oni nie zwracali na mnie uwagi! Cofnąłem się i wpadłem jeszcze na dwóch. Stali o trzy kroki ode mnie, na wyciągnięcie ręki. Zrobili mi przejście, a potem odeszli! Zacząłem zastanawiać się, czemu tak postąpili – i nie znajdowałem wytłumaczenia. Dzisiaj – tak...

Jon wykrzywił wargi w szyderyczym uśmiechu.

– Coś nadal zatruwa twój umysł, może resztki zepsutej krwi – rzucił oschle. – Z twojej duszy nie mieliby pożytku, bo jesteś prawowiernym synem wybranego przez Boga plemienia. Może lękali się walki, może zajmowały ich inne sprawy... Istnieje wiele wytłumaczeń tego dziwnego zachowania. Przestań czytać ten przeklęty traktat, zniszcz go, a wtedy szybko dojdiesz do siebie. Myśl o kolejnej wyprawie. Myśl o Święcie Płodności. Każda dziewczyna z rozkoszą przyjmie twoje nasienie.

Przeciągnął się, szeroko rozkładając ramiona. Zbliżała się najpiękniejsza chwila znojnego dnia – poobiednia drzemka i już się do niej przygotowywał.

Jon niekiedy dołączał do oddziału zwiadowczego – i cieszył się dobrą reputacją. Słuchał poleceń, bez protestów przyjmował niesienie tobołu z pożywieniem i bukłaków z wodą. Wykonywał zadania tragarza, ale w razie potrzeby mężnie stawał do walki. Nie rwał się do boju, ale i nie tchórzył. Bez szemrania wykonywał zwykłe, ale konieczne zadania, więc, jeżeli się zgłosił, w hufcu zwiadowców witano go z otwartymi rękoma.

Teraz najwyraźniej nie przejawiał ochoty na wspomnianie niedawnej misji. Może chciał zakończyć dziwne wynurzenia Abdiela.

Ten wcale nie zamierzał przestać. Ciągnął z namysłem, jakby zastanawiał się nad każdym zdaniem:

– Zastanowiło mnie potem jeszcze coś innego. Nie wiem, Jonie, czy w zamęcie walki spostrzegłeś, że gdy wpadliśmy w zasadzkę Kananejczyków, z boku pojawili się wysłannicy Otchłani. Przeraziłem się... a oni stali i tylko patrzyli, tak jak my oglądamy dwa byczki, ścierające się o młodą jałówkę... Oni nas oceniali, uwierz mi. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego? Przecież są sługami Otchłani, polują na ciała i dusze.

Abdiel wyjął z koszyka wyjątkowo dorodną pomarańczę. Obracając w palcach owoc, uważnie mu się przyglądał. Rozejrzał się dookoła, chyba jednak sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu.

– Nie znałem odpowiedzi... – ciągnął cicho – do czasu, kiedy nie przeczytałem traktatu. Ktoś nas hoduje, ktoś nas dobiera, jak najlepsze i najtęższe sztuki w stadzie, ktoś nas lepi tak, jak pragnie. Jak sobie wymarzył... Wszystkie przypowieści o Otchłani oszukują nas. Ona istnieje, bo napotykamy sługi Ciemności, jednak cel tego istnienia jest inny. Jeszcze nie wiem jaki... Może właśnie tam ukryto drzwi? Otchłań wcale nie musi być siedliskiem upadłych aniołów pod wodzą Szatana. Jest czymś zupełnie innym – zaporą na drodze do nirwany.

Wolno pokiwał głową.

Jon patrzył na niego w milczeniu z pobladłą twarzą.

Wielokolorowy motylek przysiadł na stoliku i po chwili odleciał.

– Abdielu, Abdielu.... Błóżnisz. – Jon zmierzył włosy. Odsunął cynowy talerz, lśniący niczym lustro – kromką chleba wyczyścił go dokładnie. Łamał teraz jedyną pozostałość pajdy, twardą i wypieczoną skórkę. – Trucizna Kananejczyków wciąż krąży w twoich żyłach... Kiedyś mnie uratowałeś. Poraniono mnie, nie mogłem zrobić kroku. Nakazałeś sporządzić nosidła z gałęzi i ponieść do wioski, więc nikomu nic nie opowiem. W ten sposób będziemy kwita. Życie za życie, bo gdybym szepnął saduceuszom choćby słówko...

Wolno pokiwał głową, jakby potwierdzał podjętą przed chwilą decyzję.

Abdiel uśmiechnął się lekko.

– Nie marnuj pożywienia – rzucił, podejmując z ziemi cząstki chlebowej skórki. – Nie zostawiam rannych na zatracenie. Zabieramy ciała poległych. Jeśli widzę, że ktoś nie przeżyje, dobijamy go. Dobrze o tym wiesz...

Żuł starannie resztkę pieczywa. Dłonią o grubych palcach zgarnął ze stolika okruchy i połknął.

– Czy nie tego uczymy się całe życie? – podjął po chwili. – Jeżeli chcesz mieć pod dostatkiem pszenne chleba, zdobądź ziemię Kanaan. Wyrznij wszystkich mieszkańców przyobiecanej przez Boga krainy obfitości... Nie marnuj nawet ciała zmarłego towarzysza – też użyźni pola. Tego też się uczymy – i w to wierzymy. Kanony naszej wiary...

Zaśmiał się szyderczo, jakby coś bardzo go rozbawiło, choć jego śmiech nie brzmiał wesoło.

– Abdi, uważaj... – w głosie Jona zabrzmiała nieudawana troska. – Czytasz traktat, ale tylko ja wiem o tym. Niekiedy dyskutujesz z sąsiadami. Zaczynają dziwić się twoim słowom. Kładą je jeszcze na karb odniesionej rany, zatrutego ciała – już prawie witałeś się ze śmiercią. Jednak szybko zmieniają osąd, jeśli nieprzerwanie będziesz wygadywał bluźniercze słowa – i równie szybko o brzasku wyrwą cię ze snu strażnicy saduceuszy.

Abdiel wzruszył ramionami. Założył dłonie za głowę i przeniósł wzrok na zasnuty mgiełką widnokrąg. Zdawał się nie słuchać Jona.

– Stos pewnie cię ominie, bo nie ty napisałeś ten przeklęty traktat – ciągnął Jon. – Za szerzenie herezji możesz jednak zawisnąć na krzyżu. Wsadź te karteluchy do wychodka, tam jest ich miejsce. Wtedy szybko dojdiesz do siebie.

Przerwał, żeby nabrać tchu.

– Jesteś znany i wszyscy cię cenią – mówił z namysłem. – Rada Starszych i na takich ma właściwy sposób – kastrację. Karę dla szaleńców i ludzi niegodnych potomstwa... Czasami wykonują ją tępym nożem. Wtedy będziesz mógł cienkim głosikiem opowiadać o traktacie, a i tak nikt cię nie posłucha, najwyżej splunie w twarz – głupków nikt nie słucha... Nikt nie zwraca uwagi na bredzenie takich wioskowych wywłok, czyszczących kloaki, ciągnących wozy i radła, a potem cieszących się z łaskawie rzuconego kęsa pożywienia. Możliwe, że w uznaniu dawnych zasług jednak wyślą cię na krzyż.

Abdiel wstał i przeszedł kilka kroków. Zdawał się nad czymś głęboko zastanawiać.

Wyciągnął ze strumyka zapomniany bukłak z winem.

– Drzwi... – kontynuował cicho Jon, sięgając po kubki. – Nirwana... Abdielu, gdy zdobędziemy Kanaan, będziemy żyć jak w raju. Ja niebawem pewnie się ożenię, a może nawet kiedyś stanę członkiem Rady Starszych. Nie chciałbym cię wtedy sądzić, ale może będę musiał.

Przez chwilę milczeli. Ciszę przerywało turkotanie kół małego wozu, ciągniętego przez osła po kamienistej drodze – i piskliwe śmiechy dziewczyn, idących za zaprzęgiem i pilnujących, żeby nie zsunęły się worki z fasolą.

Rozprawiały o czymś żywo. Jon przyglądał się im tęsknym wzrokiem.

– Skąd się wziął wyraz bachanalie? – rzucił nagle Abdiel. Jego oczy błysnęły. – Nikt go nie rozumie, a wszyscy używają... Skąd? Wiesz?

– Historia człowieka jest długa. – Jon przeniósł wzrok na towarzysza. – Nie wszystko pamiętamy... Proszę, nie myśl o tych bzdurach, Śmierć na krzyżu naprawdę nie jest przyjemna.

– Wiem, dlatego jutro o brzasku wyruszę w daleką drogę. Wszystko już przygotowałem... Właśnie z tego powodu rozmawiam z tobą tak szczerze. Sprawdzę, czy drzwi istnieją. Jeśli nie uda się ich odszukać, osiądę gdzieś daleko. Samotnie. Dowiem się, kim naprawdę są wysłannicy Otchłani. Wtedy dopiszę dalszą część traktatu...

Skowronek po raz trzeci podjął swój zaśpiew, może obwieszczając, że i on cieszy się z obfitości pożywienia.

Abdiel wędrował wiele dni, żeby odszukać drzwi, tak długo, że już dokładnie nie pamiętał, kiedy wyruszył.

Bez kłopotów przebył Spalone Ziemie. Znał i pamiętał szlaki, prowadzące od ukrytego w skałach źródła do następnego wodnego oczka, od grotty, będącej w dzień schronieniem dla jego dawnego oddziału, do obszernej jamy, nakrytej płytami spieczonego na kamień żużla. Stanowiła kolejne miejsce spoczynku. Przypowieści podawały, że kiedyś istniały tutaj zasobne miasta, zapełnione ludźmi pełnymi pychy, tarzającymi się w grzechu, bez przerwy oddającymi się kopulacjom i bezrozumnie płodzącymi potomstwo – i w ten sposób ograniczającymi zasoby żywności. Zagniewany Stwórca wypalił wszystko ogniem, obracając w perzynę i przemieniając w pustynię siedliska zła.

Abdiel Skażoną Ziemię przemierzał nocami, w dzień odpoczywając i chroniąc się przed żarem lejącym się z nieboskłonu. Nie miał wiele do niesienia – w tobołku upakował dwie pary zapasowych sandałów, suszone mięso, woreczki z gotowaną fasolą i bukłak na wodę. Zabrał też traktat i często go czytał. Poła płaszcza okrywała długą głownię zakrzywionego kordu, a płócienny zawój chronił głowę.

Nie zmienił sposobu postępowania, gdy w końcu ujrzał mieniające się żółcią pszeniczne pola Kanaanu. Poruszał się czujnie, jak drapieżne zwierzę, wybierające się na łowy. Nadal wyruszał w drogę po zmroku, unikając gościńców i wyłożonych kamieniami traktów. Dzień przesypiał niespokojną drzemką pośrodku pola pszenicy, wybierając najrozleglejsze. Zjadał

ugniecione ciałem kłosa, bo ciągle pamiętał, że nawet kawałek stawy nie może się zmarnować.

Zapas pożywienia szybko się wyczerpał, więc co pewien czas Abdiel włamywał się do kananejskich spichrzy, błogosławiąc zapobiegliwość mieszkańców kraju obfitości.

Płaszcz się postrzępił, chudą twarz spaliło słońce, sandały zniszczyły, ale Abdiel wciąż kroczył przed siebie. W końcu w monotonnym przestworze rędzin ziemi dostrzegł niebieskawe pasemko wzniesień. Wzgórz, pewnie z tej strony wytyczających granicę Kanaanu.

Sądził, że dalej, na nieznanych rubieżach, mogły znajdować się drzwi.

Krajobraz zmienił się – coraz więcej skalistych wzgórków przedzielało urodzajne pola.

Długo utrzymywała się dobra pogoda, ale w końcu zaczął siąpić deszcz, więc Abdiel wieczorem ułożył się do snu w niewielkiej pieczarze, w jednym z tych wyniosłych, kamiennych pagórów.

Rankiem zauważył w skalnej ścianie drewniane wrota. Nie wyglądały jak zamknięcie jakiegoś schowka – Kananejczycy często wznosili spichrze na oddalonych od wiosek połaciach ziemi, ale nigdy nie ukrywali płodów w jamach czy grotach.

Wyłamanie zmurszałych desek poszło szybko. Łatwo ustąpiły pod naporem główni kordu i silnych ramion.

Ujrzał korytarz z bladą poświatą światła w oddali. Serce Abdiela przepęłniła radość – nigdy nie słyszał o takiej krainie, nie wspominała o niej żadna przypowieść. Przejście nie przypominało też części Otchłani, pełnej żaru płomieni i dusz grzeszników. Stało milczące, a daleki poblask światła zdawał się zapraszać do siebie.

Abdiel osądził, że jeżeli drzwi istnieją i ukryto je przed ludźmi, znajdują się gdzieś dalej. Na pewno mógł do nich dotrzeć.

Ściany i strop wyglądały dziwnie, więc uderzył klingą w bok wąskiego przejścia. Usłyszał pogłos dzwiczącego metalu. Nie brzmiał jak spiż – przypominał wysokie i radosne bicie wioskowego dzwonu, obwieszczającego nadejście dnia odpoczynku.

Wędrowiec wielkimi krokami ruszył przed siebie, prędko docierając do małej sali.

Okazała się początkiem długiej i wyczerpującej drogi przez zawikłany labirynt korytarzy, schodni i rozległych hal. Nie rozumiał, gdzie trafił, ale jedno już wiedział – święte przypowieści kłamały.

Nie mówiły prawdy, bo szybko napotkał istoty, nazywane sługami Otchłani. W pierwszej chwili, kiedy je zobaczył, umysł ogarnęła trwoga. Stał z wydobytym orężem,

gotów do ostatniej walki, żegnając się z życiem. Przez chwilę zastanawiał się, co odczuwa człowiek, rozrywany na strzępy.

Nic się nie stało.

Dziwne istoty, niekiedy kształtem przypominające człowieka, ustąpiły mu z drogi. Wykonywały jakieś prace, dla Abdiela niezrozumiałe, i wcale nim się nie interesowały. Stwory z metalu – gdy nabrał śmiałości, sprawdził, że ich korpusy dźwięczą tak samo jak ściany – nawet mu pomagały. Otwierały przejścia, bo początkowo nie zawsze potrafił sobie z tym poradzić.

Niektóre niczym posągi trwały nieruchomo, nie zdradzając objawów życia. Zamarły, ale Abdiel nie miał pewności, czy na zawsze, bo nie przejawiały oznak rozkładu. Nie wiedział, co o nich sądzić, więc omijał je z daleka.

Przypadkowo znalazł w jednej ze ścian źródło wody. Ciekła niewielkim strumykiem z przedmiotu o niezrozumiałym przeznaczeniu – i teraz wiedział, gdzie jej szukać. Pożywienia w węzélku ubywało, ale Abdiel się tym nie przejmował – sądził, że jeśli znalazł wodę, pewnie niebawem odkryje i skrzynie z żywnością.

Już się nie śpieszył, w chwilach odpoczynku coraz częściej wertując karty traktatu. Zaostrzoną trzcinką – zabrał ją w drogę wraz z ptasim piórem i butelką roztworu sadzy – znowu podkreślał najciekawsze tezy. Na końcu spisywał wszystko, czego ostatnio doświadczył.

Szybko opuścił go lęk. Teraz spał długo, głębokim snem pełnym marzeń o tym, co opisywał traktat – o nieskończoności.

Głęboko wierzył, że niebawem przejdzie do niej przez tak długo poszukiwane drzwi.

Abdiel czuł, że wreszcie doszedł do kresu. Osiągnął cel wędrówki.

Z niewielkiego pomieszczenia nie wiodły dalej żadne korytarze. Istniało tylko wejście. Z boku nieruchomo stały stwory, nazywane przez członków jego plemienia sługami Otchłani albo pomiotem Szatana. Znajdowały się blisko, ledwie o kilka kroków.

Nie poruszały się.

Abdiel przyjrzał się im uważnie. Nie czuł już lęku, gdy spotykał istoty wykonane z metalu. Serce zabiło mu jednak niespokojnie, kiedy zerknął przez przezroczystą pokrywę jednego z nich – i dostrzegł, że w środku zieleje pustka. Ten milczący i nieruchomy mieszkaniec nieznanego jeszcze nikomu krainy wyglądał, jakby wydarto mu wnętrzności,

pozostawiając tylko grubą powłokę. Jednak nawet nie drgnął pod naciskiem palców, więc Abdiel szybko się uspokoił.

Omiótł salę wzrokiem – i wtedy zobaczył drzwi.

Niewielkie, z metalową dźwignią pośrodku. Nad nimi żarzyły się czerwone światła, mrugając jednostajnie. Ten intensywny blask wielkich lamp uspokoił Abdiela – wyglądał przyjaźnie.

Do tej pory nie napotkał takiej sali – i takiego wyjścia. Musiało prowadzić na zewnątrz.

Potajemnie przepisywany traktat, który wielu ludzi, szerzących jego tezy, zaprowadził na krzyż, nie kłamał.

Drzwi istniały.

Abdiel rozwiązał węzły podróżnego tobołka i wyciągnął zbiór kart papieru, pieczołowicie przewiązanych sznurem. Pragnął sobie coś przypomnieć.

Wszyscy żyjemy w olbrzymiej kapsule, przemierzającej nieskończoność, ale nie wiemy o tym. Kapsuła jest tak wielka, że wydaje się nam, iż nie istnieją jej krańce... Kiedyś zdawaliśmy sobie sprawę, że rodzimy się i umieramy w zamkniętej przestrzeni – i pewnie też wiedzieliśmy, dlaczego tak jest...

Jednakże coś się stało. Coś zawiodło... Część naszych ziem zniszczył kataklizm, naturalna katastrofa wewnątrz naszej bryły, będącej dla nas jedynym światem.

Ocaleliśmy, ale niektórzy z tych, którzy zachowali pamięć o dawnych czasach, w swojej pysze zaczęli nami rządzić. Tłamsili pamięć o prawdziwym jestestwie świata kapsuły, bo była dla nich niewygodna. Sięgając do bardzo starych źródeł, stworzyli nową pamięć dla naszego świata, z gruntu fałszywą, i sami mianowali się jej strażnikami – saduceuszami. Zniszczyli dawną wiedzę, jeszcze zawartą w legendach, strzępach wspomnień, przekazywaną w rodzinnych opowieściach... Uczynili tak, żeby usprawiedliwić istnienie ich kasty.

Może też wykonują niepojętą dla innych misję – wiele na to wskazuje. Może hodują rasę ludzi odpornych na prawie wszystko... Rasę wojowniczych zdobywców... Dlaczego i po co – nie wiemy...

Wiemy jednak, że skrzętnie kryją przed nami prostą prawdę – jesteśmy ledwie cząsteczką otaczającej nas nieskończoności. Jeżeli tak, musi istnieć jakiś powód skrywania tej wiedzy. Przyczyna jest prosta – nieskończoność jest doskonalsza od naszego świata kapsuły. Musi być doskonalsza, a może nawet jest doskonała, bo dlaczego prawdę o nieskończoności się ukrywa?

Abdiel na chwilę przerwał czytanie. Ostatnio ciągle studiował ostatnie karty traktatu, ale teraz chciał się skupić.

Rozejrzał się. Dziwne stwory, puste w środku, trwały nieruchomo. Światła lamp nadal się żarzyły, rzucając czerwony poblask na arkusze traktatu.

Nic nie zakłócało niezmałonej ciszy małego pomieszczenia.

Dawne legendy, jeszcze w części nam znane, mówią, że nieskończoność wypełnia nirwana. – Abdiel powrócił do czytania. – Albo też twierdzą, że po połączeniu z nieskończonością osiągniemy stan nirwany. Musimy jednak opuścić kapsułę – i połączyć z nieskończonością.

Musimy otworzyć drzwi.

Czym jest nirwana? Nie wiemy dokładnie, ale wiele wskazuje, że nirwana jest...

W tym miejscu traktat się kończył. Pewnie, sądził Abdiel, twórca już nie zdążył więcej napisać – i wyjaśnić. Abdiel wiedział, że często szerzącym tezy książki przed przybiciem do krzyża kneblowano usta, żeby nawet przy końcu życia nie mogli wykrzyknąć, że wszyscy żyją w świecie fałszu.

Pewnie i oni też nie wiedzieli, czym jest nirwana.

Bezgłośnie poruszając wargami, Abdiel formułował wnioski.

Twierdzenia traktatu potwierdziły się – co do joty... Wszystkie, bez wyjątku. Twórca zakazanego pisma nie mógł więc błędzić, pisząc o nieskończoności i jej charakterze. Trafnie odgadł przecież to, co tak starannie skrywano.

A teraz on, Abdiel, zwykły wieśniak, niekiedy wojownik, mógł mieszkańców kapsuły połączyć z nieskończonością – i pierwszy osiągnąć nirwanę. Później przekaze innym, czym jest tajemnica, wprawiająca saduceuszy w furję, tak zaciekle zwalczana, choć nikt jeszcze jej nie poznał.

Zaledwie dwa kroki dzieliły go od zrozumienia, czym jest nirwana.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Czerwone lampy nadal przyjaźnie mrugały.

Wystarczyło zrobić te ostatnie stąpnięcia – przesunąć dźwignię i otworzyć drzwi...

rys. Roman Panasiuk



HORROR DOMU RACZYŃSKICH

Paweł Cieliczko

Pamiętam doskonale ten zimowy styczniowy wieczór, gdy ogień w kominku płonął wesoło, a ja obraz przedstawiający Bibliotekę Raczyńskich uzupełniałem o dwóch pruskich żandarmów. Usłyszawszy łomotanie za oknem, pomyślałem, że to wicher stuka okiennicami, wiatr jednak po chwili ustał, a stukot zabrzmiał ponownie. Gdy uchyliłem drzwi, w śnieżnej zadymce zobaczyłem szczupłego mężczyznę w czarnym płaszczu, który nie wypowiadając ani słowa wręczył mi zapieczętowany list, wsiadł do sań i rozplynął się w białej zamieci, zanim zdążyłem go o cokolwiek zapytać. Wyglądał jak czarny, zmoknięty ptak, jak wielki zakapturzony kruk. Jego postać stanęła mi przed oczami kilka lat później, gdy przeczytałem wiersz amerykańskiego poety, opisujący podobną, nocną wizytę...

*W głuchą północ, w snów tumanie, gdy znużyło mnie dumanie
Nad księgami zapomnianej magii, znanej w dawnych dniach,
Chyląc głowę nad folialem, niespodzianie usłyszałem
Chrobot, jakby ktoś nieśmiałym palcem skrobał znak na drzwiach.
„Gość”, mruknąłem, „tym sygnałem daje znać, że stanie w drzwiach:
Skąd ten zimny pot i strach?”*

*Myśli przychodzą i ulatują, o tym, że to skojarzenie nie było przypadkowe przekonany
jestem, odkąd dowiedziałem się, że pierwodruk tego wiersza ukazał się w styczniu 1845 roku,
dokładnie wtedy, gdy nocą do drzwi mojego poznańskiego domu zakolatał ten „człowiek-
-kruk”.*

*Dzisiaj, kiedy dogorywam na perskiej ziemi, czekając, aż łaskawy Bóg skróci moje
cierpienia i pozwoli mi spokojnie odejść z tego świata, zamiast pisać testament, opowiedzieć
pragnę historię, która sprawiła, że porzuciłem służbę publiczną na niemieckim wschodzie
oraz w stolicy i podążyłem ku krainom, o jakich przed laty opowiadał mi ojciec, ku krainom,
o których czytałem w dzieciństwie, ku krainom z baśni tysiąca i jednej nocy.*

Wszystko zaczęło się w Poznaniu, 21. stycznia 1845 roku.

Juliusowi von Minutouli – dyrektorowi Prezydium Królewskiej Policji w Poznaniu –
wszystko tego dnia kojarzyło się z jednym człowiekiem. Już rankiem, gdy przejeżdżał przez
Ostrów Tumski, wydawało mu się, że widzi go, gdy wychodzi z Katedry, gdzie nadzorował
ostatnie prace przy Złotej Kaplicy. Kiedy spoglądał na wznoszoną na Wzgórzu Winiarskim
Cytadelę, pomyślał o wodociągu, który on poprowadził z tego wzgórza, zapewniając świeżą
wodę mieszkańcom Poznania. Przejeżdżając przed budynkiem Ziemstwa Kredytowego
patrzył, jak wozacy poją konie w ufundowanej przez niego studziencie z medalionem, na
którym niemiecki rytownik błędnie wrył polskie słowo i oda Pindara w Poznaniu brzmi;
„Nic lepszego nad wodę”. Kiedy wreszcie wjechał na Plac Wilhelmowski niemal jęknął,
zobaczywszy budynek stworzonej przez niego biblioteki. Także teraz, gdy siedział już
w swoim gabinecie, w nowym budynku poznańskiej policji, piętrzył się przed nim stos
przepastnych teczek z raportami, listami, pismami urzędowymi, wycinkami z gazet oraz

odręcznymi notatkami, które przez lata skrupulatnie gromadzili wywiadowcy i pracownicy poznańskiej policji... a wszystko to w związku z tym właśnie człowiekiem.

Od samego rana – gdy tylko powiadomiono go o tragicznej śmierci hrabiego – wszystkie myśli Minutoulego krążyły wokół osoby Edwarda Raczyńskiego. Nie mógł uwierzyć, że ten dumny wielkopolski magnat popełnił samobójstwo. Nie mógł uwierzyć, że zdecydował się uklęknąć przed wylotem armatniej lufy, że sam podpalił lont, a potem czekał, aż pocisk rozerwie jego głowę na krwawe szczątki. Potrafił sobie wyobrazić, że ten wytworny arystokrata znudził się światem i postanowił sam zakończyć swoje życie. Nie mógł uwierzyć, że mógł uczynić to w tak bardzo nieestetyczny sposób.

Ludzie mają prawo ginąć z najrozmaitszych powodów – myślał policjant – większość umiera we własnych łóżkach ze starości czy od chorób, liczni giną na wojnach, wielu ulega wypadkom na polowaniach czy w innych okolicznościach. Są śmierci oczekiwane, są śmierci nagłe, są śmierci tragiczne. Najbardziej nieoczekiwaną, tragiczną i tajemniczą jest zawsze śmierć samobójcza, która uśmierca człowieka podwójnie: pierwszy raz, przerywając jego ziemskie bytowanie, oraz drugi raz, zabierając mu możliwość zbawienia i życia wiecznego. Gdy śmierć samobójcza spotyka człowieka bogatego, szczęśliwego i powszechnie znanego, to zdarzenie to porusza ludzi i staje się przedmiotem plotek i niesamowitych opowieści. Policja jest zaś od tego, by dusić je w zarodku i przedstawiać racjonalne wyjaśnienia najbardziej nawet nieracjonalnych wydarzeń. Minutouli – jako szef poznańskiej policji – miał obowiązek uczynić wszystko, żeby zracjonalizować kompletnie nieracjonalny postępek hrabiego.

List zapieczętowany był bardzo starannie, a w czerwonej lakowej pieczęci wyraźnie odcisnięta była chusta z przewiązanymi końcami, herb Raczyńskich – Nałęcz. Długo patrzyłem na rozlaną efektownie lakową pieczęć i na zarys splecionych łodyg, tworzących roślinną fakturę na czerpanym papierze. Długo ważyłem list w ręku, przyglądałem się jemu, gładziłem go. Miałem nieodparte przeczucie, że kiedy wreszcie postanowię złamać pieczęć i przeczytam treść listu, otaczający mnie świat zmieni się nie do poznania. Intuicja zawsze odgrywała w moim zawodzie nie mniejszą rolę niż wiedza, tym razem przeczucie także mnie nie zawiodło. Gdy przeczytałem wreszcie list, wiedziałem, że coś się nieodwracalnie skończyło, coś odeszło. Poczulem brak i niemożliwe do zaspokojenia niespełnienie.

Pamiętam doskonale tę chwilę, gdy zrozumiałem, że nie jestem nieśmiertelny, że pewnego dnia i ja zniknę, tak jak zniknęli wszyscy ludzie przede mną i tak jak będą

znikali wszyscy ludzie po mnie. Człowiek, który wyleczył me ciało, otworzył zamknięte wrota mej duszy, uświadomił mi, że należy wybierać to, co się kocha, a nie to, czego oczekują od nas inni. Zrozumiałem, że to inni są naprawdę zniewoleni, a ja sam sobie stworzyłem złotą klatkę nakazów, obowiązków, powinności. Nie żyłem swoim życiem, tylko wypełniałem zobowiązania wobec rodu. Miłosne okowy wkrótce także stały się li tylko okowami. Gdy nie potrafiłem się wywiązać ze swych obowiązków, starałem się chociaż jakoś rekompensować moje zaniedbania. Czujne oczy szpiega śledziły każdy mój ruch. Nie odstępował mnie na krok. Ciemny cień, który zawsze podążał tropem moich kroków i moich myśli. Gdy traciłem nadzieję, że mogę cokolwiek zmienić, uwolnić od duszących mnie cieni, spotkałem tego, który mnie uleczył. Pojąłem, że sam zniweczyłem terapię. By uleczyć duszę, musiałem najpierw mieć zdrowe ciało. Wiedziałem, że nikomu nie mogę ufać, że nikogo nie mogę wprowadzić w mój tajny plan, że nikt mnie nie zrozumie, a każdy mnie potępi i zdradzi. Ukazywałem im tylko swoje zbolale cierpieniem oblicze. Mimo melancholii, jaka mnie ogarniała, i chęci ucieczki od tego świata, starałem się uczynić jak najwięcej dobrego dla mych krajan. Zawsze znajdował się ten, co niszczył to, co chciałem zbudować. Jak szatan, który sam nic nie buduje, a dzieła boskie niszczy. Gdy zły wszedł nawet do przybytku bożego, który stać się miał za mą przyczyną świątynią narodową, zrozumiałem, że na tym świecie sił mi nie starczy na zła pokonanie. Poznań to zbyt małe miasto dla mnie, nie na skalę mych myśli i zamierzeń, nie ma w nim stosownego rozmachu w murach i w ludzkich umysłach. Mądrzej uczynił mój brat, wybierając stołeczny Berlin i niemiecką kulturę. Tam go potrafią docenić. Skłaniając się coraz bardziej ku odejściu z tego świata, pozostawić po sobie postanowiłem pogrzebowy podarunek, by ci, którzy nie chcą mi towarzyszyć, nie musieli iść drogą, z której nie ma odwrotu. Byłem jak błędny rycerz, który wierzył w moc słowa i chciał świat modelować tak, by pasował do pięknych słów. Póki sił i wiary mi starczało, walczyłem z wiatrakami, gdy zasłona z oczu mi spadła... odchodzę tak, jak ten błędny rycerz.

„Gazeta Wielkiego Księstwa Poznańskiego” pachniała świeżą, drukarską farbą, leżąc na orzechowym blacie biurka, za którym siedział dyrektor poznańskiej policji – Julius von Minutouli. Najważniejszy policjant w Poznaniu nie spojrzał jednak nawet na jej szpalty. Z kamienną twarzą słuchał raportu wygłaszanego przez przodownika policji Egona Krenza, który beznamiętnym, rzeczowym tonem relacjonował koleje życia hrabiego Edwarda

Raczyńskiego. Nieskrywaną przyjemność sprawiało mu przewracanie kolejnych kartek w teczce z materiałami dotyczącymi niepokornego polskiego pana, które przez lata skrupulatnie gromadziła pruska policja królewska. Wreszcie przeszedł do raportu sporządzonego na podstawie relacji kaprała z garnizonu w Śremie, który był na miejscu samobójczej śmierci hrabiego. Koszmarne okoliczności związane ze śmiercią hrabiego nie wpłynęły jednak na zmianę tonu referatu.

Po dwóch godzinach policjant zakończył referat, podniósł wzrok ku twarzy dyrektora policji, a nie doczekawszy się żadnej reakcji, zamknął teczkę, starannie ją zasznurował i równo położył na brzegu blatu. Stuknął służbiście obcasami, by podkreślić, że skończył referować i oczekuje na kolejne polecenia. Nie potrafił przewidzieć, co postanowi jego ekscentryczny przełożony. Równie dobrze mógł kazać zanieść teczkę do archiwum w piwnicy Prezydium Policji, jak i wysłać wszystkich poznańskich policjantów wzmocnionych przez oddział landwehry do przeszukiwania Kępy Zaniemyskiej. Policmajster wybrał rozwiązanie pośrednie.

– Niech pan weźmie kilku ludzi, rozejrzyjcie się po pałacu w Rogalinie, po wyspie w Zaniemyślu, popytajcie okolicznych chłopów – zakomenderował. – A i w Poznaniu przepytajcie konfidentów, czy czegoś o samobójczych planach pana hrabiego nie słyszeli, a może o kimś, kto by go chciał zdekapitować. – Widząc niepewną minę policjanta, wykonał charakterystyczny gest ręką po szyi.

– Zrozumiałem. – Policjant zaszurał regulaminowo.

– Zróbcie taką zwykłą, policyjną robotę, jaką normalnie powinniście wykonać wtedy, gdy w jakichś dziwnych okolicznościach ginie ktoś ważny i bogaty – zakończył.

– Tak jest. – Oficer zasalutował i z nieukrywanym zadowoleniem opuścił gabinet szefa.

Miałem nieodparte przeczucie, że złamanie lakowej pieczęci Raczyńskich i uważna lektura listu sprawią, że odkryję rozwiązanie tajemnicy hrabiego. Nie był to pierwszy sekret, który miałem odkryć, wiedziałem, że konsekwencje tego listu będą dla mnie znacznie poważniejsze. Obawiałem się, że może on zmienić także moje życie. Zaczęłam powoli czytać kolejne zdania i rozszyfrowywać ich ukryte treści.

Pamiętam doskonale tę chwilę, gdy zrozumiałem, że nie jestem nieśmiertelny, że pewnego dnia i ja zniknę, tak jak zniknęli wszyscy ludzie przede mną i tak, jak będą znikali wszyscy ludzie po mnie... – zaczynał hrabia.

Samobójstwo nie jest decyzją, którą podejmuje się pochopnie – pomyślałem. – Właściwie to nie mówmy o samobójstwie, mówmy raczej o radykalnej decyzji życiowej. Takiej decyzji inteligentny, dojrzały człowiek nie podejmuje pod wpływem impulsu. Do takiej decyzji się dorasta, dojrzewa. Zawsze jest jednak coś, co jak iskra zapala lont. Tą iskrawą jest zdarzenie, które uświadamia człowiekowi, że jest śmiertelny, że nie zdąży w życiu osiągnąć wszystkiego, co sobie zaplanował, że musi wybrać to, na czym mu naprawdę zależy. W pogoni za codziennymi sprawami nie mamy nawet czasu na taką refleksję. Hrabia ten czas znalazł dopiero w 1841 roku.

Po zakończeniu sejmiku prowincjonalnego, objeżdżał łęgi nadobrzezańskie. Lekki atak apopleksji unieruchomił mu język i połowę twarzy. Hrabia stał się niemy. Nie mógł działać, nie mógł wydawać poleceń, nie mógł mówić. Mógł jedynie myśleć i dzięki temu – może po raz pierwszy od lat – zyskał możliwość zastanowienia się nad tym, co jest naprawdę dla niego ważne. W jaki sposób chciałby naprawdę przeżyć resztę swojego życia, którego ograniczoność po raz pierwszy chyba wyraźnie mu się ukazała.

...Człowiek, który wyleczył me ciało, otworzył zamknięte wrota mej duszy, uświadomił mi, że należy wybierać to, co się kocha, a nie to, czego oczekują od nas inni...

Człowiek, który wyleczył me ciało – uśmiechnąłem się, bo znałem rozwiązanie zagadki – człowiekiem tym był doktor Karol Marcinkowski, który podjął się wówczas leczenia hrabiego. Zastosował nowoczesną i eksperymentalną metodę lekkich wstrząsów elektrycznych. Terapia się powiodła i hrabia powrócił do pełnej sprawności. Jednak tego, co zaszło w tych dniach między największym magnatem w Wielkopolsce a medykiem leczącym poznańską biedotę, możemy się tylko domyślać. Hrabia, przyzwyczajony od lat do wydawania rozkazów, był uzależniony od wiedzy, talentu i szczęścia ubogiego medyka. Terapia była ryzykowna. Lekarz musiał zdobyć pełne zaufanie pacjenta. Jak mógł to uczynić? Może dopuszczając go do swej największej i najbardziej intymnej tajemnicy? A co było jego największym sekretem? Czy przypadkiem nie – niemożliwa do spełnienia – miłość do arystokratki Emilii Szczanieckiej?

...Zrozumiałem, że to inni są naprawdę zniewoleni, a ja sam sobie stworzyłem złotą klatkę nakazów, obowiązków, powinności...

Doktor Marcin kochał pannę Emilię, panna Emilia kochała Marcinkowskiego, ale konwenanse epoki i niski status społeczny i majątkowy lekarza nie pozwoliły im się połączyć. Nie mogli być razem, nie chcieli być z nikim innym, więc pozostali samotni i poświęcili się dla innych.

...Nie żyłem swoim życiem, tylko wypełniałem zobowiązania wobec rodu...

On, najbogatszy magnat Wielkiego Księstwa, miał pełną swobodę decydowania, jednak miał swobodnie wybierać, starał się spełniać oczekiwania, jakie pokładał w nim dziadek – Kazimierz Raczyński. Gdy ten umarł, hrabia natychmiast pojął za żonę swoją kuzynkę Konstancję Potocką, na ślub z którą wcześniej nie zgadzał się antenat. Wydawać by się mogło, że spełniło się jego marzenie o poślubieniu ukochanej kobiety, jednak wkrótce okazało się, że teraz hrabia musi wypełniać oczekiwania, jakie ma wobec niego żona.

...Miłosne okowy wkrótce także stały się li tylko okowami...

Konstancja wkrótce przestała wzbudzać jego silniejsze emocje i zmysły, doceniał jej umiejętności, szanował jej inteligencję, stał się bardziej jej przyjacielem niżeli mężem. Nie odczuwał potrzeby zbyt częstego przebywania w towarzystwie hrabiny. Coraz częściej podróżował sam. Musiała czuć się coraz bardziej odsunięta i zaniepokojona.

...Gdy nie potrafiłem się wywiązać ze swych obowiązków, starałem się chociaż jakoś rekompensować moje zaniedbania...

Może formą tej rekompensaty było publiczne podkreślanie wkładu hrabiny w wydawnictwa hrabiego, poświęcane jej dedykacje, fundowanie ulic czy chodników, którym miała patronować, wreszcie zamówienie jej pomnika. Żona z marmuru na pomniku nie wydaje się jednak wyrazem szczególnie gorących uczuć, raczej ich ostatecznego zastygnięcia w brązowym odlewie.

...Czuźne oczy szpiega śledziły każdy mój ruch. Nie odstępował mnie na krok...

Pomyślałem o sekretarzu hrabiego, nieodstępującym go w ostatnich miesiącach. Gottloba Conrada znalazła i podsunęła hrabiemu żona. Conrad miał być jego sekretarzem i opiekunem, ale przede wszystkim jej szpiegiem. Raczyński był jednak zbyt inteligentny, by tego nie zauważyć – pomyślałem. A jednak nie zrobił nic, by pozbyć się tego anioła stróża.

...Ciemny cień, który zawsze podążał tropem moich kroków i moich myśli...

Nie zdradził nawet, że domyśla się prawdziwej roli swego asystenta. Dlaczego? Może postanowił uczynić szpiega nieświadomym współnikiem, a dzięki jego nieświadomości, współnikiem niezwykle wiarygodnym. Conrad śledził każdy jego krok, pisał sprawozdania Konstancji. Hrabia dbał, by szpieg przekazywał relacje wiarygodne, a nawet prywatne i intymne. Z Conrada uczynił sobie latarnię, która oświetlała jego czyny i zamiary. A może rzec inaczej. Sekretarz był cieniem swego pana, pan jednak wiedział o cieniu i dbał o to, by cień tak się układał, jak on sobie tego życzy.

...Gdy traciłem nadzieję, że mogę cokolwiek zmienić, uwolnić od duszących mnie cieni, znowu spotkałem tego, który mnie uleczył. Pojąłem, że sam zniweczyłem terapię. By uleczyć duszę, musiałem mieć zdrowe ciało...

To chyba o tym, jak za namową Marcinkowskiego pojechał do wód do Gastein. Z docierających do Poznania wieści wynikało, że hrabia bardzo przyspieszył zaleconą mu wtedy kurację. Zdrowiał niemal z dnia na dzień. Czy spieszył się tak bardzo, bo chciał w pełni sił i zdrowia wystrzelić się na drugi świat?

...Wiedziałem, że nikomu nie mogę ufać, że nikogo nie mogę wprowadzić w mój tajny plan, że nikt mnie nie zrozumie, a każdy mnie potępi i zdradzi. Ukazywałem im tylko swoje zbolale cierpieniem oblicze....

Pan się leczył, a sekretarz donosił o nasilających się bólach kręgosłupa, o nawrotach depresji, o czarnej melancholii, w jaką popada hrabia. Bóle miały być tak wielkie, że kazał sobie przygotować marmurowe łożo, w którym się kładł. Wyglądał wtedy jak na katafalku.

...Mimo melancholii, jaka mnie ogarniała, i chęci ucieczki od tego świata, starałem się uczynić jak najwięcej dobrego dla mych krajan...

Pamiętałem wnioski hrabiego z ostatnich sejmów prowincjonalnych. Postulował o szkołę realną w Poznaniu, o niezamykanie więźniów w kazamatach, a wysyłanie na jakąś wyspę, o powołanie szkoły dla panien szlacheckich. Dla żadnego wniosku nie uzyskał poparcia krajan w sejmie, wszystkie przepadły, a przecież wiedział, jak pozyskiwać głosy. Chyba mu na nich szczególnie nie zależało, wiedział, że i tak nie zobaczy efektów.

...Zawsze znajdował się ten, co niszczył to, co chciałem zbudować. Jak szatan, który sam nic nie buduje, a dzieła boskie niszczy...

Pan Edward spodziewał się pewnie, że na sejmie w 1843 roku odbierze hołdy i podziękowania za urządzenie kaplicy królów polskich. Powstała wszak dzięki jego inwencji, zaangażowaniu i pieniądзом. A tu poseł Pantaleon Szuman zarzuca mu pychę i magnacką dumę, a inni go popierają. Hrabia się nie bronił, nie przedstawiał swych racji. Wielu by się zresztą znalazło gotowych bronić takiego pana. Wystarczyło, by skinął. Nie skinął. W pokorze przyjmował zarzuty. Jakby wiedział, że bez żadnych słów wygra ten pojedynek. Ze smutkiem patrzył na posła ze Swarzędza, świadom jego małości i swego ostatecznego zwycięstwa. Nawet jeśli osiągnięte zostanie zza grobu. On zapamiętany zostanie jako niezrozumiany i niedoceniony filantrop, a poseł Szuman wyłącznie jako ten, co popchnął go ku samobójczej śmierci.

...Gdy zły wszedł nawet do przybytku bożego, który stać się miał za mą przyczyną świątynią narodową, zrozumiałem, że na tym świecie sił mi nie starczy na zła pokonanie...

Inscenizacja była przygotowana doskonale. Hrabia zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Dopilnował, by robotnicy starannie zatarli jego nazwisko na marmurowej płycie w kaplicy królewskiej. – Skoro nie chcecie uznać we mnie fundatora i mecenasa, skoro jesteście tak niewdzięczni, to nie będę zabiegał o waszą łaskę, sam się usunę – zdawał się mówić tym symbolicznym gestem. A we wszystkim towarzyszył mu osobisty sekretarz Conrad, który potem wszystko dokładnie wszystkim sprawozda.

...Poznań to zbyt małe miasto dla mnie, nie na skalę mych myśli i zamierzeń, nie ma w nim stosownego rozmachu w murach i w ludzkich umysłach...

Z listów Conrada do hrabiny Konstancji wynika, że podczas listopadowego pobytu hrabiego w Berlinie, szpieg-sekretarz nie miał możliwości kontrolowania swego pana. Hrabia wychodził z pałacu brata przy Unter den Linden 21 w południe i wracał późnym wieczorem. Nikt nie wiedział, co wtedy robił, z kim się wówczas spotykał.

*...Mądrzej uczynił mój brat, wybierając stołeczny Berlin i niemiecką kulturę.
Tam go potrafią docenić...*

Hrabia Atanazy szybko zraził się do Poznania i Wielkopolski. W czasie, gdy brat korzystał z jego berlińskiej rezydencji, on – jako poseł pruski – bawił w Hiszpanii i Portugalii. Namawiał brata, by porzucił Poznańskie i przyjechał do Lizbony, gdzie oddzielony od spraw polskich będzie w przyjemnym klimacie przyjemnie spędzał czas. Hrabia Edward odrzucił zaproszenie, ale uczynił to dla zadowolenia żony, syna i własnego poczucia odpowiedzialności. Zaczął przemyślać nad zrealizowaniem konkretnego planu. W Berlinie spotykał się z ludźmi, którzy mieli mu pomóc w ucieczce i zatarciu śladów.

...Sklaniając się coraz bardziej ku odejściu z tego świata, pozostawić po sobie postanowiłem pogrzebowy podarunek, by ci, którzy nie chcą mi towarzyszyć, nie musieli iść drogą, z której nie ma odwrotu...

Dom pozornie umarłych – pomyślałem – pośród wszystkich niepowodzeń ostatnich lat, ten projekt hrabia doprowadził do udanego finału. Założył małe funeralium, w którym składano na kilka dni zmarłego, by sprawdzić, czy nie popadł jedynie w letarg. A gdy dzwonek, zawieszony na sznurku, którego koniec przywiązany był do palca u nogi „pozornie zmarłego” przez trzy dni nie zadźwięczał, „pozornie zmarły” stawał się „faktycznie zmarłym” i mógł zostać złożony w grobie bez obawy, że się obudzi zakopany. Dom pozornie umarłych – powtórzyłem bezgłośnie, a potem przyszła mi myśl tak zdumiewająca, że natychmiast włożyłem płaszcz i ruszyłem ku domowi przedpogrzebowemu.

Policjant Egon Krenz stał przed dyrektorem policji poznańskiej i szczegółowo raportował ustalenia, jakie poczynili w trakcie kilkudniowego dochodzenia. Julius von Minutouli siedział wpatrzony w budynek teatru stojącego przed oknem jego gabinetu,

wydawało się, że nie słucha monotonnego wywodu podwładnego. Nagle – jakby otrząsnął się z odrętwienia – przerwał policjantowi:

– A jak ci, co przeżyli? Jak to zniosła pani hrabina Raczyńska?

– Pani hrabina bardzo dzielnie zniosła ten straszny cios. – Krenz po chwili zrozumiał pytanie. – Robi wszystko, by zmniejszyć hańbę rodziny. Z proboszczem się ugodziła, że da pieniądze na dokończenie kościoła w Zaniemyślu, a jej mąż za to spoczął w grobie przy kościelnym murze. Żeby nie leżał pod cmentarnym płotem jak jakiś pospolity samobójca, ale przy kościele, jak wielki pan.

– I płytę nagrobną mu ufunduje, jak wielkiemu panu? – zapytał jeszcze.

– Nie, panie dyrektorze – odparł szybko policjant. – Pani hrabina ma całkiem inny zamysł. Na grobie umieścić postanowiła swój pomnik, ten, co go niedawno dla pana hrabiego z Berlina przywieźli i co miał stanąć na studziencie Priesnitza. Będzie stał pod kościołem, na grobie pana hrabiego i napis tam jeszcze będzie.

– Jaki napis? – zainteresował się Minutouli.

– Taki jakiś... – Policjant zaczął nerwowo wertować swój notes, bo pamiętał, że treść inskrypcji zanotował, ale nie uznał jej za na tyle ważną, by umieścić w raporcie. – „Tu spoczywa Edward hr. Nałęcz Raczyński, który dla siebie był skąpy, pomocny biednym, hojny dla Ojczyzny” – odczytał pośpiesznie.

– I ani słowa o miłości, o tęsknocie, o żalu, o tym, jakim był wspaniałym mężem i ojcem, i jak bardzo będzie go rodzinie brakowało? – raczej powiedział niż zapytał.

– No ma być jeszcze coś o żonie – niepewnie wyjąkał policjant.

– Co o żonie? – podchwycił Minutouli.

– Coś, że wierna żona zawsze przy mężu, czy jakoś podobnie – odpowiedział niezbyt pewnie komisarz.

– Wierna żona zawsze przy mężu – zadumał się dyrektor.

Gdy wychodziłem z przysadzistego budynku naprzeciw miejskiego teatru, domyślałem się prawdziwego rozwiązania zagadki. Czulem, że kawałki tej hrabiowskiej układanki krążą wokół mej głowy, czulem, że jestem bliski tego wspaniałego momentu, gdy pierwszy klocek znajdzie się na swoim miejscu, a w ślad za nim kolejne będą zajmowały właściwe pozycje, a w mojej głowie ułoży się cała ta układanka.

Wizyta w domu pozornie umarłych potwierdziła moje podejrzenia. W ostatnich dniach złożono tam trzech pozornie umarłych. Jeden był mieszczaninem, którego rodzina zabrała

i pochowała na cmentarzu świętomarcińskim, drugim był pomocnik rzeźnicki z Chwaliszewa, który zginął w czasie bójki, trzecim był kupiec ze Gostynia. „Kupiec z Gostynia” został zabrany saniami pana hrabiego, który postanowił odwiedzić zmarłego rodzinie. Strażnik funeralium płakał, opowiadając o wielkim sercu hrabiego, który sam dzień później wieziony był tym samym karawanem.

W innej sytuacji sprawdziłbym w księgach parafialnych Gostynia i pobliskich miejscowościach, czy rzeczywiście zmarł tam ktoś w ostatnich dniach i czy go grzebano na miejscowym cmentarzu, po przywiezieniu z Poznania. Tym razem nie było takiej potrzeby, bo bez tego wiedziałem, że nic takiego nie miało miejsca. Stare policyjne przysłowie mówi, że jak nie ma trupa, to nie ma zbrodni. Uśmiechnąłem się do tego, który potrafił tak twórczo rozwinąć tę prostą myśl.

Julius von Minutouli, widząc że policjant nic więcej już nie doda do tego, co wyrecytował, postanowił podsumować ustalenia policyjnego dochodzenia.

– Hrabia poszedł ku Kępie Zaniemyskiej po skutym lodem jeziorze i tak wszyscy go zapamiętali: gdy zniknął wśród zimowych mgieł.

– Tak jest – przytaknął policjant.

– Wcześniej wysłał do hrabiny Conrada, potem odesłał strażnika, który pilnował szwajcarskiego domku, a jego córce nakazał, by zniosła list – w którym żegnał się z żoną – do proboszcza zaniemyskiej parafii.

– List pożegnalny – powtórzył policjant. – Tak, jak to samobójcy mają w zwyczaju.

– Raportujecie dalej, że wyprowadził armatkę wiwatową na ganek szwajcarskiego domku, podpalił lont, klęknął przed lufą, a gdy ta wystrzeliła, to siła wybuchu była tak wielka, że oderwała hrabiemu głowę, której szczątki rozsypały się po okolicy.

– To prawda – skwapliwie przyznał śledczy.

– Po dekapitacji, nikt z tych, którzy przybyli na miejsce zdarzenia, nie był w stanie rozpoznać hrabiego, wszyscy odwracali wzrok od korpusu pozbawionego głowy, taki to był koszmarny widok.

– Dokładnie tak właśnie, panie komendancie – przytaknął policjant.

– Potem, ci, co by potrafili hrabiego rozpoznać – kontynuował Minutouli – także go nie identyfikowali, bo nie chcieli nawet podnosić wieka trumny z jego zmasakrowanymi doczesnymi szczątkami.

– Nie chcieli – potwierdził policjant.

– A teraz, ten bezgłowy trup, który leży w grobie przy kościelnym murze, przyciśnięty zostanie jeszcze kilkutonowym monumentem jego żony. Tak więc nikt się tego grobu otworzyć już nigdy nie poważy?

– Tak jest, panie komendancie – przytaknął machinalnie policjant.

– A ślady sań po drugiej stronie wyspy toście chociaż widzieli? – Dyrektor nieoczekiwanie zmienił wątek.

– Były ślady sań, zakołowały – odpowiedział machinalnie policjant. – Ale całkiem już zawiane, zupełnie nie dało się stwierdzić, dokąd prowadziły.

– No to, skoro nie ma żadnych śladów... Nie ma poszlak, by ktoś hrabiemu pomagał w rozstaniu się z życiem. Policja nie ma tu nic więcej do zrobienia. Zamykamy sprawę.

– Do archiwum? – zapytał policjant, patrząc na tekturowe teczki z dokumentami dotyczącymi Raczyńskiego.

– Jutro – rzucił krótko Minutouli. – Dziś jeszcze nie skończyłem.

Sięgnąłem do torby, by wyjąć list, który przyniósł do mnie tajemniczy człowiek w noc śmierci hrabiego. Może ktoś, kto przyjdzie po mnie, będzie miał więcej talentu i odnajdzie rozwiązanie sekretu jego śmierci. Byłem przekonany, że taki sekret istnieje i, mimo że się do niego zbliżyłem, to jednak go nie odkryłem. Pajęcza sieć tajemnicy osnuwała postać hrabiego, trudno było się do niego zbliżyć, trudno było rozszyfrować jego zamiary za życia, co dopiero jego zagadkową i tak nieprawdopodobną śmierć. Zawodowa uczciwość nakazywała mi, bym pozwolił temu, który po latach wróci do tej sprawy, by miał komplet informacji, którymi ja dysponowałem. Jeśli będzie potrafił je lepiej spożytkować, to jego zasługa i chwała. Czulem się zobowiązany do przekazania mu także tajemniczego listu. Przeczytałem go raz jeszcze i spojrzałem na ostatnie zdanie.

...Byłem jak błędny rycerz, który wierzył w moc słowa i chciał świat modelować, tak by pasował do pięknych słów. Póki sił i wiary mi starczało, walczyłem z wiatrakami, gdy zasłona z oczu mi spadła... odchodzę tak, jak ten błędny rycerz...

Przeczytałem to zdanie jeszcze kilka razy. Z przyjemnością patrzyłem na śnieżne płatki kołujące za oknami mojego gabinetu. Podobno śniegowy płatek ma najdoskonalszą strukturę. Uśmiechałem się do płatków, czując, jak wszystko zaczyna się składać, jak poszczególne elementy odnajdują swoje miejsca, jak cała opowieść się domyka.

Julius von Minutouli
Dyrektor Królewskiej Policji w Poznaniu

Raport w sprawie śmierci Edwarda hr. Raczyńskiego

Jako Dyrektor Królewskiej Policji w Poznaniu zleciłem dochodzenie w sprawie okoliczności samobójczej śmierci Edwarda hr. Raczyńskiego w miejscowości Zaniemyśl. W trakcie przeprowadzonych czynności policyjnych nie stwierdzono udziału osób trzecich, które by się mogły przyczynić do śmierci denata, co nakazuje przyjąć tezę, że zginął śmiercią samobójczą.

Prezydent Policji w Poznaniu
Julius von Minutouli

Tajny aneks do raportu

W toku prowadzonego śledztwa ukazały się jednak okoliczności, które nakazują powziąć poważne wątpliwości co do tego, czy hrabia Edward Raczyński faktycznie zginął śmiercią samobójczą. Okoliczności te to:

- 1) fakt otrzymania tajemniczego listu, skierowanego do komendanta policji w Poznaniu Juliusa von Minutoulego;
- 2) fakt zniknięcia zwłok mężczyzny, wieku i postury hrabiego, które złożone były w domu pozornie umarłych zorganizowanym przez hrabiego;
- 3) fakt, że nikt nie dokonał identyfikacji pozbawionych głowy zwłok mężczyzny znalezionych obok armaty wiwatowej w Zaniemyślu;
- 4) fakt, że rodzina dokonała szybkiego pochówku zmarłego, a jego grób został zabezpieczony poprzez ustawienie na nim ciężkiego pomnika z brązu;

W przypadku wybitnego intelektualisty, jakim był hrabia Edward Raczyński, dochodzenie nie może zostać ograniczone do zwykłej policyjnej roboty, ale wymaga pogłębionej analizy. Wszystkie wskazane w raporcie, dokumentach ze śledztwa oraz w powyższych punktach wątpliwości stają się bardzo istotne w kontekście:

- 5) faktu, że ulubioną lekturą hrabiego Edwarda Raczyńskiego były przygody przemysłnego szlachcica Don Kichota z La Manchy.

Przemysłny szlachcic Don Kichot z La Manchy to bohater, który w młodości czytał romanse rycerskie i na ich podstawie zbudował sobie obraz świata i wyobrażenie samego siebie. Uznał, że musi być błędnym rycerzem, który będzie bronił honoru damy – Dulcyniei. Wszystkie zdarzenia, które go spotykały, interpretował w ramach swojej – literackiej – wizji świata. Podobnie rzecz się miała z hrabią Edwardem Raczyńskim, który wychowany został na książkach, które jako cechy właściwe arystokracji wskazywały uczciwość, lojalność, wierność, oddanie, rzetelność. Naiwny hrabia starał się te cechy realizować w swoim życiu. W finale powieści hiszpański szlachcic pojmując, że literatura zatrzymała mu wyobraźnię, żałuje tego, że zmarnował życie, pozostawia majątek krewnym oraz przyjaciółom i umiera.

Autor nie dał jednak jednoznacznej odpowiedzi, czy Don Kichot umarł w sensie fizycznym, czy umarł jako kreacja paraliteracka. Istnieje przekonanie, że po „śmierci” błędnego rycerza, odrodził się jako normalny człowiek, który pragnie czerpać z życia.

Podobnie rzecz się ma z hrabią Raczyńskim. Zdaniem miejscowego Dyrektora Królewskiej Policji możliwym jest, że hrabia Raczyński umarł jako postać skonstruowana przez nakazy, normy i powinności, a równocześnie urodził się jako wolny człowiek, który postanowił żyć nieobciążony żadnym konwenansami i obligacjami. Za powyższym rozumowaniem przemawia fakt spektakularnej śmierci hrabiego Raczyńskiego. Jako człowiek pełen powinności nie miał tyle wewnętrznej siły, by zmienić swe życie. Ponadto sam fakt zakończenia/rozpoczęcia życia wystrzałem z armatki wiwatowej wydaje się wskazywać na radosny charakter tego zdarzenia, a trudno by na wiwat strzelać na okoliczność śmierci.

W związku z powyższym zbrodni samobójstwa nie popełniono.

Julius von Minutouli

Patrzyłem na list otrzymany od tajemniczego przybysza, spoglądałem na raport leżący przede mną. Wahałem się czy włożyć je do teczki sprawy hrabiego Raczyńskiego. Wyjąłem kopertę, włożyłem do niej oba dokumenty i zalakowałem. Na kopercie umieściłem napis „Nie otwierać przez 100 lat – do stycznia 1945 roku”. Uznałem, że to wystarczający czas dla rodziny Raczyńskich.



INCYDENT NA WSI

Jakub Branicki

Nic nie zwiastowało, że trzydziestego września będzie dniem innym niż pozostałe. Jak co wtorek, Robin jako pierwszy zerwał się z łóżka. Popatrzył na swoją żonę. *O, Boże. Jak można tak pięknie wyglądać nawet podczas snu?*

Dosłownie na palcach ruszył ku pokojowi, w którym mieszkały Debbie i Lisa. Drzwi były uchylone. Podszedł do nich i pchnął je przed siebie. Były tam. Jak zawsze. Dwuczęściowe okno było szczelnie zamknięte, a zasłony zasunięte. Dziewczynki bały się spać przy otwartym oknie. Przed pójściem spać zawsze najpierw Debbie sprawdzała, czy aby okno jest dokładnie zamknięte, a potem Lisa wychodziła z pokoju, w celu skontrolowania zaryglowania drzwi. Dopiero gdy upewniły się, że nie ma sposobu, by dostać się do domu od zewnątrz, mogły spokojnie iść spać. Spojrzał na śpiące dziewczynki, obejmujące się nawet we śnie. Spały na dwóch łóżkach położonych tuż przy sobie. Robin uśmiechnął się pod nosem.

Ubrał na nogi wysokie do połowy łydek kalosze i wepchał do nich nogawki spodni, by nie ubrudziły się zbyt w błocie. Gdy uznał, że jest już gotowy do drogi, przekręcił w prawo rygiel w drzwiach i wyszedł na dwór. Podmuch chłodu poranka uderzył w jego twarz z nieprawdopodobnym impetem. Wziął głęboki wdech, zamknął za sobą drzwi i ruszył w stronę tak bardzo sobie znaną. Nagle zawiął mocniejszy wiatr, którego chłód wręcz przeszył go do szpiku kości. Usłyszał za sobą niepokojący szelest. Odwrócił się w kierunku, z którego pochodził. Lecz po chwili uderzył się w głowę, naśmiewając się z własnej głupoty. Było to tylko pole pszenicy. Łany zboża zafalowały jedynie na wietrze, sprawiając wrażenie, jakby żółto-złote kolory zamieniały się nawzajem położeniem. Dalej słyszał szelest. Był jednak pewien, że nie był to dźwięk, który jego umysł wychwytał chwilę temu...

II

Noc nadeszła tak szybko. Zdziwienie zawsze ogarniało Robina, gdy musiał kłaść się spać. Wydawało się, że dopiero co wstał. Ależ ten czas leci!

Po opłukaniu ciała w kuble zimnej wody, położył się do łóżka, gdzie leżała już jego żona. Obróciła się do niego plecami. Jej oddech był miarowy, a ramiona unosiły się w górę i opadały w dół. I tak przez cały czas. Robin uznał, że nie ma sensu jej budzić. To, co chciał jej powiedzieć, musi poczekać do jutra.

Zgasił lampkę nocną, stojącą na szafce obok niego. Nagle pokój rozjaśniło białe światło. Serce Robina zabiło mocniej. Po chwili dopiero zdał sobie sprawę, że to błyskawica rozbłysła na czarnym już niebie. Uspokoił się nieco. Dawno jednak nie widział już burzy. Stęsknił się za tym widokiem. Wstał z łóżka i podszedł do okna. Gdy stanął w miejscu, od jego bosych stóp aż po ramiona przeszła fala chłodu, bijąca od zimnych, drewnianych desek podłogi. Popatrzył przez szybę, jak krople deszczu spadają z nieba i kończą swój lot, uderzając o ziemię. Słyszał bębnienie większych kropli, które uderzały o parapet. Bał się, by nie obudziły Susan. Wiatr musiał wiać naprawdę mocno, bo drzewa ugiwały się, niemal dotykając ziemi. Naprawdę malowniczo prezentowało się pole pszenicy, którego złote barwy, przyciemnione mrokiem nocy, zdawały się falować. Wyglądało nieco jak morze podczas sztormu. Morze pszenicy. Kolejna błyskawica rozjaśniła nocne niebo. Robin zasłonił okno nieprzepuszczającymi światła zasłonami. Nie chciał, by ta burza obudziła jego żonę. Następnie zawrócił i z powrotem położył się obok Susan. Naciągnął na siebie kołdrę.

Sen nadszedł zbyt szybko, by udało mu się go powstrzymać.

Susan słyszała, jak Robin wchodzi do pokoju po szybkim prysznicu. Słyszała, jak kładzie się na łóżku, zaraz potem wstaje, by pooglądać burzę, by wreszcie położyć się z powrotem. Myślał, że ona śpi, ale nie spała. Nie mogła zasnąć. W jej głowie kłębiło się zbyt wiele myśli. Nie mogła nad nimi zapanować. Oczywiście na głównej półce jej zmartwień siedział Stephen, machając do przodu i do tyłu zwisającymi nogami i głaszcząc po główkach siedzące mu na kolanach Lisę i Debbie. Gdy pierwszy raz go zobaczyła, od razu nie miała do niego zaufania. Te słomiaste, rozczochrane włosy, wiecznie podkrążone oczy i wyszczerzone w drwiącym uśmiechu, żółte zęby sprawiły, że Susan natychmiast poczuła do niego antypatię. Nie mogła jednak wyrzucić go z domu. Był umierający i nie nadawał się do transportu. Musiał zostać. Pół roku nie ruszał się z łóżka. Susan przynosiła mu jedzenie, poiła go, ubierała. On zawsze patrzył na nią tymi pustymi oczami i z drwiącym uśmiechem na ustach. Nie lubiła go coraz bardziej. Wzruszyła ją jednak historia, którą opowiedział. Nie mogła go wyrzucić z domu po tym, co usłyszała. Chcąc czy nie chcąc, pozwoliła mu zostać. Po roku jej podejrzania co do niego stawały się coraz bardziej prawdopodobne. Więcej czasu spędzał z dziewczynkami niż u siebie. Bawił się z nimi bardzo często. Zawsze jednak, gdy szedł do ich pokoju, uśmiech na jego twarzy stawał się znacznie szerszy. Nie podobało jej się to. Dziewczynki jednakże zdawały się tego nie zauważać i wciąż pozwalały mu wchodzić do ich pokoju, gdy tylko stanął u drzwi. Najgorsze było dla Susan to, że drzwi wciąż były zamknięte. Nigdy jeszcze nie widziała, co za nimi się dzieje. Pocieszała się jedynie, że gdyby działo się coś złego, dziewczynki na pewno by ją o tym powiadomiły. Były bardzo wyleknione. Bały się wszystkiego. Nie dalej niż godzinę temu słyszała, jak któraś z nich wyszła ze swojego pokoju, by sprawdzić, czy drzwi wejściowe są właściwie zamknięte.

Zapewne rozmyślałaby dalej, gdyby nie sen, który zamknął jej powieki.

III

Kolejny dzień nastął wraz ze wschodem słońca. Robin właśnie orał pole, gdy usłyszał przeraźliwy wrzask swojej żony. Natychmiast zdał sobie sprawę, że musiało się stać coś naprawdę okropnego, gdyż Susan nigdy nie krzyczała bez powodu, a raczej trudno ją było przestraszyć. Rzucił wszystko na ziemię i najszybciej, jak tylko mógł, pobiegł do domu. Jego serce biło tak mocno jak jeszcze nigdy. Bał się tego, co może go spotkać, gdy dotrze na miejsce.

Dobiegł wreszcie pod ganek. Z domu wypadł właśnie Joe, wyglądający na jeszcze lekko zaspanego. Widać było, że to krzyk matki wybudził go ze snu. Na schodkach stała Susan. Trzymała coś w ręce, lecz Robin nie mógł dojrzeć co, gdyż stał za daleko. Twarz jego żony wyrażała bezgraniczne przerażenie, a po jej policzkach spływały łzy.

– Stephen zniknął – wyszeptała. – A wraz z nim dziewczynki...

Wypuściła z dłoni przedmiot, który trzymała. Gdy powoli opadł wreszcie na ziemię, Robin zobaczył, co to. Był to niebieski skrawek sukienki Lisy. Był on jednak cały pochłapany krwią.

IV

– Stephen w końcu je porwał! Mówiłam ci, że nie jest godny zaufania! Od początku ci mówiłam! A ty nie słuchałeś i... i teraz nie ma naszych dziewczynek... To wszystko twoja wina!

Robin jednak jej nie słuchał. Nie było czasu. Gdy tylko zobaczył zakrwawiony skrawek sukienki Lisy, klepnął Joe'go w ramię, dając mu znak, by pobiegł za nim. Wbiegli do kanciapy. Robin miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał tego robić. Była to jednak bez wątpienia wyższa konieczność. Uderzył mocno stopą o jedną z desek podłogi, a ta bez najmniejszego oporu załamała się pod ciosem. Robin wiedział, że tak się stanie, dlatego równowagę trzymał przez cały czas na drugiej nodze. Uderzył ponownie. I jeszcze raz. Gdy wreszcie dziura była na tyle szeroka, by można było pomieścić całego człowieka, Robin wskoczył do środka.

– Tato... – zaczął Joe, nieco skonsternowany tym niespodziewanym odkryciem. – Co to...

Nie dokończył jednak, gdyż chwilę potem z dziury wyłoniło się ramię jego ojca, które trzymało strzelbę. Joe wziął ją do rąk. Jeszcze nigdy nie trzymał w dłoni prawdziwej broni. Co prawda wiedział całkiem sporo o obsłudze tego urządzenia, które niemądrze użyte mogło nieść śmierć... Wiedział, jak wielką odpowiedzialność bierze na barki, chwytając tę strzelbę. Po chwili z dołu wyskoczył Robin. Na jego twarzy malował się niezmacony spokój, ale zdradziły go oczy, w których szalała furia i niepohamowany gniew. Dał tylko znak ręką synowi, by szedł za nim. Joe ruszył więc szybkim krokiem za ojcem.

Robin jednym dużym krokiem pokonał trzy stopnie prowadzące na ganek, na którym wciąż była Susan. Nie oskarżała już jednak swojego męża. Skuliła się jedynie i klęcząc w rogu, cicho płakała. Dla Joe'go było to potworne przeżycie. Osoba, która zawsze dostarczała mu tyle szczęścia, zalewała się łzami, myśląc, że przegrała wszystko i teraz nie ma już po co kontynuować tej monotonnej ludzkiej egzystencji. Teraz chłopak poczuł w sobie poczucie misji. Musiał znaleźć dziewczynki, choćby tylko po to, by sprawić, żeby matka wróciła. Wbiegł więc

szybko do domu i już po chwili znalazł się w pokoju dziewczynek. Nie było w nim nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia Joe'go. Nic... Z wyjątkiem jednej rzeczy: okno było otwarte na oścież, a zimne, poranne powietrze wpadało do pokoju. Joe poczuł ten chłód, jednakże jego ojciec sprawiał wrażenie, jakby nic do niego nie docierało. Stał bez ruchu, zupełnie jak posąg z marmuru. Wydawał się zastanawiać nad czymś głęboko. W końcu obrócił się do Joe'go i powiedział:

– Pewnie zauważyłeś już, co mi w tym wszystkim nie pasuje. Otwarte okno. Dlaczego Steve wchodził przez okno? Nie łatwiej byłoby mu po prostu wejść do pokoju, wynieść Lisę i Debbie przez drzwi wejściowe i uciec? To nie ma sensu. Po co wychodził na dwór i wchodził przez okno? A co najważniejsze: zamek jest od wewnątrz, więc któraś z dziewczynek musiałaby mu je otworzyć. Przecież to bez sensu. O co tu chodzi?

Lecz na to pytanie ani on, ani Joe nie znali odpowiedzi.

To, że pogoń muszą zacząć od okna, było oczywiste, lecz Robin, nie chcąc zacierać tropu, najpierw wyszedł z domu, potem stanął pod oknem pokoju dziewczynek i dopiero wtedy pochylił się, by poszukać śladów. Oczywiście przez cały czas dreptał za nim Joe, zaciskając mocno palce na strzelbie, którą dostał od Robina. Spodziewał się, że poszukiwanie przez ojca śladów może potrwać długo i prawdopodobnie okaże się bezowocne. Zdziwił się jednak, gdy Robin, nawet do końca się nie pochylając, wyprostował się nagle jak struna i powiedział.

– Są tu wyraźne ślady.

Nie mówiąc nic, puścił się biegiem z głową spuszczoną ku ziemi, śledząc trasy śladów sześciu stóp. Dwie, zdecydowanie mniejsze, zostały pozostawione przez bose stopy dziewczynek, natomiast trzecie zostawił Steve, ubrany w te swoje grube, ciężkie buciory. Robin nagle się zatrzymał i pochylił się nad śladami. Wyciągnął dłoń i dotknął dwoma palcami odcisku stopy jednej z dziewczynek, a następnie śladu pozostawionego przez Stephena. Chwilę przerzucał garstkę ziemi między palcami, po czym wstał i powiedział:

– Ślady Stephena są świeższe niż dziewczynek. Ziemia, która jest osadzona na jego śladach, jest bardziej mokra od tej spod ich stóp. Wygląda na to, jakby kazał im samym iść, a dołączył do nich jakieś pół godziny później.

– Ale przecież to jest głupie! Kto przy zdrowych zmysłach by tak zrobił?

– No właśnie – zgodził się Robin. – Kto?

Podczas dalszego tropienia śladów nie odzywali się już do siebie. Nie trwało to jednak zbyt długo, gdyż odcisnięte na ziemi ślady doprowadziły ich do pola pszenicy. Jeden ze śladów stóp dziewczynek urywał się, a w miejscu, gdzie weszła w zboże, widniało lekkie wgniecenie pnących się ku górze źdźbeł. Robin obrócił się do Joe'go. Na jego twarzy odmalowała się śmiertelna powaga, jakiej chłopak u ojca nigdy nie widział.

Po chwili Robin skinął tylko głową i zagłębił się w pole pszenicy, a Joe ruszył za nim.

Jakieś dwadzieścia minut później natrafili na pustą polanę. Po ciele Robina przeszedł dreszcz. Jak to możliwe? W środku ogromnego pola pszenicy pusta polana? Ktoś musiał regularnie o to dbać, gdyż granice pola były równo przycięte, i gdyby wznieść się nad ziemię, bez wątpienia można by ujrzeć, że tworzą jakiś wzór. Robina przeleciał dreszcz, natomiast Joe autentycznie się przestraszył. On także wiedział, że to nie powinno mieć miejsca. Zaczęli powoli, krok za krokiem, iść przed siebie. Teraz zachowywali większą czujność niż w polu pszenicy, gdzie nie widzieli nawet drugiej osoby, mimo że ta szła tuż obok. Trzymali cały czas strzelby w gotowości. Nagle Robin poczuł, że nastąpił na coś nogą. Pochylił głowę w dół, a wraz za jego wzrokiem powędrowały też oczy Joe'go.

Na ziemi leżała kokarda do włosów Lisy.

Robin uklęknął i podniósł ją z ziemi. Była cała pochlapana jeszcze świeżą krwią, która wciąż spływała z kokardy na ziemię. Po prawej stronie widniał zaś jakiś dziwny symbol, namalowany z pewnością krwią. Tą samą, która skapywała właśnie na ziemię. Była to czteroramienna gwiazda, jednak z miejsc zetknięcia jednego ramienia z drugim wychodziło nowe. W sumie miała ona osiem ramion.

– Tato... – dobiegł go przerażony głos Joe'go.

Robin podniósł głowę. Naprzeciwko nich stała jedna z dziewczynek. Sądząc po kolorze sukienki, była to Lisa. Ciężko było jednak na pewno to stwierdzić i to wcale nie z powodu ciemności. Była cała umazana krwią, a jej sukienka była cała w strzępach. Stała bez ruchu i martwym wzrokiem wpatrywała się w Robina i Joe'go. Mimo zimna, które było na dworze, ubrana jedynie w nocną koszulę, nawet nie drgnęła. Stała jedynie jak posąg i patrzyła się na ojca i brata. Nagle zawiął mocniejszy wiatr, a Joe'm wstrząsnął dreszcz strachu.

–Lisa... – wyszeptał ojciec, wyciągając ku niej ręce.

Dziewczynka nie zareagowała od razu. Przez chwilę patrzyła jeszcze na ojca tym samym, pozbawionym emocji wzrokiem, w końcu, powolnym krokiem, zaczęła się do nich zbliżać.

Robin też postąpił ku niej. Joe jednak nie ruszył się z miejsca, targany złymi przeczuciami. Robin zbliżał się ku niej coraz bardziej, a ona była coraz bliżej niego. Dopiero gdy znalazł się kilka metrów przed Lisą, zaczęło się dziać coś złego. Dziewczynka stanęła w miejscu, a ziemia pod jej stopami zrobiła się czarna. Wyglądało to jak pajęczyna, która cały czas się powiększa, jak korzenie drzewa, które rozrasta się w zawrotnym tempie. To coś zaczęło powoli zbliżać się ku Robinowi. Ciało Lisy też się zmieniało. Najpierw pociemniały jej okręgi dookoła oczu. Teraz Robin nie mógł już dostrzec ani powiek, ani jej pięknych, zielonych oczu. Była tylko czerń. Potem jej ręce stały się czarne jak noc, która ich otaczała. Nagle, tuż nad dłońmi, pojawiły się, niczym rozcięte niewidzialną brzytwą, głębokie rany, z których zaczęła płynąć krew. Miała ona swój najciemniejszy kolor, a im więcej jej spływało na ziemię, tym szybciej czarna pajęczyna zaczynała zbliżać się do ojca. Wyglądało to jak zaraza, rozprzestrzeniająca się w zawrotnym tempie.

Robin zorientował się zbyt późno, że trzeba uciekać. Czarna pajęczyna, powiększająca się z każdą sekundą, doszła też do niego. Wyłoniła się z ziemi jak poskręcane i krótkie macki, które owinęły się wokół nóg Robina, tak że ten nie miał sposobu, by się ruszyć. Trzymały go zbyt mocno. Chciał krzyżeć, lecz najmniejszy dźwięk nie wydobywał się z jego ust. Zerknął jeszcze raz na dziewczynkę. Jej usta rozszerzyły się bardziej niż jest to możliwe, a z gardzieli zaczął wydobywać się gęsty, czarny dym. Wzniósł się wysoko w niebo. Był tak czarny, że wyróżniał się nawet na tle nocnego sklepienia. W końcu zaczął opadać w dół. Zbliżał się coraz bardziej do Robina. Dziewczynka zaczęła krzyżeć. Jej pisk poniósł się wielkim echem po polu pszenicy. Dym dotarł wreszcie do unieruchomionego Robina i otoczył go ze wszystkich stron. Mężczyzna miał wrażenie, jakby ktoś niewiarygodnie silny stał obok niego i coraz mocniej zaciskał ręce na jego gardle. Czuł, że ma powietrze, ale zdawało mu się, że nie wystarczy go, by przeżyć. Lisa ponownie zaczęła zbliżać się do Robina. Tam, gdzie postawiła stopę, na ziemi pojawiała czarna zaraza i poruszała się wraz z nią. Była tak wielka, że przypominała krąg, w którym kroczyła Lisa. Dziewczynka już nie krzyżała. Teraz wszędzie panowała niczym niezachwiana cisza. Co najgorsze, dla Joe'go ta cisza była bardziej przerażająca niż krzyki siostry. Dziewczynka szła powoli, nie spuszczając z oczu ojca. Z jej ran wciąż płynęła krew. Jej skóra była już całkiem biała, co stanowiło jeszcze straszniejszy kontrast dla czarnych fragmentów jej twarzy, w których pogłębiały się oczy i szeroko rozciągnięte usta. Na jej twarzy również pojawiła się pajęczyna, co na tle śnieżnobiałej cery wyglądało jak lód, który zaczyna pękać. Jej zwykle pięknie uczesane włosy zwisały teraz w strąkach, a na niektórych można było zobaczyć coś, co mogło być nawet krwią.

Stanęła wreszcie przed ojcem. Ten chciał wyciągnąć ku niej rękę, lecz sam nie wiedział, czy strach, czy ta zaraza, która pełzła po ziemi, uniemożliwiła mu to. Lisa stała przez chwilę bez ruchu naprzeciwko Robina. Nagle, z taką szybkością, że mężczyzna nie zdążył tego zauważyć, rzuciła się na niego z niespodziewaną wprost siłą, którą powaliła ojca na ziemię. Robin usłyszał nieprzyjemny trzask własnych kości, a potem falę ostrego, rozsadzającego czaszkę bólu. Jęknął. Podniósł nieco głowę. Zobaczył, że Lisa siedzi na jego brzuchu, a krew wypływająca wciąż z jej żył zaczyna rozprzestrzeniać tę czarną zarazę po jego ciele. Poczł, jak opuszczają go siły, jak ogarnia go ciemność.

Joe przez cały ten czas stał nieruchomo, jak sparaliżowany patrząc na to, co działo się na jego oczach. Nie mógł w to uwierzyć. To było straszne. Nagle skóra na twarzy i rękach ojca zrobiła się bielsza niż śnieg. Była tak napięta, że Joe miał wrażenie, że zaraz się rozerwie. I wtedy właśnie weszła na nią ta pajęczyna. Robin zaczął się rzucać, próbując wyzwolić się z tej choroby, lecz Joe wiedział, że i tak to nic nie da. Nie chciał na to patrzeć, bo znał już zakończenie. Obrócił się i chciał już uciekać, lecz zobaczył w łanach pszenicy przed sobą twarze kolejnych dzieci, również naznaczone czarnymi znamionami. Z ich gardzieli wydobywał się czarny, gęsty dym. W momencie, gdy Joe chciał już rozpaczliwie krzyżeć o pomoc, nocne niebo rozświetlił piorun, a ziemia pod jego nogami po prostu się zapadła.

V

Lisę coś obudziło. Otworzyła oczy. Było ciemno; jedynie jasne rozbłyski światła rozświetlały wspólny pokój jej i Debbie.

– Lisa...

Usłyszała swoje imię. Ktoś szeptał jej imię. Szept był jednak przytłumiony.

– Lisa...

Nie znała tego głosu. Nie zdziwiło jej to, gdyż nie umiała rozróżnić głosów, gdy ktoś do niej szeptał.

– Lisa...

Usłyszała dziwne drapanie zza okna. Popatrzyła w tamtym kierunku. Ktoś skrobał paznokciami o szybę z zewnątrz.

– Lisa...

Nie czuła lęku. Nieświadoma tego, co robi, odgarnęła kołdrę i natychmiast poczuła chłód.

– Lisa...

Postawiła bose stopy na ziemi. Powoli podeszła do zasłon. Odśloniła je, ukazując szybę. Było ciemno, lecz widziała paznokcie, które drapały o szybę. Nie widziała jednak dalszej części ręki.

– Lisa...

Nie panując nad sobą, otworzyła okno i wpuściła do pokoju mroźne, nocne powietrze, które rozwiało firanki. Zasłoniła oczy rękami, a gdy zabrała już dłoń sprzed oczu, zobaczyła, kto tak rozpaczliwie starał się wejść do pokoju. Był to chłopiec. Na oko mógł mieć tyle lat co ona. Miał niewinne, niebieskie oczy, pełne usta, a ubrany był w białą, lnianą koszulę i jeansowe spodnie do pracy na roli. Całą prawą rękę miał pokrytą bliznami. Uśmiechnął się do dziewczynki, a ona odwzajemniła uśmiech.

– Lisa... – wyszeptał.

– Wejdz – powiedziała.

Chłopiec jednym zwinnym susem przeskoczył przez parapet i znalazł się w pokoju. Dopiero teraz Lisa spostrzegła, że nie ma obuwia. Jego stopy były całe w błocie i pokaleczone. Gdy chłopiec podnosił jednak nogi do góry, by przejść z jednego miejsca do drugiego, na podłodze nie pozostawał najmniejszy ślad tego, że stał tam ktoś z tak ubłoconymi nogami.

– Jak się nazywasz? – spytała.

Chłopiec jednak nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami. Jego twarz miała ten niewinny wyraz, który budził sympatię i zaufanie. Wskazał ręką na Debbie, otuloną kołdrą i śpiącą kamiennym snem.

– To twoja siostra? – spytał tym samym szeptem, którego przed chwilą używał, by wypowiedzieć jej imię.

Lisa pokiwała głową. Chłopiec podszedł do łóżka i pogłaskał ją po głowie, czemu Lisa przyglądała się z uprzejmym zaciekawieniem na twarzy. Nagle chłopiec niespodziewanie uderzył Debbie pięścią w twarz. Zanim któraś z dziewczynek zdążyła wydać jakikolwiek krzyk, chłopiec zręcznym ruchem wyjął z kieszeni duży nóż myśliwski.

– Kochacie się nawzajem tak? – zaczął mówić tym samym szeptem, którym cały czas zagadywał do Lisy. – Więc powinniście wiedzieć, że jeśli któraś z was się odezwie, to nie zabiję jej, lecz tę drugą. Radzę wam więc, byście były cicho, a teraz pójdziecie za mną.

To mówiąc, wyskoczył przez okno i machnął ręką, dając znak, by szły za nim, co też niezwłocznie uczyniły. Gdy tylko Lisa dotknęła bosymi stopami ziemi, jej ciało przeszedł taki chłód jak nigdy. Popatrzyła pod nogi. Zostawiała za sobą ślady odbitych stóp w ziemi. Tak samo jak Debbie. Jednak chłopiec stąpał tak lekko, jakby był niesiony przez wiatr, a jego stopy nie

zostawiały najmniejszych odcisków. Chwilę potem byli już na skraju pola pszenicy. Weszli w nie... A dalej nie pamiętała już nic.

Stephena obudził dziwny dźwięk. Tak jakby... odgłos otwieranego okna. Ale kto o tej porze otwiera okno? Poleżał chwilę bez ruchu. Chciał usłyszeć coś jeszcze. W końcu dobiegł go cichy tupot stóp o podłogę. Dochodził z... pokoju dziewczynek. Z niechęcią Steve odgarnął kołdrę. *Lepiej powiem im, żeby szły już spać.* Rano będą niewyspane i zepsują humor panu Williamsowi. Pokonał całe mieszkanie, a gdy doszedł do drzwi pokoju dziewczynek, usłyszał szept. Nie należał on ani do Debbie, ani do Lisy. Nie mógł przypasować do niego żadnej osoby. Przysłuchiwał się wszystkim dźwiękom. Z tego, co usłyszał, był tam chłopiec. Serce zabiło mu mocniej, gdy usłyszał, że ten grozi morderstwem. Gdy zrozumiał, że wychodzą, pobiegł do swojego pokoju, wdział swoje ciężkie buty, wybiegł pospiesznie z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Wyszedł szybko na dwór. Zobaczył tylko, jak dziewczynki wchodzą w pole pszenicy razem z jakimś chłopcem. Niewiele myśląc, pędem ruszył za nimi. Jednak jego pamięć o wydarzeniach z tej nocy urywa się wraz z chwilą, gdy zagłębił się w złote łany pszenicy.

Lisa nie pamiętała, co działo się od momentu, gdy zniknęli w łanach pszenicy. Zaczęła budzić się dopiero później. Nie wiedziała, która jest godzina. Gdy otworzyła oczy, ujrzała jedynie czerń. Dopiero za chwilę jej oczy przyzwyczyły się do znikomego światła. Spojrzała pod nogi. Zobaczyła jedynie swoje białe stopy, a pod nimi ciemną wodę. Stała na jakiejś skale. Spróbowała się poruszyć. Nie umiała. Była mocno przywiązana sznurem do drewnianego pała. Rozejrzała się dookoła siebie. Miejsce, w którym się znajdowała, wyglądało z początku jak jakaś olbrzymia studnia z wysokim kawałkiem kamienia na środku. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że krawędzie kamieni jakieś sześć metrów od niej były na poziomie jej stóp. Popatrzyła w górę. Znajdowała się w jakiejś mrocznej jaskini. Popatrzyła dookoła. Zobaczyła rzędy zapalonych świec, które układały się w niemal idealne koło. Było ich około sześciuset. Za każdym płomieniem stało jedno dziecko. Były to dziewczynki i chłopcy, starsi i młodszy. Zdecydowana większość była jednak w jej wieku.

– Ratunku! – krzyknęła Lisa. – Pomóżcie mi!

Żadne z nich jednak nawet nie drgnęło. Spojrzała przez siebie i ujrzała Debbie. Nie była sama. Dwóch chłopców trzymało ją, każdy za jedną dłoń. Stała, ledwo utrzymując się na nogach. Z jej oczu płynęły łzy. Nagle, nie wiadomo skąd, wyłonił się z mroku trzeci chłopiec. Miał kamienną twarz, a w ręce trzymał długi nóż. Zbliżył się do Debbie, przyłożył ostrze do wewnętrznej strony jej ręki, pod nadgarstkiem. Wystarczyło jedno, szybkie cięcie. Nóż rozciął skórę Debbie, która krzyknęła z bólu. Krew zaczęła wypływać z rany i uderzyła o podłogę. Powoli zaczęła płynąć po gładkiej skale, aż wreszcie spłynęła z kamienia. Gdy tylko pierwsza kropla krwi dotknęła wody, nad którą znajdowała się Lisa, stało się coś dziwnego. Przez jaskinię zawiął wiatr, lecz nie zdmuchnął płomieni świec. Lisę przeszył chłód. Woda zaczęła niespokojnie falować.

– Poprzez krew tej dziewczynki otworzyłem wrota – szepnął chłopiec, a jego głos potoczył się echem po jaskini. – Oto twój sługa, Panie.

Woda stała się ciemna, niemal czarna, a fale zaczęły coraz bardziej obmywać skałę.

– W jej śmierci nasze życie – kontynuował chłopiec. – W jej cierpieniu, nasz spokój. Amen.

Lisa spojrzała w wodę. Ujrzała tam najbardziej przerażającą twarz, jaką można sobie wyobrazić. Była pomarszczona, o kolorze zeschniętego błota. Po bokach, gdzie powinny być uszy, wychodziły ostre rogi. Potwór miał czerwone oczy, a białka ciemne jak noc. Uśmiechnął się przerażająco, a Lisa ujrzała ostre jak nóż zęby. Nagle postać rozmyła się w dym, który zaczął wydobywać się z wody. Lisa jeszcze nigdy nie widziała takich oparów. Były ciemniejsze niż noc i gęstsze niż mgła. Dym zaczął do niej podchodzić. Spojrzała na swoje ręce. Robiły się czarne. Dalej Lisa nie pamiętała nic, oprócz przemożnego pragnienia morderstw i siania terroru.

VI

Niełatwo było pozbierać się Susan z tego koszmaru, jakim było zniknięcie córek. Cały dzień nie robiła nic innego, tylko siedziała w fotelu i płakała. Dziwiła się jeszcze, że po tym wszystkim w jej organizmie została choć kropla wody. Nic nie piła, nie jadła i nie chodziła do łazienki. Siedziała jedynie w fotelu i modliła się, by Bóg zwrócił jej córki. Robin i Joe wyruszyli tropem Debbie i Lisy z samego ranka i do tej pory nie wrócili. Powoli zaczynała się martwić też o nich. Co takiego mogło się tam stać?

Postanowiła, że musi zrobić wszystko, by tylko pamięć o tym potworze w niej zgasła. Wstała więc z fotela, strzepnęła ze swojej sukienki kurz i lekko chwiejnym krokiem udała się do pokoju Steve'a. Wyrzuci z jego pokoju wszystkie rzeczy jeszcze tej nocy. Nieważne, czy padnie

trupem, wynosząc te jego kłody drewna (zwane łóżkiem, biurkiem, szafą) z jego pokoju. Nie było to ważne. Wyniesie te jego pieprzone książki, ubrania. A potem zrobi z tego wszystkiego jeden wielki stos i spali to takim ogniem, jakiego jeszcze w stanie Maine nie było.

Z rozmachem wtargnęła do pokoju, o mało co nie wywarzając drzwi z zawiasów. Rozejrzała się dookoła. Od czego by tu zacząć? *Od książek*, pomyślała, i z mściwym uśmiechem wzięła w ręce pierwsze dwanaście sztuk. Zawsze się zastanawiała, kiedy on miał czas na czytanie tego badziewia. Kilka chwil zajęło jej wyniesienie z pokoju wszystkich książek i ułożenie ich na jeden stos. *Ach, jak to się będzie bajecznie paliło.*

Znalazła zapalki i wybiegła szybko z domu. Gdy wzięła w ręce pierwszą książkę z brzegu, by wyrwać kilka stron na podpałkę, podniosła przypadkiem głowę. Książka i pudełko zapalek wypadły jej z rąk. Jakieś dwadzieścia metrów przed nią stała...

– Lisa...? – zapytała z niedowierzaniem Susan.

Rzeczywiście, stała tam jej córka. Nie mogła w to uwierzyć. Była to jednak zupełnie inna Lisa niż zwykle. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to nie jej dziewczynka. Nad nadgarstkami, po wewnętrznych stronach dłoni miała głębokie rozcięcia, z których krew wypływała sporymi strumieniami na ziemię, tworząc na niej coś w rodzaju czarnej pajęczyny. Wyglądało to jak korzenie drzewa, które zazwyczaj są głęboko pod ziemią. Te jednak istniały tylko na równi z ziemią. Nie były wypukłością. Były jednak żywe. Powoli podpełzały do Susan. Jednak to twarz Lisy była najbardziej przerażająca. Zwykle piękne, zadbane włosy zwisały teraz w poskręcanych strąkach. Jej kredowobiała twarz poprzecinana była czarnymi wzorami, identycznymi jak te na ziemi. Te jednak się ruszały i coraz bardziej pochłaniały tak bardzo znaną jej twarzyczkę córeczki. Jej oczy pogrążone były w ciemności. Tak przynajmniej sądziła, gdyż tak naprawdę nie widziała jej oczu. Usta były otwarte szerzej, niż to powinno być możliwe, a z ich wnętrza wypływał dym, czarniejszy niż noc i gęstszy niż mgła.

Susan cofnęła się przerażona, gdy z pola pszenicy wynurzyły się dzieci. Były to dziewczynki i chłopcy w wieku między drugim a szóstym rokiem życia. Z ich ust też wypływała czarna mgła. Każde z nich trzymało w rękach nóż lub sierp. Powoli przybliżały się w kierunku domu. Wszystkie powtarzały jedno słowo. Każde z nich mówiło jednak w innym czasie, więc Susan nie mogła nic z tego zrozumieć. Zobaczyła, jak czarna pajęczyna jest coraz bliżej niej. Już prawie dotarła do jej stóp. Popatrzyła na Lisę.

– Kochanie... – zaczęła. – Proszę...

Ta jednak jej nie słyszała. Z miną wyrażającą głęboką nienawiść i chęć niszczenia zbliżała się powoli do Susan. Była coraz bliżej. Poruszała się dużymi, ciężkimi krokami. Kobieta obróciła się, wbiegła na ganek i zaczęła uciekać do domu. Zatrzasnęła za sobą drzwi, mając

nadzieję, że uda się tym powstrzymać tego upiora. Nie widziała, jak dzieci, które jeszcze przed chwilą powoli zbliżały się do jej domu, teraz najszybciej, jak mogły pobiegły do stosu z książkami. Każde z dzieci wzięło po jednej z nich i zaczęły układać je przy zewnętrznych ścianach domu. Któreś z nich chwyciło z ziemi ciężki kamień i przetarło nim mocno o swoją własną dłoń. Zerwało skórę z ręki aż do samych kości. Tym razem potarło kamieniem o swoją kość. Udało mu się i kilka iskier spadło na suchą trawę. Płomienie szybko przeszły z niej na książki.

Susan wpadła do salonu, rozglądając się za czymkolwiek, co mogłoby jej umożliwić obronę przed jej córką. *Nie, nie córką*, poprawiła się w myślach. Nie wiedziała, co to jest, lecz na pewno nie była to Lisa. Nagle zaczęły ogarniać ją duszności, a z jej czoła zaczęły spływać krople potu. Spojrzała przez okno. Ujrzała płomienie. Podeszła bliżej szyby i wyjrzała przez okno. Gdy tylko jej oczy skupiły się na palących się książkach Stephena, tuż przed nią znalazła się twarz jednego z dzieci. Był to chłopiec z czarnymi plamami zamiast oczu i szeroko otwartymi oczami, z których wypływała czarna mgła. Susan cofnęła się przestraszona i wywaliła się na podłogę. Poczula ogromny ból, gdy złamała jej się kostka w prawej nodze. Z największym przerażeniem spostrzegła, jak czarny dym, który dopiero co wydobył się spod warg tego przerażającego chłopca, przenika przez szybę i dostaje się do środka. Zaczął wpływać do domu wielkimi falami. Nagle usłyszała huk łamanego drewna. Spojrzała w kierunku, z którego dochodził. W drzwiach powstała wielka wyrwa, a przez nie Susan zobaczyła Lisę, która próbowała wdrzeć się do środka. Nie umiała jednak się zmieścić, więc widziała tylko jej prawą rękę, szarpiącą z furją powietrze. Stała bokiem, bo próbowała dostać się do środka na wszystkie sposoby. Gdy ujrzała jednak, że tak jej się nie uda, odsunęła się od wejścia i jednym potężnym kopnięciem wywaliła resztę drzwi z zawiasów. Te opadły ciężko na drewnianą podłogę, łamiąc w niej zapewne kilka desek. Susan cofnęła się przerażona, gdy zobaczyła zgarbioną córkę, patrzącą na nią spode łba. Z jej żył płynęła krew, spływając na podłogę i tworząc coraz to nowe ramiona pajęczyny. Ta zaczęła zbliżać się coraz bardziej do Susan. Kobieta zaczęła się cofać ze strachem. Niewiele to jednak dało, gdyż i tak natrafiła za chwilę na ścianę. Nie miała żadnej drogi ucieczki. Zaraza ją dopadła i unieruchomiła. Cała nadzieja przepadła. Nie wiadomo kiedy znalazła się przy niej Lisa. Dziewczynka wyrzuciła przed siebie ręce, chwytając za górną i dolną część szczęki swojej matki, po czym zaczęła ciągnąć z całej siły w przeciwne strony. Susan poczuła niewyobrażalny wręcz ból. Lisa miała ogromną siłę. Czowała, jak mięśnie jej twarzy naciągają się coraz bardziej. Za chwilę już się rozerwą. Poczowała, jak szczęki rozerwały jej się pod naporem niewyjaśnionej siły Lisy. Co było najbardziej przerażające, Susan jeszcze żyła i cały czas czuła ten potworny ból. Zobaczyła, jak jej córka otwiera szeroko usta, a z mroku jej gardzieli wydobywa się krzyk.

Był to najpotworniejszy wrzask, jaki można sobie wyobrazić. I, tak jakby krzyk przybrał formę materialną, wraz z krzykiem pojawił się z ust Lisy dym, bardziej czarny niż najciemniejsza noc i gęściejszy niż najgęstsza mgła. Powoli wpływał on do rozwartych szeroko szczęk Susan, z której zaczęła już płynąć krew. Przed jej oczami pojawił się mrok. Nie widziała już nic prócz wszechobecnej czerni...

– Panie, przyjmij naszą ofiarę... – wyszeptał chłopiec, stojący przed płonącym domem, pozwalając, by krew spływała z jego ręki na suchą trawę.

rys. Roman Panasiuk



KAZŃ

Krystian Janik

Wieczna noc

Schylek sierpnia roku Pańskiego tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego dziewiątego, przyniósł kres lubieżnym praktykom chłopskiego syna Witka Kołacza. Młokos ów, na co dzień terminujący u bednarza Pawła Bogacza, wieczorami wymykał się z chałupy i biegał nad staw, sycić wzrok powabami zażywających kąpieli wiejskich dziewczuch. Pewnego razu zawiesiwszy spojrzenie na zdrowej, rumianej piersi siedemnastoletniej Bogny, córki tarnowskiego snycerza Stanisława Olecha, ujrzał przed oczyma swymi wszystkie gwiazdy. Następnie lubieżnik zawarł powieki i ogarnęła go ciemność.

Ocknąwszy się z nieprzewidzianego snu, Witek Kołacz spostrzegł, że nie znajduje się już w leszczynowym lasku z widokiem na staw, lecz w wilgotnej czarnej ziemi. Próbował wstać, ale na darmo, albowiem jego ręce i nogi zostały włożone w drewniane pęta – dwie belki z wydrążonymi otworami, takie same, jakimi unieruchamiano złoczyńców. Witek wielokrotnie przyglądał się wykonywanym na tarnowskim rynku publicznym egzekucjom i doskonale wiedział, że przyczyną jego nieruchawości jest gąsior. Dół, w którym złożone zostało jego ciało, miał nie więcej niż pół metra głębokości. Wystarczająco, by pochować nikczemnika żywcem.

– Booo-sze-eee chyyy-ooń... – wybełkotał chłopak.

– *Nemo potest duobus dominis servire* – usłyszał w odpowiedzi.

Witek chciał coś jeszcze powiedzieć, ale strach sparaliżował jego język. Wtedy oczom chłopaka ukazała się pochylona nad dołem czarna postać. Poczuł na swych powiekach ciężar palców jegomościa w czerni, a następnie cienkie ostrze sztyletu zatoczyło półokrąg. Po chwili pomiarkował, że stracił powieki. Pojękiwał i ciężko oddychał. W kącikach jego oczu pojawiły się słone kropelki.

– Użyjesz sobie nocy – rzekł oprawca i sypnął w nagie oczy Witka Kołacza garścią ziemi.

Konsyliarz Bartosz Sędowicz przykucnął przy usypanym nie dalej niż dwanaście godzin wstecz nagrobkiem i soczyście zaklął:

– Do stu diabłów, uświńłem sobie nowy żupan.

– Niech waćpan się pohamuje, abociem spoczywa tu człowiek – skarcił konsyliarza starosta tarnowski Michał Remar.

Bartosz Sędowicz nie był rodowitym tarnowianinem, nawet nie zamieszkiwał na co dzień tego znacznego piastowskiego grodu. Już po pierwszym spojrzeniu na lico szlachcica można było orzec, iż przybył on z obcej ziemi. Ów liczący sobie trzydzieści trzy wiosny mąż budził się zazwyczaj o szóstej rano. Pierwszą czynnością, jaką wykonywał, było zdrapywanie z twarzy hebanowej skorupy, powstałej wskutek nałożenia na nią przed snem grubej warstwy maści sporządzonej z jasnych ślimaków i wonnych roślin. Później obmywał twarz letnią perfumowaną wodą i dokładnie osuszał jedwabnym ręcznikiem, *nota bene* skropionym olejkiem różanym z domieszką cykorii. Następnie dla orzeźwienia wcierał w skórę zimną śmietaną zmieszaną z miodem. Konsyliarz nie nosił wąsów, miał gładko ogoloną twarz

i długie, czarne włosy, które zaczesywał do tyłu. Ubierał się w najznakomitsze – barwione w odcieniach czerwieni – królewskie żupany i wschodnie frenezje.

Przedpołudnie pierwszego dnia września było deszczowe, warczące i chłodne. Słońce ukrywało się za nabrzmałymi, szarymi chmurami. Bartosz Sędowicz i Michał Remar przyglądali się wieńczącemu nagrobek żelaznemu krucyfiksowi. Nie był to zwykły krzyż nagrobny, albowiem zamiast Jezusa Chrystusa przybita była do niego wystająca z ziemi trupa ręka.

– Ani się zwiesz, a ukrzyżują cię jak Pana Naszego – rzekł starosta.

– To pewnie jakiś omylnik – zamyślił się konsyliarz.

– Co waćpan rzecze?! Nie może być, tak bez osądzenia?

– Samosądy zdarzały się i w szeregach świętej inkwizycji.

Deszcz padał coraz rześściej. Bartoszowi Sędowiczowi od dwóch dni dokuczał wywołujący dreszcze ból zęba.

– Mości panowie, posłałem po pachółków, zaraz przylecą z łopatami i wyjmiemy z grobu nieszczęśnika – zakomunikował kasztelan Mikołaj Wyszetrop. – Jak panowie przeczuwają, co tu mogło się zdarzyć?

– Żebym to ja waćpan wiedział, żebym wiedział – odparł Michał Remar.

– A wy, co rzekiecie? – zwrócił się do drugiego jegomościa.

– Zemsta, chłopska zwada, sprawiedliwość inkwizytorów. Trudno orzec jednoznacznie, wszakże nie wiemy, kto leży pod naszymi nogami.

– Rad jestem, że waćpan z nami, bo ponad wszystko cenię waćpana dowcip – oznajmił kasztelan.

Dzwonnica wybiła południe. Z miasta przyszło dwóch pachółków z łopatami i podług wytycznych Bartosza Sędowicza zaczęli odgarniać mokrą ziemię. Poszło szybko, bo jak się okazało, grób był płytki.

Zwłoki przeniesiono do pracowni miejscowego medyka Łukasza Bolesławczyka. Medyk kazał pachółkom położyć ciało na długim na dwa metry dębowym stole, a następnie wręczył im kubel gorącej wody i kazał je dokładnie oczyścić.

– Jezusie słodki! To bazyliżkowa sprawa! – zawołał jeden z obmywających zwłoki chłopów.

Bolesławczyk i Sędowicz podbiegli do stołu i zobaczyli, że oczy chłopaka zostały pozbawione powiek.

– Macieju, głupis – zwrócił się do pachółka przyczajony w kącie starosta. – Bazyliszek nie okalecza, jeno spojrzeniem przemienia w kamień.

– Głupota waćpana chłopską pletliwość przenosi – skwitował Sędowicz.

– Gdyby nie to, że waszmość masz respekty u króla Augusta, to miałby waszmość do czynienia z duchowieństwem! – oburzył się Remar.

– Wielmożni panowie, nie czas na sprzeczki – pogodził szlachciców Bolesławczyk.

Chłopi w tym czasie nie próżnowali i zdążyli oczyścić całe ciało Witka Kołacza.

– Macieju, otwórz nieszczęśnikowi usta. Chciałbym spojrzeć na jego język – rozkazał medyk, poczem zwrócił się do Remara: – A wy, panie starosto, poznajecie chłopaka?

– Poznają go, to Witek Kołacz, uczeń bednarza.

– Miłościwy panie – zwrócił się do Sędowicza Maciej, pokazując mu kawałek płótna.

– Tu jest coś napisane kościelnym pismem. On to miał w gębie.

– *Nemo potest duobus dominis servire* – odczytał Sędowicz.

– Ech, łacina – westchnął starosta. – Trzeba pójść po scholara albo łacinnika.

– *Nie możesz służyć dwom panom* – przełożył Bolesławczyk. – To słowa Chrystusa.

Wstyd, panie starosto, iż człowiek światły, jakim pan jesteś, ani łaciny, ani słowa Bożego nie zna.

Czarcia muzyka

Ciemność rozlewała się na koronach drzew. Chłopi, którzy dłużej zabawili na roli, pośpiesznie wracali do swych domostw. Nocą budziły się demony, albowiem właśnie w onej dobie umierali ludzie, zwierzęta gospodarcze, a budynki płonęły. Noc na ziemi miała jednak swój kres, gdyż jej złowieszcze mroki rozganiało wschodzące o poranku słońce.

Wieczory w dworkach szlacheckich rządziły się innymi prawami. Kiedy chłopi kładli się spać, to w posiadłościach szlacheckich panów rozbrzmiewała muzyka, którą słychać było aż do białego rana. Nie inaczej było i tego wieczora. W dworku Stanisława Bielskiego tańce i muzyka nie miały końca. Klawesyn, skrzypce, lutnia, portatyw – wygrywały dynamiczną melodyjkę, którą ubarwiał rubaszny śpiew żaka.

– Któż to nas dzisiaj zaszczycił swą obecnością? – zwróciła się do mężczyzny w czarnym żupanie Jadwiga Bielska, córka magnata.

– Czcigodna dama pozwoli. – Szlachcic pochylił się i ucałował alabastrową skórę dłoni szlachecianki. – Panienska ma rację, bociem nudzą mnie bankiety, gdyż ponury ze mnie mąż.

– A jednak się waćpan skusił.

– To za sprawą urody panienski, której zazdroszą paniencie górne oready, wodne najady i leśne dryjady.

– Waćpan czaruje jak nasz sławny Morsztyn i sprawia, że się ogniem pokrywa me lico.

– Ogień... – zamyślił się jegomość. – Czy wie panienska, iż ogień jest esencją piekielnej muzyki?

– Co też waćpan rzecze?! – zdumiała się Jadwiga.

– Muzyka grana przez czartów nie opiera się na dźwiękach, atoli na płomieniach buchających z jadem. Tym, co spędzili życie na tańcu i muzyce, czarci przykładają do uszu trąby i dmą w nie ognistymi płomieniami.

– Waćpan to z ambony dąć powinien! – zaśmiała się niewiasta i porwała mówcę w tany.

– Zaszył jej wargi, by nie mogła krzycheć – stwierdził Łukasz Bolesławczyk.

– Ledwo wrzesień nastał, a to już drugi mord na tarnowskiej ziemi! – lamentował starosta Michał Remar.

– Niech waszmościowie przyjrzą się uszom tej niewiasty – rzekł medyk. – Są doszczętnie spalone. Cóż to musiała być za sześoga, żeby je tak spopielić.

– Doktorze, czy mógłby pan rozciąć nici wiążące usta tej niewiasty? – zapytał konsyliarz.

– Dobrze, atoli zanim to uczynię, proszę powąchać miejsca, w których ongiś znajdowały się uszy.

Sędowicz pochylił się nad zwłokami i dwakroć pociągnął nosem. Pierwszy raz lekko i subtelnie, jakby wąchał polne kwiaty, zaś drugi mocno, wręcz ordynarnie, niczym rozdrażniony byk.

– Jakaś substancja łatwopalna – stwierdził.

– Proch – oznajmił Bolesławczyk. – Nasz obłąkaniec poproszył prochem uszy tej nieszczęsnej niewieście i podpalił. Rzeknę więcej, jak otworzę jej czaszkę.

Skończywszy rozprawiać o spalonych uszach, Bolesławczyk zabrał się za rozcinanie nici wiążących wargi niewiasty.

– Człowiek ten znał się na aftowaniu niczym wytrawny krawiec – orzekł medyk.

– Trza będzie po cechach połączyć i popytać – westchnął starosta.

Tak jak przewidywali wszyscy zgromadzeni nad zwłokami szlachetni mężowie, w ustach ofiary znajdował się niewielki kawałek płótna z łacińską sentencją.

– *Nemo potest duobus dominis servire* – przeczytał doktor. – To ten sam morderca.

– Niejedno słońce powita nas jeszcze pożogiem – wyrzekł w zamyśleniu Sędowicz, a następnie zwrócił się do Remara: – Starosto, czy pamiętacie jakieś niewyjaśnione mordy?

Trupi odór

– Na ciepłej Małgorzaty znaleźliśmy tutejszego kołodzieja, Jakóba Kraska, w parowie, wrzuconego do jamy, w której gniły trupy – przypomniał sobie Michał Remar. – Jak żeśmy go znaleźli, to gębę miał wetkniętą w rozkładające się ścierwa. Mdlić mnie zaczyna na samo wspomnienie. Nozdrza miał wbite w gnijącą wątrobę nieboszczyka. Chłopi podnieśli go i się przelękli, bo lico jego pokryte było żółcią i wrzodami, w których pełzali pędracy. Ślipia miał rozlane, czoło zajuszone. Doktor obstawał, iż Jakób udusił się od smrodu ścierwów, ale kasztelan Wyszetrop orzekł, że pewnie wracając z szynku, nie uwidział dziury, wpadł w nią i skrzył kark.

– Nie zagłądaliście mu do paszczęki? – zapytał towarzyszy Bartosz Sędowicz.

– Napierwej to żeśmy się nad jamą porzygali – odparł starosta. – Nice nie żałuję, że nikt mu do gęby nie patrzył, bo pędracy mu pewnie całe gardło wyżarli.

– *Ad rem!* Gdzie pogrzebaliście ciało, starosto?

– A na cóż wam to wiedzieć, przecie nie będziesz waćpan grobów rozkopywał!

– Dlaczegoż nie? Niech waćpan zapamięta, że każda metoda pozwalająca odnaleźć wyjście z labiryntu jest dobra.

– Eee, metody waćpana są wielce opaczne – oznajmił Remar.

– Hajda na cmentarz! – rozochocił się Sędowicz.

Strugi jaskrawego światła przesywały obłoki, ale pomimo popołudniowej pory słońce wciąż nie mogło w pełni się wyzwolić. Konsyliarz w towarzystwie dwóch pachółków i cmentarnego stróża przechadzał się po nekropolii.

– Czego waszmość szukasz? – zapytał stróż. – Kopiec Jakóba Kraska jest usypany pod dwiema lipami.

– Świeżych grobów – odparł Sędowicz.

– Mało jest takich, bo i śmierci mało na tarnowskiej ziemi. A tych, co śmierć czarna zżarła, to żeśmy ogniem poczęstowali.

– To prowadźcie pod te lipy!

Starosta postanowił, że nie chce po raz wtóry oglądać ścierwa kołodzieja i uzbrojony w gąsiorek gorzałki pozostał przed bramą nekropolii. Minęło sporo czasu od pójścia Sędowicza pomiędzy groby – wystarczająco, by gorzałka poplątała myśli Remara i zesłała na niego sielankę w postaci snu.

– Obudźcie się, starosto – potrząsnął ramionami kompana konsyliarz.

– Przebóg, posnąłem jak borsuk! – zerwał się Remar.

– Pociągnijcie sobie – rzekł Sędowicz, podstawiając pod nozdrza starosty sosnowe pudełeczko wypełnione proszkiem.

– Cóż to? – zdziwił się starosta.

– Sproszkowane liście tytoniu – odparł konsyliarz.

– Tabaczka?

– Najznakomitsza, prosto z Francji.

Michał Remar po trzykroć zażył tabaki i potężnie kichnął. Momentalnie odzyskał jasność umysłu, poczem podniósł się z ławeczki i zaklął:

– Przebóg, pewnie jaki Żydowin zatruł swym odorem powietrze! Powiedzcie, Bartoszu, coście znaleźli w trunie.

– Trup miał głowę owiniętą rańtuchem, który od wilgoci cmentarnej przywarł do pyska tak, żeśmy musieli go ogniem zagrzać, by się odlepił – podjął konsyliarz. – W oczodołach trupa ślęczał robak łączny, tłusciejszy niż pleban.

– Daruj waszmość tych opowieści – zniesmaczył się starosta.

– Niech tak będzie – zgodził się konsyliarz i wyciągnął z sakwy kawałek tkaniny. – W ścierwiej paszczy było to, lecz niestocie płótno zgniło w gnoju i nie jestem w stanie

odczytać pokrywającego je pisma. Dam sobie jednak rękę urznać, iż na skrawku widniał ten sam łaciński napis.

– Psiarz, czort, kurwi syn! – rozjuszył się starosta.

– Rzeknę cytata: niech waćpan się pohamuje, bowiem spoczywają tutaj ludzie – konceptem uraczył przeklętnika Sędowicz.

Bartosz Sędowicz obmywszy swe ciało z cmentarnego błota i zmieniawszy przesiąknięty trupim odorem purpurowy żupan na utkaną z tureckich jedwabów szykowną, czerwoną frenezję, pośpiesznym krokiem udał się do domostwa Łukasza Bolesławczyka, aby zapoznać się z wynikami sekcji zwłok niewiasty.

– Rad jestem, żeś waćpan przyszedł bez swego towarzysza – powitał gościa medyk.

– Starosta zaniemógł – odparł konsyliarz.

– *Primo*, ofiarą jest Jadwiga Bielska, córka magnata i wielkiego hulaki, Stanisława Bielskiego.

– Poznałem go onegdaj w ratuszu. Człowiek to zacny i obdarzony wybornym dowcipem.

– *Secundo*, poszczęściło mi się otworzyć czaszkę i ponurzyć się w jej wnętrzu. Jestem prawie pewien, iż śmierć nastąpiła w wyniku rozerwania mózgu, które spowodowało silne huknięcie prosto w uszy.

– Huknięcie w uszy? – zdziwił się Sędowicz.

– W rzeczy samej, jakby ktoś przyłożył jej do uszu trąby i zadał w nie z całej mocy.

– W jednym czasie? Czy to oznacza, że nasz morderca ma kompana?

– Aczci tak jest, to trudniej będzie nam rozwikłać tę zagadkę.

Konsyliarz klasnął w ręce, poczem w geście tryumfu zacisnął palce w pięści i rzekł:

– W Poznaniu, skąd przybyłem, pewien reformacki kaznodzieja przestrzegał zgromadzonych w świątyni wiernych, że jeśli życie swe spędzą na zabawie, oddawszy się skocznej muzyce, to w piekle będą wysłuchiwać koncertów granych na wiejących płomieniami trąbach.

– To wielce ciekawe, co pan rzecze, proszę kontynuować – wtrącił Bolesławczyk.

– Kaznodzieja wrzeszczał z ambony, iż słowa diabelskiej pieśni są przerażające i nigdy nie ustają. Grzesznicy ciągle słyszą: *Biada, ach, biada!* Ponoć obaczył to w pismach

jakichś niemieckich jezuitów. Jestem przekonany, że na takowym piekielnym koncepcie oparte są te mordy.

– Może czas, by odwiedzić naszego dobrodzieja? – zasugerował medyk.

– Oczywiście, wszak ksiądz służy Bogu, a grzesznik diabłu – odparł konsyliarz. – Jużci mam przed oczyma oblicze starosty, jeśli się okaże, że mordarzem jest obłąkany kaznodzieja. Jutro tuż po jutrzni zajdę do kościoła.

Skończywszy mówić, Sędowicz spojrział na okaleczone truchło Jadwigi Bielskiej i pomyślał, że jego powrót do rodzinnego Poznania nie będzie tak prędko, jakby sobie tego zażyczył.

Piekielna wieczerza

Ksiądz Klemens Sulima był to człowiek liczący pięćdziesiąt jeden wiosen. W młodości studiował w Padwie prawo kanoniczne, teologię, a także retorykę i filozofię. Wolne od wykładów chwile spędzał spacerując po uniwersyteckim ogrodzie botanicznym. Zakończywszy studia, odwiedził jeszcze Rzym i Neapol, a następnie powrócił na ojczyznę łono i osiedlił się na ziemi tarnowskiej. W Tarnowie był postacią cenioną i wychwalaną.

Czerń nieba wypełniła się wojskiem niebieskim, kiedy kaznodzieja rozpostarł swe kości w piernacie łabędzim. Ledwie zasnął, a obudził go ponury głos:

– Zbudź się, parchaty bufonie!

– Co-oo-oo-oo?! – wysapał duszpasterz. – Ktoś ty?

– Nie poznajesz mego głosu, wieprzu karmny? Czyżby dziczyzna i trunek sprawiły, żeś ogłuchł?

– Wypowiedz swe imię!

– *Diabolos* – usłyszał w odpowiedzi.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti* – wyszeptał, kreśląc w powietrzu znak krzyża.

– Przybywam, by zabrać cię na bankiet – oznajmił głos.

– *Apage, Satanas!* – egzorcyzmował ksiądz. – *Apage...*

Sługa Boży zamilkł, kiedy jego oczom ukazała się czarna postać. *Diabolos* jedną ręką chwycił tłuste podgardle księdza, a drugą, uzbrojoną w drzewiec, wymierzył mu potężny cios w sam środek głowy.

Duszpasterza obudził niewypowiedziany ból w prawej dłoni. Kiedy rozwarł powieki, zobaczył, że siedzi przy kuchennym stole, przywiązany sznurem do krzesła. Z jego prawej dłoni wystawał czubek gwoździa, zaś do lewej *Diabolos* przykładął drugi gwóźdź.

– *In nomine Patris...* – wyjęczał sługa Boży.

– Obacz, ojcze, jakie wyśmienite przysmaki przed ojcem leżą – rzekł wysłannik piekieł i otwartą dłonią wskazał na półmisek.

Oczom księdza Klemensa ukazały się rzeczy tak ohydne, aż zaczął się krztusić i po chwili poczuł, iż jego usta wypełniła kwaśna substancja. Wnętrze głębokiego talerza wypełnione było żywymi węzami, jaszczurkami, ropuchami, lęgnącym się w ściervie tłustym robactwem, a wszystko to polane zostało paskudnym gnojem. Obok talerza stał kielich, po brzegi napełniony zmieszana z moczem świńską juchą.

– Zawsze żarłeś jak wieprz, także ostatnią wieczerzę jak wieprz zeżresz. Spójrz na te smakowitości, bo żywe je zeżresz. Niestrawiona gadzina będzie drażyć od środka twe ohydne wnętrzności.

– *Libera me de sanguinibus, Deus, Deus salutis meae...*

Mikołaj Wyszetrop uniósł głowę ku niebu i zawiesił wzrok na wieńczącej szczyt kościelnego dachu niewielkiej sygnaturce.

– Panie Bartoszu, rzeknij pan, jakież człek mógł coś takiego uczynić?

– Nie odpowiem waćpanu, atoli jedno wiem na pewno – odparł Sędowicz.

– Cóż waćpan wiesz? – wysapał Wyszetrop.

– Obydwaj znamy mordarza.

– Opaczna wydaje mi się twa mowa, mój druhu.

– Czytaliście, kasztelanie „*Rythmo-philosopha* albo *Zwierciadło żywota ludzkiego* we czterech końcach ostatecznych”?

– Yyyy... nie.

– A „Przeraźliwe echo trąby ostatecznej”?

– Kochaniutki, jam jest człek wykształcony, mnie kościelne pisma nie frapują – oburzył się kasztelan.

– A nasz oprawca czytał – odrzekł konsyliarz. – Niech waćpan słucha. Takowe pisma zazwyczaj są kreślone w formie kazań wierszem, ku przestrodze grzesznego, aczkolwiek bogobojnego ludu. Zawsze stoi w nich o kaźni zmysłów: widzenia, słyszenia, smaku, powonienia i dotyku. Uczeń bednarza został pogrzebany żywcem, a wcześniej oberżnięto mu powieki. Kaźnią widzenia jest wieczna ciemność.

– Waszmość masz rozum obostrzony! – pochwalił Sędowicza Wyszetrop.

– Słuchaj waćpan dalej. Jadwiga Bielska została ogłuszona trąbami, a uszy jej spalono. Kaźnią słyszenia jest muzyka wygrywana przez czartów na buchających płomieniami trąbach.

– Jakóba pewno spotkała kaźń powonienia – zamyślił się kasztelan.

– Słusznie rzeczenie, abociem ci, którzy zgrzeszyli węchem, w piekle muszą wdychać odór rozkładającego się ścierwa.

– A naszego dobrodzieja zakatrupiono jądłem...

– Nakarmiono go żywymi ropuchami, padalcami, a nawet rozjadłymi żmijami. Teraz waćpan wiesz, czemu brzuch miał taki ruchawy.

– *Mentula et cunnus!* – zawołał wulgarnie kasztelan.

– Z waćpana także człek dowcipny – zrewanżował się konsyliarz. – Rozgryzłeś waćpan łupinę orzecha!

– Mówcie jaśniej, bo nie pojmuję – poczerwieniał Wyszetrop.

– To coś waćpan zaklął: *Mentula et cunnus!* – odrzekł Sędowicz. – Mordarzowi ostała się jeno kaźń dotyku. Następną ofiarą winna być dziewczka, co niesie pociechę cudzym mężom.

– Nierządnicza?

– Prowadźcie do zamtuza!

Płomienna rozkosz

Rzęsisty deszcz zbratał się z zimnym wschodnim wiatrem. Sędowicz i Wyszetrop przybyli do domu uciech przemoknięci od stóp do głów. Przed drzwiami zamtuza stał siwobrody Żyd i palił zawinięte w rulon liście angielskiego tytoniu.

– Cóż to kopcicie, Żydowinie? – zapytał kasztelan. – Dym czarny jak z lemeńskiego pieca.

– Panie drogi, to najlepszy londyński tytuń! – oburzył się Żyd.

– Nie wie Żydowin, że na płuca źle robi, jak człek na deszczu pyka? – wtrącił konsyliarz.

– Eh-hh-e, *tiszri* tego roku krwią i wodą spływa – odparł starzec.

Sędowicz pokiwał głową na znak zgody, a następnie zbliżył się do drzwi zamtuza i zastukał wyrastającą z lwiej paszczy kołatką. Po chwili wrota domu rozpusty rozwarły się i stanął w nich czarnoskóry młodzieniec, prawdopodobnie eunuch. Odźwierny pochylił głowę i isticie wirtuozerskim gestem zaprosił gości do środka.

– Waćpan widziałeś jego oczy? – zapytał Sędowicza Wyszetrop. – Prześliczne jak u najznakomitszej niewiasty!

– Przyrodzenie tego chłopca także z niewieścim porównywać można – rzucił ironiczne konsyliarz.

Młodzieniec zaprowadził ich do imponujących rozmiarów komnaty, w której panował półmrok. W centralnym punkcie pokoju stało czerwone łożo okraszone złocistym baldachimem. Wyszetrop, niczym wąpierz wpija w dziewiczą szyję zębiska, spojrział łąpczywie na leżącą na łożu kurtyzanę. Sędowicza natomiast urzekły wyściełające ściany arras, na powierzchni których malowały się sceny wyjęte z eposów Homera.

– Cudne... – wymruczał. – Takich arrasów nie powstydzilyby się wawelskie komnaty! Cudne! Ach, jakby były utkane podług wzorów najwytrawniejszych niderlandzkich artystów!

– Gratuluję oka – pochwaliła Sędowicza dama lekkich obyczajów. – Zaprojektował je jeden z moich kochanków, który doprawdy przybył aż z Niderlandów, by skosztować mych powabów. Jestem Dorota von Eden – przedstawiła się nierządnicą, poczem wstała z łoża i stanęła twarzą w twarz z konsyliarzem.

– Jam Bartosz Sędowicz, konsyliarz poznański, krakowski i tarnowski, a także wierny sługa króla Augusta II – zaprezentował się jegomości i złożył na dłoni Doroty von Eden wyrazy szacunku.

– Toż zaszczyt dla mnie, móc poznać tak znakomitego męża! – odparła kurtyzana, a następnie spojrziała w stronę Wyszetropa: – A pan, kasztelanie, mógłby się pohamować!

– A więc mówicie panowie, iż wasz zbrodzień ma zamiar odwiedzić mój pałacyk? – zapytała, masując bezwstydnie swą obnażoną mlecznobiałą pierś, Dorota von Eden.

– Ja myślę, iż już to uczynił – podjął Bartosz Sędowicz.

– Myli się waćpan, wszak wszystkie moje anielice są żywe.

– Tym lepiej. Chciałbym się dowiedzieć, czy nie odwiedził waszego przybytku, moja pani, w ostatnich dniach jakiś tajemniczy obcy?

– Ostatnio gościli w naszych progach jeno stali bywalcy – odparła, uraczywszy Mikołaja Wyszetropa dwuznacznym spojrzeniem.

– A ojciec Sulima zachodził w wasze progi?

– Waćpan, bredzisz jak reformator i heretyk! – oburzył się kasztelan. – Gdyby był z nami starosta, to poszczułby waćpana inkwizycją!

– Zachodził i ojczulek – rzekła, lubieżnie oblizując wargi, Dorota von Eden.

– *Mentula et cunnus!*

– Panie Mikołaju! Czuję się zgorszona! – zachichotała nierządnicą. – Ojczulek i połowa duchowieństwa, rektor, medyk, wszyscy zachodzili! Wy też, kasztelanie, a nawet ten rozmiękły wróbel starosta!

– Medyk? – zaciekał się Sędowicz. – O Łukaszu Bolesławczyku rzeczenie?

– W rzeczy samej. Widać takie było jego przejrzenie, iż zawędrował w nasze komnaty. Nieszczęśliwy człowiek...

– Nieszczęśliwy?! Dlaczego?

– Mój drogi panie Bartoszu, toż człowiek wielce nieszczęśliwy! Słowem się nigdy nie odezwał, jeno coś lekarskim językiem szeptał.

– Łacina?

– Tak było.

– *Nemo potest duobus dominis service.*

– Och! Jakbym słyszała medyka! Potwierdzenia musisz waćpan szukać u Wisal, gdyż do niej zazwyczaj on zaglądał.

Kiedy Dorota von Eden otworzyła drzwi komnaty Wisal, którą z orientem łączyło tylko przysposobione imię, oczom szlachetnych panów i niewiasty ukazał się przeraźliwy widok. Obnażone ciało ladacznicy spoczywało na łożu, przywiązane do dębowych słupków żywymi wężami. Żmije rozjadłe oplatały ręce i nogi Wisal, zaś szczyt jej głowy wieńczyło pasmo padalców, uplecione na kształt wianka. Z rozkosznych ust dziewczęcia wynurzała się żabia główka. Obok łoża, na leszczynowym krześle, siedział Łukasz Bolesławczyk. W rękę dzierżył pochodnię, zaś w powietrzu czuć było zapach prochu i porzeczkowej wódki.

– Biada wam, niewiasty wszeteczne – rzekł medyk.

– Ogniste łoże... – wyszeptał konsyliarz.

– *Ignis sanat!* Taka jest zapłata za rozkosze ciała. Mam niezbyte wrażenie, Bartoszu, że wiedziałeś od samego początku.

– Po śmierci księdza Sulimy byłem już całkiem pewien. Manija w pańskiej głowie kościelną nosi szatę. Kiedy postanowiłem złożyć wizytę księdzu, waćpan wiedział, że dowiem się, kto był jego najpilniejszym adeptem w sztuce kaźni. Prawdę rzekłszy, waćpan sam mnie do tego natchnął...

– Rozum twój jak węża, Bartoszu – zachwycił się Bolesławczyk. – Kaźń smakowania przeznaczyłem dla starosty, lecz nigdy szlaki trzeba pomięszać.

– Waćpan także znałeś słowa Chrystusa – przypomniał Sędowicz. – I jeszcze jedno rzecz wypada: medyk na szyciu zna się równie dobrze, jak krawiec na aftowaniu.

Mikołaj Wyszetrop spojrział na Bartosza Sędowicza, jakby chciał go pożreć, i wyrzucił z siebie takową skargę:

– Dlaczegoż waćpan nic nie gadał?!

– Niczego nie rzekł, abociem to kostarz – zarechotał Bolesławczyk. – Człek przypodobany do czorta!

Strapiony Sędowicz przygryzł dolną wargę, a następnie wydobył z głębin swej czerwonej frenezji angielski pistolet skałkowy i pociągnął za cyngiel. Dorota von Eden wrzasnęła i zakryła dłońmi oczy. Mikołaj Wyszetrop zaklął. Z głowy Łukasza Bolesławczyka chlusnęła ciemnoczerwony likwor i spłynął w dół lica. Po chwili ciało medyka owładnęły płomienie.

– *Nemo potest duobus dominis servare* – wyszeptał Bartosz Sędowicz.

Epilog

– Smutno się z waćpanem rozstawać – rzekł Mikołaj Wyszetrop.

– I z waćpanem rozstawać się smutno – odparł Bartosz Sędowicz.

– Waćpan jesteście *simul iustus et peccator* – stwierdził kasztelan.

– Gadacie jak kaznodzieja! – wzburzył starosta Michał Remar, poczem zwrócił się do konsyliarza: – Zaszczycem było waćpana gościć na tarnowskiej ziemi!

– Waćpanowie pozwolicie, że pożegniam się sentencją, którą sam ukulem – rozweselił się Sędowicz. – Jeżeli nie wiesz, gdzie rozpocząć, rozpocznij od zamtuza!

„Wróciły wspomnienia młodości – strachy oglądane ze zjechanych kaset VHS.
Oto horror klasy B w najlepszym wydaniu!”

Bogdan Ruszkowski

E-MAGAZYN
**GRABARZ
POLSKI
POLECA!**

ŁUKASZ RADECKI
HORROR KLASY B

OFICyna WYDAWNICZA LITERAT

BRAMA



GROZA

FANTASTYKA

GRY BEZ PRADU

nr0/2015

OPOWIADANIA

Radecki

Lewandowski

Zack

Kaźmierczak

Borowiec

Wojteczek

TEMAT NUMERU

Anna Dymna

ZDJĘCIA OSTATECZNE

PONADTO W NUMERZE: WARZONE, POKEMON, MTG

WSZYSTKIE BIAŁE DAMY

PIOTR BOROWIEC

-30%

kod rabatowy: HISTERIA

kod jest ważny do: 28.02.2015



Kod do wykorzystania na www.gmork.pl

Wszystkie Białe Damy

Trzynaście mrocznych opowiadań z pogranicza grozy i urban legend utrzymanych w nastroju ghost story. Historie o duchach, duszach i strzygach, które zawsze czegoś chcą i nie zawsze jest to zemsta. Co może stać się z Darem, który miał ratować ludzkie życie, gdy się go niewłaściwie wykorzysta? Czy słuszny cel zawsze uświęca środki? Ile są warte nasze wartości, kiedy świat okazuje się zupełnie inny niż przypuszczaliśmy? A Ty co byś zrobił na miejscu bohaterów?

www.gmork.pl



fb.com/wydawnictwo.gmork



POLSHAGROZA.PL



HORROR.COM.PL

GRABARZ.NET



OKIEM NA HORROR



WZROST I KROK



wMeritum.pl

rys. Roman Panasiuk



MUCHOŁÓWKA

Karol Miłka

Szedł za dziewczyną już od dobrych kilku minut, nie mogąc oderwać oczu od jej ogromnego dupska. Był jak w transie. Dwa tłuste, falujące poślady, okryte białymi legginsami, przez które przebijały kontury majtek nadających się na żagiel do galeonu, zaabsorbowały go całkowicie. Ślina wyciekająca mu z kącika ust spływała po brodzie i skapywała na podkoszulek, serce waliło szaleńczo, a penis stwardniał z podniecenia. Dyszał ciężko i szybko jak pies na widok suki z cieczką. Maniek oddałby wszystko, żeby tylko móc dobrać się do tej cudownej dziewoi. Rozchylić wspaniałe półdupki, którymi tak hojnie obdarzyła ją matka natura, wsadzić między nie głowę i dokładnie wylizać kakaową szparkę, delektując się wyzierającymi stamtąd zapachami.

Powędrował wzrokiem nieco wyżej, na talię przypominającą oponę od wywrotki przewożącej urobek w afrykańskich kopalniach. W figurze nieznamym nie zauważył żadnego wcięcia ani wycięcia, tak charakterystycznego dla figur kobiet z okładek plotkarskich magazynów. Była jak sześcian, albo raczej dorodny kloc sadła. To podniecało go jeszcze mocniej.

Z nieba zaczął padać kapuśniaczek, a ciężkie chmury wiszące nad miastem nie wróżyły poprawy pogody. Jakby tego było mało, zerwał się zimny wiatr. Dziewczyna przystanęła. Sięgnęła po niesioną na ramieniu kurtkę, jednak zrobiła to tak nieporadnie, że ta upadła na ziemię. Kiedy się po nią schylała, spodnie wraz z majtkami zsunęły się nieco z jej tyłka, odsłaniając fragment okolonego czerwonymi wykwitami rowa.

Maniek zdrętwiał momentalnie. Jego źrenice rozszerzyły się jak po zażyciu narkotyków, oddech przyspieszył, serce wzmogło pracę. Balansując na granicy ekstazy, wyciągnął z kieszeni komórkę, nastawił funkcję aparatu i zaczął fotografować wypięte w swoją stronę dupsko, na widok którego przechodnie odwracali głowy z niesmakiem. Nie obchodził go przechodzący w ulewę deszcz ani coraz zimniejszy wicher targający koronami drzew rosnących wzdłuż ulicy. Liczyła się tylko ta chwila. Marzył, by trwała w nieskończoność, ale okrutne życie zwykło cofać swą dłoń w momencie, kiedy spragniony całej ręki człowiek ma właśnie dobrać się do palców. Dziewczyna wyprostowała się i, odziana już cieplej, leniwym krokiem ruszyła dalej.

Podążył za nią, niczym myśliwy tropem upatrzonej zwierzyny. Nie, nie zamierzał napaść jej w ciemnej uliczce i zgwałcić, choć opcja taka wykielkowała w jego umyśle. Zdawał sobie sprawę, że w bezpośrednim starciu nie miałby najmniejszych szans. Ważył ledwie pięćdziesiąt kilo, więc równie dobrze mógłby zmienić się w malucha i spróbować staranować czołg. Podryw też nie wchodził w grę. Takie dziewczyny są wymagające pod względem „tych rozmiarów”, a on już raz najadł się wstydu. Pozostało tylko patrzeć.

Znalazł się teraz w dzielnicy, której kompletnie nie znał. Mieszkał i pracował w centrum, dlatego nigdy nie wybierał się na obrzeża miasta. Budynki były tutaj szarobure, zaniedbane i ogólnie brzydkie. Ludzie też jacyś tacy smutniejsi, skromniej ubrani. Chodzili zgarbieni, jak gdyby obciążeni ciężarem istnienia. Bezpańskie psy włóczyły się po zaśmieconych ulicach. W bramach wygoleni na kolano młodzieńcy pili tanie wina w towarzystwie zarośniętych meneli.

Dziewczyna skręciła w wąską alejkę, minęła budkę z kebabami, po czym weszła do niewielkiej kwiaciarni. Maniek stanął przed sklepem, zastanawiając się, co zrobić. Wejść czy nie wejść? A jeśli wejść, to właściwie po co? Kwiatków w domu nie trzymał, bo jakoś nie

miał drygu do uprawy czegokolwiek. Wszystkie rośliny, jakie kiedykolwiek próbował hodować, kończyły na śmietniku, suche niczym mumie pogrzebane w piaskach pustyni. Ale przecież nie musiał chcieć akurat kwiatka. Mógłby poprosić o coś innego, na przykład jakąś ładną konewkę. Jak znalazł na parapet. Cudowna ozdoba...

Z rozmyślań wyrwały go pokrzykiwania. W uliczkę wkroczyła banda zataczających się wyrostków w potarganych dresach z kiepskimi podróbkami logo znanych firm na brudnych bluzach. Na ich nadgarstkach błyskały tanie zegarki, ukradzione bądź kupione od stojących na praktycznie każdym rogu Cyganów. W dłoniach ściskali butelki po wódce, opróżnione w różnym stopniu, jednak wszystkie bardziej puste niż pełne. Zachowywali się jak stado podnieconych pawianów. Wrzeszczeli na siebie, śmiali się, pluli i przeklinali, rozglądając się w międy czasie za kimś, komu mogliby tak po prostu dać w ryj. Z pewnością nie polubiliby Mańka, za to Maniek polubił ich, bo pomogli mu zdecydować się wejść do sklepu.

Jego nozdrza wypełnił zapach kwiatów. Pomimo dość skromnego asortymentu, było tu schludnie i czysto. Udał, że ogląda stojące na podłodze fikusy, kiedy kątem oka zobaczył Ją. Dziewczynę, za którą podążał taki szmat drogi. Stała za ladą i uśmiechała się do niego. Jej tłusta, nalana twarz wydała mu się obliczem królowej z bajki. Zacerwienione od potówek policzki przypominały dorodne jabłuszka. Małe, świńskie oczka stały się taflami bezdennych jezior o krystalicznie czystej wodzie. Pokryte kamieniem, zbrązowiałe zęby błyszcząły niby złote samородki.

Stał w kompletnym bezruchu, z rozdziawioną z zachwytu gębą i wpatrywał się w sprzedawczynię jak cielak w malowane wrota. Chciał coś powiedzieć, choćby głupie „dzień dobry”, ale słowa nie przechodziły przez ściśnięte gardło. Zbladł, ponieważ cała krew z górnych partii ciała odpłynęła do krocza. Poczul wzwód i przyjemne mrowienie w jądrach. Oddychał szybko, urywanie, jakby zaraz miał dostać zawału. Jego dłonie drżały, na czoło obficie wystąpił pot, a nogi wrosły w posadzkę.

– Mogę w czymś pomóc? – odezwała się sprzedawczyni chrapliwym basem.

Maniek podrapał się w głowę. Wyglądał jak chore na debilizm dziecko, zafascynowane widokiem jadącego pociągu.

– Pomóc w czymś? – powtórzyła.

– E... Tego, no. Chciałem kupić coś na komary – palnął pierwsze, co przyszło mu na myśl.

– Woli pan spray czy jakieś kadzidło zapachowe?

– Wolałbym coś na dłuższą metę – odparł, zaraz jednak poczerwieniał, ponieważ zrozumiał, że strzelił głupotę. No bo jak można kupić przeciwko komarom „coś na dłuższą metę”?

Spodziewał się, że sprzedawczyni w najlepszym razie weźmie go za kretyna i spławi, a w najgorszym wyśmieje. Nic takiego się nie wydarzyło.

– Chyba mam coś, czego pan potrzebuje – powiedziała i zniknęła na zapleczu.

Wróciła z niewielką roślinką doniczkową. Maniek zrobił oczy jak pięć złotych, gdyż nigdy nie widział tak dziwnego przedstawiciela flory.

– Co to jest? – zapytał, wodząc wzrokiem po podłużnych, szerokich listkach, zwieńczonych czymś podobnym do powiek z długimi rzęsami.

– To muchołówka.

– Muchołówka?

– Tak. Z gatunku rosiczkowatych. Wydziela substancje zapachowe wabiące owady do tych pułapek na końcach liści. Postawi pan ją na parapecie i problemy z komarami czy muchami w domu powinny się skończyć.

Maniek zamyślił się. Nie potrzebował żadnego muchożernego krzaka, ale skoro już tutaj wszedł, to głupio byłoby wyjść z pustymi rękami. Poza tym na pewno nie ma tu zbyt wielu klientów, więc ta pulchniutka świneczka zza lady ucieszy się, jeśli do kasy wpadnie nieco grosza.

– Wezmę tego krzaczka – rzekł, uśmiechając się szeroko.

Dziewczyna włożyła muchołówkę do reklamówki i zainkasowała należność.

– Dziękuję i zapraszam ponownie.

Maniek pożegnał się i wyszedł. Na najbliższym przystanku wsiadł do autobusu jadącego w kierunku centrum. Korciło go, by wyrzucić roślinkę do kosza, ale nagle uświadomił sobie, że sprzedawczyni zrobiłoby się na pewno przykro. Postanowił zaopiekować się muchołówką najlepiej, jak tylko zdoła.

Gośka, w tym swoim seksownym wdianku z siatki, przypominała dorodny kawał salcesonu obwiązany sznurkami. Przez dziurki w kształcie małych rombów wypływało sadło. Płasała w rytm płynącej z radia muzyki, a przy każdym kroku meble w pokoju podskakiwały. Sąsiad z dołu już od dobrych kilkunastu minut wrzeszczał, że tynk sypie mu się na głowę i że

zaraz zadzwoni po policję, ale Maniek nic sobie z tego nie robił. Liczyła się tylko ona. Była tu i tańczyła dla niego, a on ją uwielbiał.

Gdy piosenka się skończyła, ujął ukochaną za boczki, a raczej boczyska. Obfite fałdy ledwie mieściły mu się w dłoniach. Spojrzeli sobie w oczy i złączyli usta w namiętym pocałunku. Ich języki muskały się i owijały wokół siebie. Ręka Mańka wsunęła się za majtki dziewczyny, palce chwilę walczyły z gęstymi włosami łonowymi, po czym zagłębiły się w cudownie wilgotnej cipeczce.

Gośka jęknęła z rozkoszy. Mańkowy pośladek niemal zniknął w jej ogromnej łapie, a kiedy przycisnęła chłopaka do siebie, na moment zaparło mu dech. Rzuciła lubego na kanapę jak szmacianą lalkę. Błyskawicznie zerwała mu z tyłka portki razem z majtkami i wtedy, zupełnie niespodziewanie, ryknęła opętańczym śmiechem. Rechotała jakiś czas, a Maniek, ze wstydu czerwony jak cegła, ale wciąż rozgrzany jak piec, kulił się w sobie. Chciał coś powiedzieć, jednak Gośka, już ubrana, właśnie otwierała drzwi mieszkania i wychodziła na klatkę.

– Nie dzwoń do mnie. Zresztą, zablokuję połączenia przychodzące z twojego numeru – prychnęła na do widzenia.

Z oczu popłynęły mu łzy. Ciałem wstrząsnął dreszcz. Marzył o tej nocy, odkąd poznał Małgorzatę, i nie wyobrażał sobie, aby coś mogło pójść nie tak. Ten pierwszy raz miał być najcudowniejszym momentem jego życia, a zmienił się w koszmar.

Zerwał się z łóżka zlany potem. Wspomnienie feralnego wieczoru powracało w snach stanowczo zbyt często. Od tamtej pory panicznie bał się stosunku z kobietą. Świadomość, że po raz kolejny mógłby zostać ponizony i wyśmiany, powodowała w jego umyśle psychiczną blokadę przed seksem.

Gdy po kilku spokojnych, głębokich wdechach otrząsnął się z koszmaru, poszedł doglądnąć muchołówki. Roślina stała na parapecie, a on przyglądał jej się z zaciekawieniem. Obserwacja tego sprytnego myśliwego urosła do rangi małej pasji oraz sposobu na odstresowanie.

Po porannej toalecie i śniadaniu przyszła kolej na odrobinę przyjemności. Maniek opuścił spodnie, usiadł wygodnie w fotelu i sięgnął po swój telefon. Wszedł do albumu ze zdjęciami. Wybrał to, na którym widniał kawałek tyłka dziewczyny z kwaciarni. Zrobił

zbliżenie na otoczony pryszczami rów, ujął kciukiem oraz palcem wskazującym swoją kuśkę i zaczął ściągać skórę z żołądki.

Penis stwardniał, ale nie powiększył się choćby o milimetr. Ledwie wystawał z kłębowiska włosów łonowych, przywodząc na myśl młodego maślaczka ukrytego w kępie trawy.

Maniek westchnął. Nie dziwił się Goście, że na widok takiego pokurcza powzięła natychmiastowy odwrót, a mimo to wciąż miał do niej żal, że uczyniła to w tak poniżający sposób. Odegnął od siebie jej obraz i wlepił wzrok w fotkę na wyświetlaczu. Jego ręka pracowała coraz szybciej, na coraz wyższych obrotach. Powoli odpływał.

I wtedy napatoczyło się to cholerne muszysko. Wielkie, opaste, obrzydliwe. Usiadło na ekranie komórki i jak gdyby nigdy nic muskało ssawką szybkę. Maniek zdekoncentrował się. Całe podniecenie odeszło, a wzwód ustąpił.

– Ty tłusta cholero! – warknął i chwycił owada za skrzydła.

Mucha szarpała się panicznie, próbując odzyskać wolność, ale chłopak miał już plan, jak nauczyć ją dobrych manier. Posiadał przecież zielonego głodomora, łaknącego tak wspaniałych przysmaków jak dorodne, smakowite robactwo.

Zbliżył się do muchołówki i wtedy wyobraźnia podsunęła mu cudowny w swej prostocie obraz. Nie trzymał już w palcach paskudnego muszyska, ale wijącą się z przerażenia, świadomą nieuniknionego Małgorzatę. Dziewczyna wymachiwała kończynami, piszcziała, błagała o litość.

Maniek poczuł niezmierną satysfakcję, ale oprócz tego coś jeszcze. Początkowo nie znajdował słowa na określenie tej targającej nim emocji, jednak szybko uświadomił sobie, iż to po prostu podniecenie. To, co robił, kręciło go jak nic przedtem. Wzwód powrócił, z cewki moczowej wyciekł lepki ejakulat.

Uśmiechnięty, drżącą dłonią wpakował Gośkę między dwie rozwarłe powieki wieńczące listek muchołówki. Miotła się bezradnie i to przypieczętowało zgubę. Podrażnione włoski czuciowe rosnące na wewnętrznych ściankach doprowadziły do natychmiastowego zamknięcia pułapki. Małgorzata wrzasnęła, gdy pierwsza porcja soków trawiennych weszła w kontakt z jej skórą.

Na ten dźwięk Maniek wytrysnął. Siła orgazmu powaliła chłopaka na ziemię, doprowadzając niemal do utraty przytomności. Miotał się przez moment, targany drgawkami rozkoszy, a gdy doszedł do siebie, ujrzał jedynie tyłek muchy wystający spomiędzy zaciśniętych blaszek.

Od tamtej pory łapanie much stało się jego obsesją. Chorą fascynacją, realizowaną każdego dnia, zaraz po powrocie z pracy. Aby zwabić ofiary, najpierw wysypywał na blaty mebli cukier. Stwierdził jednak, że jest to sposób mało skuteczny, więc by poprawić wydajność, nacierał wszelkie płaskie powierzchnie w domu miodem. Dzięki temu muchy przyklejały się i mógł chwycić je bez denerwujących podchodów.

Muchołówkę rozmnożył do granic absurdu. Na każdym parapecie stało tyle doniczek, że nie sposób było wetknąć pomiędzy nie choćby igły. Maniek zbierał poprzyklejane do ścian i półek owady i nie szedł spać, dopóki każda pułapka nie została wypełniona małą, błagającą o litość Małgorzatą. Dochodził przy tym tak często, że nie miał się już nawet czym spuszczać.

W końcu szef wyrzucił go z pracy. I trudno się dziwić, bo łąził non stop w jednych ciuchach, przestał się myć, więc cuchnął niemiłosiernie, zarósł niczym Dziad Borowy, a na dodatek zamiast zajmować się robotą, z szaleństwem odbijającym się w przekrwionych z niewyspania ślepiach ganiał po halach za muchami.

Teraz mógł oddać się swojej pasji bez reszty. Widok setek Gosiek zakleszczonych w żrących pułapkach doprowadzał Mańka na skraj nirwany. Uśmiech dzikiej satysfakcji nie schodził mu z gęby ani na setną sekundy. Aż pewnego dnia w drzwiach jego mieszkania pojawiła się ona. Prawdziwa Małgorzata.

Kiedy zobaczył ją w progu, oniemiał. Wiele razy wyobrażał sobie, co zrobiłby, gdyby jakimś cudem jeszcze się spotkali. Jednak teraz, gdy stała przed nim w całej okazałości, żywa i prawdziwa, wszystkie plany zemsty, jakie knuł nocami, wydały mu się dziecięcą fraszką. A było tych planów multum. Począwszy od pospolitego oblania kwasem, poprzez przebranie za świnię i sprzedaż do ubojni albo wybebeszenie żywcem na oczach tłumu, na tak fantazyjnych motywach jak zaprzękanie diabłu do piekielnego burdelu skończywszy.

Obrzuciwszy byłą zaskoczonym spojrzeniem stwierdził, że przez te półtora roku niewiele się zmieniła. Właściwie to wcale. Nadal przypominała dorodny kawał ociekającego tłuszczem salcesonu zwieńczony czupryną kruczoczarnych włosów. Spod ciasnawej bluzeczki wylewał się poznaczony rozstępami brzuch.

Maniek patrzył na nią przez dłuższą chwilę i z ogromną niechęcią przyznał w głębi duszy, że ciągle mu się podoba. Ba, podoba. Podnieca jak jasna cholera. W ciągu ułamka sekundy przez jego głowę przewinęły się tysiące fantazji seksualnych, tak wymyślnych, że zawstydziłyby nawet autorów Kamasutry.

Małgorzata, zupełnie jakby potrafiła czytać w myślach, uśmiechnęła się zalotnie i delikatnie wepchnęła chłopaka w głąb przedpokoju.

– Pragnę cię – szepnęła.

Maniek zgłupiał totalnie. Doskonale zdawał sobie sprawę ze swojego wyglądu i zapachu, ze stanu, w jakim jest jego mieszkanie, ale ona widocznie była tak napalona, że kompletnie nie zwracała na to wszystko uwagi. Tylko dlaczego wróciła?

– Czekaj... – zaczął, jednak nie dane mu było skończyć.

Małgośka uciszyła go namiętym pocałunkiem. W tym momencie zrozumiał, że dalej ją kocha. Zarzucił dziewczynie ramiona na szyję, a po chwili naprędce zrzucali z siebie ubrania. Zawładnęły nimi namiętność i pożądanie. Maniek z pasją ugniatał ogromne cycki Małgośki, Małgośka dwoma pulchnymi palcami masowała jego maleńką kuśkę.

– Wyliz mi – mruknęła w końcu, odciągając fałdy brzuszne przesłaniające waginę.

Zanurkował między potężne uda ze zwinnością atakującego węża. Muskał wargami na przemian nabrzmiąłą łechtaczkę i przypominający czarną dziurę odbyt, jednocześnie penetrując palcami pochwę. W kulminacyjnym momencie fistingu wepchnął rękę aż po łokieć, a dziewczyna wyprężyła się, targnięta spazmem rozkoszy.

– Zerznij mnie! – zażądała. – Zerznij tak, żebym zapamiętała do końca życia!

Rozłożyła nogi szeroko, a on rzucił się na nią, rozgarniając przesłaniające mu kutaska włosy łonowe. Wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Skóra Małgośki rozstąpiła się, a Maniek runął wprost w oślizgłe wnętrzności. Oszołomiony, miotał się w płataninie cuchnących jelit, jednak im bardziej usiłował się wyswobodzić, tym mocniej flaki krępowały mu kończyny. Niczym inteligentne, mordercze pnącza. W końcu zaległ w bezruchu, związany, mokry od krwi oraz płynów ustrojowych. Przewracał tylko oczyma, sapał ciężko, zszokowany i przerażony.

– Jak Kuba Bogu, tak i Bóg Kubie, mój drogi – ochryply męski głos wyrwał go z oszołomienia.

Ujrzał przystojnego mężczyznę w szarym prochowcu, przyglądającego mu się z uśmiechem satysfakcji.

– Kim ty, kurwa, jesteś!? – wrzasnął.

– Zgaduj – odparł spokojnie незнаjomy.

Ta odpowiedź kompletnie zbiła Mańka z tropu. Rozdziawił usta niczym karp na widok tłuczka do ziemniaków i wybąkał coś niezrozumiale pod nosem. W głębi duszy błagał Boga, by to, co się właśnie działo, było tylko złym snem.

– Nie, to nie sen – uświadomił go tajemniczy przybysz. – No więc? Jak myślisz, kim jestem?

– O... o.... Ojcem Mał... gosi – wydukał Maniek, a mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Ale z ciebie debil – parsknął. – Może to ułatwi ci sprawę – dodał i chwycił się za policzki.

Jednym potężnym szarpnięciem zdarł sobie skórę z twarzy, a spod niej, zamiast czaszki, ukazał się ogromny łeb muchy domowej. Wielkie jak piłki plażowe, brązowe ślepia patrzyły oskarżycielsko.

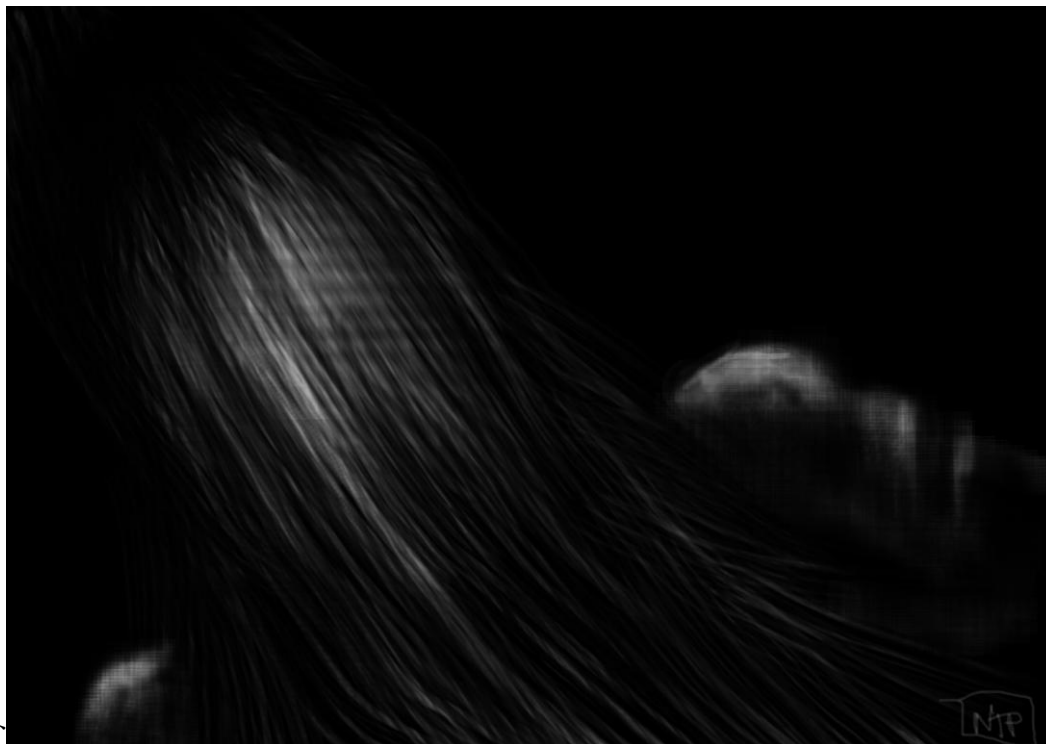
Maniek ze strachu zbladł i narobił w spodnie. Wyprężył całe ciało z zamiarem wyszarpnięcia się z potrzasku, lecz flaki trzymały mocno. Spanikował. Zaczął wrzeszczeć, potem płakać, potem znów wrzeszczeć, aż ochrypl tak bardzo, że nie zdołał wydać z siebie nawet charknięcia. Wtedy owad przemówił.

– Parszywa gnido, jestem Belzebub, władca much, pan piekielnych zastępów! A ty ze swego mieszkania uczyniłeś komnatę tortur dla moich oblubienic! Znajdowałeś przyjemność w wydawaniu ich na pastwę drapieżników, dlatego od dzisiaj, po wieczność, będziesz cierpieł tak samo jak one!

Ślepia Mańka rozszerzyły się z przerażenia. Chciał zaprotestować, wytłumaczyć się jakoś, obronić, ale demon zniknął. Rozwarte na oścież fałdy skórne na brzuchu dziewczyny zaczęły się powoli zrastać. Chłopak zrozumiał, że znalazł się w takiej samej pułapce, jaką zastawił na tysiące owadów.

Gdy rana zasklepiła się, wnętrzności Małgorzaty wypuściły pierwszą porcję kwasów.

rys. Roman Panasiuk



NOWE WŁOSY PAULINY

Dariusz Kick

Wiadomość o stawieniu się na odczytanie testamentu w kancelarii Nowicki, Chmielewski i wspólnicy zaskoczyła nas ogromnie. Szczególnie Paulinę, bo to ostatnia wola właśnie jej babki miała być przedmiotem spotkania. Zapytałem o nią żonę, ale nie potrafiła nic powiedzieć. Sprawiała nawet wrażenie, że sama jest zaskoczona informacją, że w ogóle miała babkę. Jak to powiedziała, „Wspomnienie o babci Arletcie jest dla mnie jak czarno-biała fotografia, na którą ktoś wylał szklanekę mleka”. Ot i cała Paulina. Moja filigranowa, eteryczna pani filolog.

Sama wizyta w kancelarii przebiegła sprawnie i po trzydziestu minutach Paulina była właścicielką nieruchomości, stojącej w Bytomiu Miechowicach przy ulicy Szyb Zachodni.

Potwierdzały to zarówno dokumenty, które ścisła pod pachą w białej tekturowej teczce, jak i uścisk dłoni prawnika. Cóż, nie powiem, że nie byłem podekscytowany. Byłem sprzedawcą samochodów w salonie Opla, a żona po filologii skandynawskiej jako wolny strzelec tłumaczyła czasem teksty dla wydawnictw i firm turystycznych. „Czasem” jest tutaj terminem kluczowym.

Wklepałem adres w nawigację, ponieważ sama nazwa ulicy nic mi nie mówiła. Ruch był całkiem spory jak na sobotę, ale kiedy oddaliliśmy się od centrum Bytomia, zrobiło się znośnie, a kiedy wjechaliśmy do miechowskiego lasu dziewięćdziesiątką czwórką, nie było na drodze nikogo innego. Skręciłem w lewo zgodnie ze wskazaniem Hołowczyca. Ulica Szyb Zachodni była węższa, miała spękany asfalt i ograniczenie do pięćdziesięciu na godzinę. Krajobraz wokół nas tonął we wszystkich możliwych odcieniach szarości. Jakby ktoś wyssał kolory. Pośród drzew dostrzegłem ruiny dawnego szybu zachodniego, które sprawiały nieco upiorne wrażenie. Nie tyle ze względu na stan budowli, ile ich przemysłowy charakter, który nijak nie pasował do lasu. Paulina krzyknęła nagle „Uważaj!” i w ostatniej chwili minąłem jakiegoś menela w znoszonej wojskowej pałatce. Już miałem na końcu języka wiązanekę, ale się powstrzymałem. Żona nie lubi, kiedy przeklinam.

Następny zakręt w prawo prowadził prosto w las. Droga była wąska, wysypana szutrem i dość wyboista. Na szczęście nie zajechaliśmy daleko. Osiedle było malutkie i położone na planie okręgu. Po jego zewnętrznej stronie stało pięć parceli. Wewnątrz okręgu zauważyłem kilka kamieni, chaszczki i drzew. Nagle nawigacja zgubiła bodaj wszystkie satelity, aplikacja zgłupiała, nie mogąc odnaleźć drogi, aż wreszcie Hołowczyc zaskrzeczał proroczco, „Zawróć, jeśli to możliwe”. Ani mi się śniło. Zatrzymałem się dokładnie pośrodku osiedla pod numerem pięć. Czułem coraz większe podniecenie, choć wyraz twarzy Pauliny zdradzał raczej konsternację. Wyłączyłem silnik i wysiedliśmy, rozglądając się dookoła. W powietrzu unosił się intensywny zapach ziemi i gnijących liści. Rano trochę padało. Domy stały gdzieś tam, przyczajone za brzożami. „Jak tutaj szaro”, nie umknęło jej uwadze.

Oprócz tego, że wokół było smętnie i popielato, to jeszcze panowała cisza niemal absolutna, gdyby nie liczyć szmeru spadających liści. Jakbyśmy byli na końcu świata. Też to musiała zauważyć, bo minę miała nietęgą. Weszliśmy przez porzewiałą furtkę i ruszyliśmy ścieżką wyłożoną piaskowcem, aż natknęliśmy się na dom. Nasz dom! Aż mi serce zabiło mocniej. Dach pokryty był łupkiem, nota bene szarym jak diabli. Pośrodku była pokryta patyną miedziana lukarna. Sam dom miał prostą bryłę z szarą fasadą, która doskonale wtapiała się w jesienne tło. Budynek w znacznej części był porośnięty pnączami, które o tej porze roku szczyły i zastygły na nim jak żalobny kir.

Do środka weszliśmy ostrożnie. Sam nie wiem, czego się spodziewaliśmy. Ducha babci Arletty, który będzie nas chciał oprowadzić po swoich włościach? A może tego, że wszystko zawali się nam na głowy zaraz po przestąpieniu progu? Po prostu to był odruch. A może coś więcej?

Powietrze było lekko zatęchłe, jak to w domu, który długo nie był wietrzony i ogrzewany. Wewnątrz panował półmrok, który od dłuższego czasu był tam chyba jedynym lokatorem. Zaskoczyło nas, że ktoś zadał sobie tyle trudu i wszystkie meble nakrył białymi prześcieradłami, które (zauważyłem to od razu) w połączeniu z półmrokiem wzbudziły niepokój mojej żony. Sam dom był duży, miał jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów. Na parterze znajdował się ogromny salon z kominkiem i gabinet oraz przestronna kuchnia. Na górze znaleźliśmy cztery pokoje. Gdyby nie te prześcieradła, można by pomyśleć, że Arletta wyskoczyła na chwilę do apteki.

Kiedy schodziliśmy na dół, zauważyliśmy czyjąś sylwetkę majaczącą w progu. Paulina drgnęła nerwowo. „Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłam?”, usłyszeliśmy niski kobiecy głos. Zanim zdążyłem zamienić całą sytuację w żart, postać znalazła się w środku. Kobieta ubrana była w ciemny płaszcz, miała długie, lśniące czarne włosy i przedstawiła się jako Róża. „Przepraszam za najście, ale byłam sąsiadką i przyjaciółką Arletty i kiedy zauważyłam samochód...”, kobieta mówiła, cały czas przyglądając się nam uważnie. Okazało się, że te prześcieradła to jej pomysł. Jak to ujęła – uznała, że te meble zasługują na drugie życie. Zerkałem na Paulę, którą coś ciągnęło do wyjścia i po chwili już staliśmy w jesiennej słońcu, przyglądając się budynkowi. „Jesteśmy małą społecznością, a Arletta zajmowała w niej szczególne miejsce”, odezwała się wreszcie Róża. „Chyba nie przesadzę, jeśli powiem, że była dobrym duchem naszej wspólnoty”.

Zaskoczyło mnie, że Arletta cieszyła się aż takim poważaniem w dzielnicy. Wyobrażałem ją sobie jako starą wysuszoną babinkę, tymczasem musiała mieć sporo charyzmy. No bo jak inaczej to wytłumaczyć? Później Róża wyraziła głośno nadzieję, że dom będzie nam dobrze służyć, na co Paulina zaczęła się tłumaczyć z wyraźnym zakłopotaniem, jak nastolatka, która nie chce zaprosić grubej koleżanki na urodziny, jednocześnie nie chcąc jej sprawić przykrości. Nie mogłem tego zrozumieć. Wtedy z kolei Róża wypaliła: „Bzdura, to piękny dom. Szkoda go zostawić na pastwę losu”, co wydało mi się nie na miejscu. Doszukałem się w jej głosie nuty irytacji, której kobieta nie potrafiła ukryć. Uznałem ją wtedy za jedną z tych uczynnych, ale wścibskich sąsiadek, które lubią wtykać nos w nie swoje sprawy i narzucać swoją wolę (albo punkt widzenia) innym. Szczególnie że kiedy odjeżdżaliśmy, widziałem ją we wstecznym lusterku. Stała na wietrze i odprowadzała nas wzrokiem. Skojarzyła mi się z Glenn Close z „Fatalnego zauroczenia”, która stała w burzliwą noc pod oknem Douglasa. Aż ciarki przechodzą.

Wieczorem, już w naszym wynajętym mieszkaniu na osiedlu Arki Bożka, rozmawialiśmy o nowym-starym domu. „Nie podobało mi się tam”, komentowała Paula. „Było szaro i strasznie cicho. Poza tym, czy widziałeś tę kobietę? Miała taki nachalny makijaż...”, zawiesiła głos, więc zachęciłem ją do skończenia myśli. „Sama nie wiem, przez chwilę miałam wrażenie, że ma taki mocny makijaż, bo jest pozbawiona rysów twarzy. Wiem, to głupie”. Owszem, to było głupie. „Czy ja wiem?”, odparłem dyplomatycznie. Osobiście uważałem, że Róża była babką całkiem do rzeczy. Gdyby nie ten wydatny nos mógłbym powiedzieć, że była nawet ładna, a przynajmniej coś blisko

tego. W każdym razie seksapilu jej nie brakowało. Jedyne, z czym mogłem się zgodzić, to z tym, że Róża była trochę dziwna. Tymczasem Paulina najwyraźniej nie skończyła opowiadać, co jej się nie spodobało. „Dom też nie zrobił na mnie wrażenia”. No i masz. „Był taki zimny i ciemny i...”, znowu zamilkła w pół zdania, więc zacząłem ją zachęcać. Kiedy Paulina zawieszała się w pół zdania, oznaczało to, że oczekuje motywacji. Zachęcając ją, dawałem dowód aktywnego słuchania. Tak już miała i lepiej było o tym pamiętać, chyba że ktoś lubi ciche dni albo bezsensowną dyskusję i odpieranie argumentów „nie do odparcia”. „Miałam wrażenie, jakby babcia Arletta, której nawet nie potrafię sobie przypomnieć, nie całkiem go opuściła. Myślisz, że to naiwne z mojej strony?”. Tak właśnie sądziłem. „Wystarczy wrażeń na dziś. Pooglądamy Wojewódzkiego?”, zmieniłem temat, uznając, że lepiej będzie wrócić do sprawy za kilka dni.

Dwa dni później Paulina znalazła w skrzynce list. Pokazała mi go, kiedy wróciłem z pracy. „Czytaj”, już po głosie domyśliłem się, że nie jest to kolejny spadek. Okazało się, że właściciel mieszkania właśnie podwyższył nam czynsz za wynajem. Kwota okazała się zaporowa, a ja czułem, jak krew mnie zalewa. Pewnie sukinsyn znalazł jakąś desperatkę, która za obniżony czynsz będzie się z nim pieprzyć. Podzieliłem się swoim podejrzeniem z Pauliną. „Nie bądź wulgarny”, pouczyła mnie. Już miałem złapać za telefon i zadzwonić, ale powstrzymała mnie, twierdząc, że to i tak nic nie da. „W takim razie, może wrócimy do kwestii domu w miechowskim lesie?”, zapytałem ją, a ona milczała. To był dobry znak.

W pracy wziąłem wolne, ponieważ Paulina upierała się, żeby zobaczyć dom w pełnym świetle. Pogoda była dobra – jak na jesień – ale kiedy dotarliśmy na miejsce, wszystko zszarzało. Zupełnie jakby słońce było namalowane akwarelą i ktoś dodał za dużo wody. Jego promienie rozmyły się na siniejącym niebie, a wokół nas rozpanoszyła się szarzyzna. Obeszliśmy dom z każdej strony. Okna były całe, a mury wyglądały na zdrowe. W środku Paulina zajrzała pod kilka prześcieradeł i uznała, że chociaż meble są staroświeckie, to są zadbane, a niektóre wyglądają na wartościowe. Kiedy ponownie wyszliśmy do ogrodu, natknęliśmy się na Różę. „Mam nadzieję, że tym razem nikogo nie przestraszyłam?”, uśmiechnęła się przyjaźnie. Właśnie zerwał się mocniejszy wiatr i zaczęło mżyć, a ona zaprosiła nas do siebie na herbatę. Byliśmy zaskoczeni taką serdecznością, ale się zgodziliśmy. Przynajmniej ja wciąż liczyłem, że wkrótce tutaj zamieszkamy. Tym bardziej nie chciałem zrażać do siebie potencjalnych sąsiadów. Zajmowała pierwszy dom po naszej lewej stronie.

Dom Róży był urządzonej w bardzo podobnym stylu. Nawet papierowe tapety miały podobne wzory. „Miałyśmy identyczny gust”, rzuciła, widząc, że Paulina otworzyła usta ze zdumienia. *Może jednak lesby?* – pomyślałem sobie wtedy, bo taka myśl przemknęła mi wcześniej przez głowę. Posadziła nas przy stole, a sama zniknęła w kuchni. Wracała właśnie z tacą, na której niosła filiżanki z czymś parującym. „O, a to mój mąż Henryk”, wskazała na mężczyznę schodzącego z piętra. Facet miał co najmniej dwadzieścia lat więcej niż ona. Ubrany był

w sztruksową marynarkę i także spodnie. Sprawiał wrażenie nieobecnego. Przywitał się z nami słabym głosem i zawiesił mętny wzrok gdzieś ponad stołem. Nie sądziłem, że sąsiadka ma męża. Więc jednak nie lesbijka. Róża różniła się od męża zasadniczo. To była babka z wigorem. Wszędobylska, lubiąca dużo mówić i chyba wściubiać nos w nie swoje sprawy. Fizycznie również nad nim górowała. Mimowolnie zacząłem się zastanawiać, czy Henryk jest w stanie zaspokoić swoją żonę w łóżku i wyszło mi, że raczej nie bardzo.

Jej wymalowane czerwoną szminką usta niemal się nie zamykały. „A czym ty się zajmujesz, złotko?”, zapytała, a kiedy Paulina powiedziała, że skończyła filologię, tamta od razu wpadła jej w słowo. „Nie może być. W takim razie musisz kogoś poznać. To najstarszy członek naszej społeczności”. Czułem jej rosnącą ekscytację i ukradkiem zerkałem w jej głęboki dekolt, gdzie tłoczyły się dwie całkiem spore i kształtne piersi. „Był kiedyś antykwariuszem, dacie wiarę? Niemal całe życie gonił po świecie za tymi, jak on to je nazywał... białe kruki. No właśnie”. Zrobiła pauzę, żeby wziąć łyk herbaty, która, nawiasem mówiąc, dziwnie zalatywała. „Nie uwierzycie, ale dorobił się na tych swoich książkach sporego majątku”. Wtedy przyłapała mnie na bezwstydnym zaglądaniu w jej dekolt. Zaczerwieniłem się, ale Paulina na szczęście pochylała się nad filiżanką herbaty. Róża nie zrobiła niczego, żeby osłonić swoje piersi. „Ma w domu całą masę książek i niech mnie diabeł porwie, jeśli nie znajdziesz czegoś dla siebie”, uśmiechnęła się do Pauliny. A może do mnie?

Róża, mimo że ciągle mówiła, była wytrawnym obserwatorem. Od razu zauważyła konsternację Pauliny, próbującej jej naparu. „A jak smakuje ci herbatka, moja droga? Wyglądasz na zaskoczoną”. Delikatnie powiedziane. Paulina zmieszała się i przyznała, że nigdy takiej nie piła. „Oj, wcale mnie to nie dziwi, złotko. Tę herbatę robię sama”. Obydwoje mieliśmy zdziwione miny. „Mąż może poświadczyć, prawda? Henryku!”, skarciła go wzrokiem. Henryk wrócił do swojego ciała i przytaknął, choć mógłbym przysiąc, że nie miał zielonego pojęcia, o czym rozmawialiśmy. Odniosłem również wrażenie, że mało go to obchodzi. Zajrzałem do filiżanki. Ciecz miała brunatną barwę, a zapach był... cóż, był szczególny. „W sklepie czegoś takiego nie kupicie. Zapewniam. W tych supermarketach sprzedają same śmiecie, tymczasem w tym lesie, tak, skarbie”, zwróciła się do Pauliny, jakby wyczuła jej zaskoczenie. „Dokładnie w tym lesie jest wszystko, czego potrzeba do przyrządzenia pysznej herbaty”. Zamilkła zadowolona z siebie. Przez chwilę w salonie słychać było jedynie tykanie zegara. „Pijcie, kochani, herbatka jest ekologiczna”, uśmiechnęła się i sama wzięła łyk, jakby chcąc nam dodać odwagi. Jej herbata smakowała dokładnie tak, jak wyglądał miechowski las. Nieszczególnie.

Róża zaprowadziła nas do ostatniego domu po lewej stronie. Drzwi otworzyła tęga, trzydziestoparoletnia kobieta w stroju pielęgniarki, na który nałożyła wełniany sweter zapinany z przodu na guziki. Mówiąc tęga, mam na myśli, że była naprawdę duża. O ile Róża przewyższała Paulinę o głowę, to siostra Łucja, bo tak ją przedstawiła, przewyższała Różę. To tyle, jeśli chodzi

o wzrost, bo tuszą przewyższała nas wszystkich. Miała do tego drapieżną urodę. I nie piszę tego, bo była gruba i się na nią uwziąłem. Raczej nie wynająłbym jej do opieki nad kimś bliskim. Ruszyliśmy wypłowiałym dywanem do biblioteki, w której książki piętrzyły się na regałach i wprost na parkiecie. Były po prostu wszędzie. Czegoś takiego nigdy nie widziałem. Dla mnie zbieranie czy choćby czytanie książek to najgłupsze zajęcie na świecie, ale widać staruszek musiał tym żyć. Przynajmniej kiedyś, ponieważ obecnie wyglądał raczej kiepsko. Siedział w wózku inwalidzkim, okryty kocem, a na jego kolanach leżała butla z tlenem. Wzrok miał matowy i nieruchomy. Praktycznie jakby był martwy. Tak właśnie wtedy pomyślałem. Miał na twarzy plamy wątrobowe i zaledwie kilka siwych włosów. Włosy to on miał jak te białe kruki, za którymi ponoć uganiał się większość życia.

Antykwariusz raczej w ogóle nie był świadomy naszych odwiedzin. Paulina również dostrzegła kiepską kondycję staruszka i poczuła się zmieszana, ale Róża zapewniła ją, że może buszować do woli. Widziałem, jak skóra jej pąsowieje. Moja żona zawsze się nakręcała w obecności książek i nie miało to nic wspólnego z seksem. Żebyśmy się dobrze zrozumieli. Żebyśmy się jeszcze lepiej zrozumieli, moja żona niewiele miała wspólnego z seksem. Podejrzewam, że niechętnie rozkładała nogi nawet po to, żeby zmienić podpaskę. Taka już była. I od razu odpowiem. Nie, nie brałem kota w worku, ale kiedyś wydawało mi się to urocze i takie romantyczne. Byłem chyba jak te kobiety, które wychodzą za alkoholika albo ćpuna, ponieważ wierzą, że tylko one potrafią wyciągnąć go z nałogu. To się nigdy nie udaje.

Zostałem w tyle z Różą, obserwując, jak Paulina przegląda wolumeny. Dotykała ich i kartkowała z takim nabożeństwem, że aż miło było popatrzeć. Papier kręcił ją od dziecka. Nagle stanęła przy jednym z regałów i zerknęła na grzbiet jednej z książek. Odniosłem wrażenie, że pobladła, ale była zbyt daleko, żeby stwierdzić to z pewnością. Wysunęła ostrożnie jakąś starą księgę, zerkając w naszą stronę jakby w obawie, że antykwariusz za chwilę zwzywa ją od najgorszych. Siostra Łucja skinęła jej przyzwalająco. „Skugganumbók”, szepnęła, dotykając dłonią grzbietu opasłego tomu. Zabrała swoje znalezisko i podeszła do nas. Księga wyglądała na starą. Miała drewnianą okładkę obciągniętą podniszczoną skórą. Pergamin zapisany był piękną czcionką w układzie dwukolumnowym, a okładka w rogach miała jakieś metalowe ozdobniki. Myślę, że można nią było kogoś zabić. Taka była cegła. Tymczasem Paulina powtórzyła jeszcze kilka razy „Skugganumbók”. Widziałem w jej oczach błysk i przez chwilę pomyślałem, że być może opętał ją jeden z tych nordyckich bogów, którymi truła mi kiedyś głowę. Zachowywała się, jakby trzymała w dłoniach świętego Graala i praktycznie nie zwracała na nas uwagi.

Róża uśmiechnęła się do mnie, a siostra Łucja zabrała staruszkę na zastrzyk. Na odchodnym kazała nam się czuć jak u siebie. Nie wiem dlaczego, ale odniosłem wrażenie, że Róża i tak czuła się jak u siebie. „Pozwolisz, skarbie?”, wskazała mały stolik kawowy, przy którym usiedliśmy, i wyjęła księgę z rąk Pauliny. Przez chwilę pomyślałem, że żona nie będzie chciała jej oddać. To

dopiero byłby obciach. „Widzę, złotko, że ta książka zrobiła na tobie wrażenie”, uśmiechnęła się zadowolona. Paulina spojrzała na nią jak nauczycielka na ucznia nieumiejącego wskazać na mapie Warszawy. „To Księga Cieni. Mój Boże. Od wieków toczą się spory, czy ona naprawdę istnieje, czy jest tylko mitem”. „Jak widzisz, istnieje i ma się dobrze”. Żona zerknęła na swoje ręce, w których już przecież nic nie miała. „No cóż, złotko, muszę przyznać, że masz oko. Jakub przed laty, zanim jeszcze zniedołężniał, suszył nam wszystkim głowy tym czymś. A wiesz, że on od dawna nosił się z zamiarem przetłumaczenia jej?”. To było głupie pytanie, niby skąd miała wiedzieć. „Pewnie się teraz zastanawiasz, dlaczego tego nie zrobił? Prawda? Otóż widzisz, serce, on po prostu nie potrafił się z nią rozstać, a nie wpuściłby tutaj nikogo obcego”. Róża błyskawicznie odczytała minę Pauliny, „Nie, moja droga, ty nie jesteś obca. Ty jesteś wnuczką Arletty, a jak już ci mówiłam, twoja babka była tutaj bardzo szanowana”.

Zaczynałem sądzić, że jeśli Róża z Arlettą nie czochrały sobie bobrów pod kołdrą, to Arletta musiała być kimś w rodzaju jej guru. Sam już nie wiedziałem, co o tym myśleć. I wtedy padła propozycja, która nawet mnie wprawiła w zdumienie. Propozycja Róży polegała na tym, że Paulina będzie mogła przetłumaczyć księgę i nawet ogłosić światu zaskakującą nowinę o jej istnieniu, ale dopiero po śmierci antykwariusza. Do tego czasu może nad nią spokojnie pracować, choć oczywiście był warunek. Żeby pracować nad księgą, musi mieszkać w pobliżu, czytaj: w domu Arletty. Róża dodała, że antykwariusz oferuje sześć tysięcy miesięcznie za jej pracę. Patrząc na to coś, co leżało na stoliku, było oczywiste, że nie da się tego zrobić choćby w rok. Przysłuchiwałem się temu z ciekawością. Miałem nadzieję, że mimo jej niechęci do tego miejsca zrozumie, że sześć tysi drogą nie chodzi. Tymczasem żona zbladła, jej wzrok zrobił się szklisty. W dodatku wstrzymała oddech na tak długo, że zaczynałem się martwić. Miałem wrażenie, że ktoś wyssał cały tlen z biblioteki. Nagle padły słowa Pauliny, „Zgadzam się”, a do pokoju jakby ktoś wpuścił świeże powietrze.

Przeprowadzka poszła gładko, a ja i tak zadzwoniłem do tego kurdupla i powiedziałem mu, co może sobie zrobić ze swoją podwyżką i całym mieszkaniem. W końcu tyle się teraz pisze o tym, żeby nie dusić w sobie niczego. Od chwili przeprowadzki dom Arletty (w zasadzie to już nasz, ale tak się utarło) szybko pokazał swoją osobliwą naturę. Był, jakby to powiedzieć, *sui generis*. Jeśli wcześniej pisałem, że na osiedlu panuje cudaczna cisza, to w domu ta cisza była jeszcze większa. Nie docierały do nas żadne dźwięki z podwórka, a nawet głos z kuchni nie docierał do salonu. Stara przedwojenna willa potrafiła pochłaniać nie tylko dźwięki, ale to samo działało się ze światłem, którego i tak nie było w nadmiarze w miechowskim lesie. Po włączeniu światła po chwilowym rozbłysku natychmiast było tłamszone (wiem, że to brzmi dziwnie), a cienie nie chciały się cofnąć

choćby o jotę. Uczciliśmy przeprowadzkę butelką Carlo Rossi. Skromnie, ale dobre i to. Paulina nie pochwałała alkoholu w domu.

Nie będę ukrywał, że liczyłem na małe co nieco. Niestety, przeliczyłem się, nie pamiętam, który to już raz. Spaliśmy w ogromnym łożu Arletty, które wyglądało na ręcznie rzeźbione. Podobnie jak potężna trzydrzwiowa szafa, ważąca chyba z dwie tony. Paulina zaciągnęła zasłony i w sypialni zrobiło się naprawdę potwornie ciemno. Nagle moja żona obróciła się do mnie plecami, wypinając swoją zgrabną pupę. Wziąłem to za dobrą monetę, ale ledwie położyłem dłoń na jej pośladku, zamruczała coś przez sen i skuliła się w kłębek, odsuwając jednocześnie. Jak ślimak, którego, gdy dotkniesz, chowa się do swojej muszli. Szlag by to. Położyłem się na wznak, wpatrując się w sufit. Byłem rozdrażniony i pobudzony. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę to nie widzę żadnego sufitu.

Nie pamiętam, jak długo tak leżałem. W końcu ciemność wokół mnie stężała do tego stopnia, że poczułem się, jakbym był zawieszony w próżni. Moje nerwy niespodziewanie rozstroiły się jak stary nieużywany fortepian. Nie widziałem nawet łóżka, na którym przecież leżałem. To było naprawdę nieprzyjemne. Z całej siły próbowałem sobie wmówić, że to zwykła ciemność, ale nie potrafiłem sam siebie przekonać. W moich myślach zaczęła się pojawiać Arletta. Nie wiem, dlaczego tak się działo, ale mimowolnie powracała, nawet gdy próbowałem zająć swój mózg czymś innym. Wyobraziłem sobie, że stoi gdzieś tam w ciemności i przygląda się nam. Może nawet zmarła w tym łóżku? Z tego wszystkiego nabrałem silnego przekonania, że ktoś (lub coś) wpatruje się we mnie z pożądaniem. Jasna cholera, poczułem gęsią skórę.

Niespodziewanie pod kołdrą wyczułem jakiś ruch. W pierwszej chwili serce podeszło mi do gardła, ale kiedy poczułem na swoim brzuchu dłoń Pauliny, wszystko puściło. Jednak moja księżniczka miała ochotę poświntuszyć, flirciara. Szybko dotarła do celu (tak, położyłem się bez majtek w dobrej wierze), a ja w jej dłoni błyskawicznie osiągnąłem erekcję. Masowała mnie chwilę, a zaraz po tym poczułem pieszczotę jej ust i języka. Nie mogłem w to uwierzyć. To się jeszcze nie zdarzyło przez wszystkie lata małżeństwa. Może to ta cała Skugganumbók ją tak podkręciła? Tak naprawdę miałem to gdzieś. Mój świat zawirował z rozkoszy. Pieściła mnie z taką namiętnością i wprawą, że gdzieś tam głęboko w swojej świadomości poczułem ukłucie zazdrości. Czy ona już to komuś robiła? Najbardziej zabolalo mnie nie tyle to, że mogła to już komuś robić, ile to, że mnie zrobiła to dopiero teraz. Po siedmiu latach małżeństwa. Szybko jednak odłożyłem te myśli na półkę z napisem „na później” i postanowiłem cieszyć się chwilą. Czułem rozkoszne mrowienie i z trudem powstrzymałem się, żeby nie złapać jej za włosy. Mogłaby się obrazić. *Co za noc*, pomyślałem wniebowzięty, kiedy nagle usłyszałem ciche westchnienie i Paulina przesunęła się tak, że jej głowa znalazła się tuż obok mojej. W jednej chwili zeszytniałem przerażony.

Strach, który mnie wtedy sparaliżował, jest trudny do opisania. Jakby czyjaś lodowata dłoń złapała moje serce i ugniatała je, jak się gniecie ciasto na makaron. Wciąż czułem, że pomiędzy

moimi nogami ktoś jest. Ten ktoś albo to coś znieruchomiało, jakby zrozumiało, że zostało zdemaskowane. Wprost wgniotło mnie w materac, a krew zatrzymała się, jakby zakrzepła w jednej sekundzie. Tak naprawdę zmieniała się w lód. Jestem tego pewien. Nie mogłem oddychać. Próbowałem wpatrywać się przed siebie i przez chwilę nawet dostrzegłem zarys kołdry, pod którym rysował się jakiś wypukły kształt. A może tylko to sobie wmówiłem? Później już widziałem tylko jasne rozbłyski przed oczami. Zbyt intensywnie wpatrywałem się w ciemność. Nie pamiętam, ile tak leżałem i tylko cudem nie zapaskudziłem pościeli ze strachu. W końcu pozbierałem się na tyle, że jednym błyskawicznym ruchem (tak mi się przynajmniej wydaje) zrzuciłem z siebie kołdrę. Oczywiście nikogo (ani niczego) tam nie było, choć mógłbym przysiąc, że usłyszałem westchnięcie i nie był to głos Pauliny. Aż mi włoski stanęły na karku. Chwilę po tym wszystko się uspokoiło. Pozostał jedynie dziwny, nieokreślony i lekko drażniący zapach.

Tamtej nocy długo nie mogłem zasnąć. Przyznam się do czegoś. Najchętniej zszedłbym do salonu pooglądać telewizję, ale zwyczajnie bałem się wyjść z łóżka. Nie ma sensu opowiadać większości następnego dnia. W pracy byłem niewyspany, wręcz nieprzytomny. W drodze do domu korki ciągnęły się niemiłosiernie, a czerwone światła samochodów przede mną usypiały mnie jak najlepsza kołysanka. Niebo było nieludzko szare, wiatr smagał stłoczonych na przystankach ludzi, a w miechowskim lesie zauważyłem tego samego menela, którego o mały włos potrafiłbym za pierwszym razem. Marzyłem tylko o jednym: żeby wziąć gorący prysznic i zdrzemnąć się.

Paulinę zastałem w jednym z czterech pokoi na piętrze, który zaadaptowała na swoją pracownię. Siedziała nad swoją tajemniczą księgą i była tym tak pochłonięta, że nawet nie odpowiedziała mi, kiedy ją przywitałem. Machnęła tylko ręką, nie odrywając wzroku od książki. Równie dobrze mogła powiedzieć „spieprzaj, dziadu”. Cóż, taka już była moja mała pasjonatka. Rozebrałem się i wskoczyłem pod prysznic. W strugach gorącej wody próbowałem sobie wmówić, że poprzedniej nocy miałem zły sen, ale nic to nie dało. Zacząłem się zastanawiać, czy porozmawiać o tym z Pauliną, ale niby co miałem jej powiedzieć? *Hej, skarbie, wczoraj w nocy ktoś zrobił mi loda. Podejrzewam, że to twoja nieżyjąca babka. Straszna z niej psotnica. A tak przy okazji, pyszna kolacja.* Chyba sami rozumiecie, że lepiej było zachować to dla siebie.

Kiedy wyszedłem spod prysznica, zrobiło się już ciemno, więc włączyłem światło. Na niewiele się to zdało, ale jednak. Zawsze to raźniej. Podeszedłem do umywalki i uznałem, że czas się ogolić, więc odkręciłem gorącą wodę. Lustro zdążyło się pokryć parą, a ja miałem już nałożyć piankę na zmęczoną twarz, kiedy na moich oczach na lustrze pojawiła się litera. Znieruchomiałem. W pierwszej chwili miałem nadzieję, że to jakiś omam. Że coś mi się przywidziało. Kiedy utworzyła się druga litera, poczułem, jak coś ściska mi gardło. Słowa pojawiały się jakby kreślone niewidzialną ręką, aż mogłem wreszcie przeczytać, „*Jak ci się podobało w nocy, kochasiu?*”.

Chyba cała krew spłynęła mi do stóp, bo momentalnie zakręciło mi się w głowie i myślałem, że tracę przytomność. Rozejrzałem się dokoła, jakby w nadziei, że to kiepski żart. Niestety, byłem

w łazience sam. Moje nerwy rozsypały się jak domek z kart. Ręce mi się trzęsły, serce tłuło się, jakby chciało połamać żebra, a mój mózg rozpaczliwie szukał alternatywnej i pewnie bezpiecznej rzeczywistości. Nie pamiętam, jak długo tak stałem. W każdym razie na tyle długo, że napis zaczynał się już skraplać. Wreszcie wyciągnąłem drżącą dłoń i ostrożnie, jakby coś miało mnie pochwycić i wciągnąć do lustra, napisałem: „Kim jesteś?”. Nic się nie wydarzyło. Więc jednak zwidy? Już miałem odetchnąć z ulgą, kiedy na lustrze pojawiła się odpowiedź. Szczerze? W zasadzie mnie nie zaskoczyło, kiedy przeczytałem: „Arletta”.

Byłem w tak koszmarnej kondycji, że mogłem tylko dziękować Bogu, że Paulina była pochłonięta swoją pracą. Długo nie mogłem dojść do siebie. Nie mogłem zasnąć ani uspokoić zdewastowanych nerwów. Nawet zaopatrzyłem się w butelkę whisky, ukrywając ją przed żoną. Róża czasami do nas zaglądała. Na szczęście, tamtego dnia nie zjawiała się. Ona z pewnością zauważyłaby, że mam jakiś problem. W każdym razie zjawiała się następnego dnia. Przeprowadziła ze sobą dwie bliźniaczki, mieszkające po naszej prawej stronie. Celina i Celestyna były mysimi blondynkami przed trzydziestką. Obydwie były bardzo szczupłe, hałaśliwe, a do tego mdłe i tandetne z wyglądu. Nie mogłem ich od siebie odróżnić. Często potrafiły zaczynać to samo zdanie jednocześnie, co było irytujące. Zostawiłem je w salonie i poszedłem zaparzyć herbatę, którą przyniosła Róża. I kiedy zalałem filiżanki wrzątkiem, poczułem ten zapach. Dziwaczny, lekko drażniący. Było w nim coś znajomego. I nagle spłynęło olśnienie. *Kurwa! Toż to ten sam zapach, który poczułem tamtej nocy w sypialni!*

Kiedy już zostaliśmy sami, dołożyłem dREW do kominka. Ogień w kominku był dla mnie metaforą domowego ogniska, którego nie sposób było wykrzesać w tej willi. Paulina miała jeszcze pół butelki Carlo Rossi, a ja w sposób jawny nalałem sobie whisky. Co mi tam. „Od kiedy pijemy w domu mocny alkohol?”, zapytała z lekkim wyrzutem. Nie pamiętam, co wtedy powiedziałem. Pewnie wymyśliłem jakiś kit, że niby dostałem od klienta, więc nie wypadało odmówić, czy coś równie idiotycznego. Dla odmiany zapytałem ją, jak jej idzie tłumaczenie. To był strzał w dziesiątkę. Szybko zapomniała o butelce. „To zabawne”, odezwała się zamyślonym tonem kilkanaście minut później. „Przypomniałam sobie, że kiedyś podsłuchiłam rozmowę telefoniczną mojej mamy. Tyle że nie mam pojęcia, z kim rozmawiała. Żaliła się komuś, że jestem wykapana Arletta”. Zaskoczyła mnie tym wyznaniem. Zapytałem ją, ile mogła mieć wtedy lat. Odparła, że jakieś dziesięć, może troszkę więcej. „Skarbie, założę się, że pamięć płata ci figle. To było tak dawno. Pewnie matka chwaliła się, że wyglądasz jak twoja babka. Widocznie była tak samo piękna”. Wzruszyła ramionami i dopiła wino, nalewając od razu kolejną lampkę. „A jak tam te dwa dziwolągi, twoje nowe znajome?”. „Cecylia i Celestyna? Wiesz, że prowadzą zakład fryzjerski w Miechowicach?”. Niby skąd miałem wiedzieć? „Zaproponowały mi, żebym sobie u nich przedłużyła włosy”.

Czegoś takiego się nie spodziewałem. Paulina była śliczną kobietą o pięknych jasnych włosach sięgających do ramion. Zapytałem, po co jej to, skoro i tak jest atrakcyjna. Uśmiechnęła się i zaczęła mi opowiadać o tej dziwacznej usłudze. „A nie boisz się, że one biorą te włosy na przykład od nieboszczyków?”. Nazwała mnie głuptasem i wzięła kolejny łyk wina. „Pójdę się położyć”, odstawiła butelkę do kuchni. Zapytałem, czy pójść z nią. Powiedziała, że ma migrenę i lepiej żebym sobie pooglądał jeszcze telewizję. Bez komentarza. Obejrzałem powtórki „Dlaczego ja”, wlewając w siebie tyle whisky, ile pozwoliłoby mi na ekspresowe zaśnięcie. Kiedy poszedłem do sypialni, już spała. Pamiętałem tylko, żeby nie zasłaniać okna. Wolałem, jak księżyc zaglądał do pokoju, choć zauważyłem, że robił to niechętnie.

Kiedy następnego dnia wróciłem z pracy, czekała na mnie niespodzianka. W progu powitała mnie nowa, całkowicie odmieniona Paulina. Nawet do głowy mi nie przyszło, że jej nowe włosy będą kruczoczarne i tak potwornie długie. Ten agresywny kolor wyostrzył też jej, dotychczas łagodne, rysy twarzy. Możecie wierzyć lub nie, wyglądała całkowicie inaczej. Zatkąło mnie, ale ponieważ wyglądała na zadowoloną, ja również udawałem zachwyconego. Nie wiem dlaczego, ale nie podobała mi się jej metamorfoza. Tak jak nie podobało mi się już w miechowskim lesie i nie podobały mi się ani Róża, ani siostra Łucja czy te dwie dziwne bliźniaczki, Cecylia i Celestyna. Ostatnio nic mi się nie podobało i żyłem w sporym napięciu.

Rano Paulina poczuła się źle. Na tyle źle, że zadzwoniłem do pracy i wziąłem dzień wolnego. Moja żona przez cały dzień nie opuściła sypialni. Spała płytkim, nerwowym snem. Jej skóra zbladła i pokryła się potem. Skarżyła się na potworny ból głowy. Zaczynałem się bać, że to może mieć coś wspólnego z tymi cholernymi włosami. Nie miałem pojęcia, jak taki zabieg wygląda, ale to chyba nie operacja, którą można schrzanić? Z tego, co pamiętałem, polegało to na doklejeniu włosów. Nic więcej. Kiedy w południe odwiedziła nas Róża, powiedziałem jej, że Paulina źle się czuje i rozważam zabranie jej do lekarza. Poszła do niej i wróciła po kilku minutach. Powiedziała, żebym nie panikował i obiecała wrócić za kilkanaście minut z posiłkami.

Jak obiecała, tak zrobiła. Zjawiała się w obecności dwóch bliźniaczek. „Pewnie jeszcze nic nie jadłeś”, zatroskała się Celestyna, wręczając mi obiad. Schabowy, ziemniaki i kapusta. Miały również coś dla Pauliny, ale mi nie pokazały. Kazały mi zjeść spokojnie, póki ciepłe, i niczym się nie martwić. Zniknęły w naszej sypialni na całe dwie godziny. Wychodząc powiedziały, żebym się nie martwił, że wszystko będzie dobrze. Pozostał po nich tylko ten cierpki, dziwny zapach, który zdawał się unosić w całym domu. Pogoda była paskudna i dwie szklaneczki whisky pomogły mi i tamtej nocy zasnąć błyskawicznie. Nawet jeśli w naszym domu działo się coś dziwnego, nic o tym nie wiem. I tak miało być. Po to piłem.

Ponieważ rano Paula czuła się już lepiej, pojechałem do pracy. Z jednej strony możliwość wyrwania się z miechowskiego lasu była ożywcza. Mogłem uświadomić sobie, że wokół toczy się życie i każdy ma swoje problemy. Z drugiej strony nie potrafiłem się skupić na pracy. Po tym, co przeżyłem w domu Arletty, moje obowiązki zdawały mi się żalosne i nieistotne. Pewnie tak czują się żołnierze, którzy zbyt długo walczyli na jakiejś wojnie i później okazuje się, że nie potrafią się odnaleźć w normalnym świecie. Spotkanie z Arlettą było dla mnie równie traumatyczne, co pobyt w Iraku dla żołnierzy.

Powrót do domu był koszmarem. Na Wrocławskiej była stłuczka i wszystko stanęło. Ołowiane niebo zdawało się zawisnąć nisko nad miastem. Wiatr może nie był aż tak porywisty, ale niósł ze sobą arktyczny chłód, a śnieg zdawał się być kwestią czasu. W domu powitała mnie cisza. To jeszcze nie było niczym nowym. Ale kiedy nie zastałem Pauliny na parterze i pobiegłem na piętro, gdzie również jej nie znalazłem, poczułem ukłucie niepokoju. To głupie, przecież mogła pójść do Róży czy antykwariusza, ale byłem już kłębkim nerwów i byle co wyprowadzało mnie z równowagi.

Rozejrzałem się po domu pełnym cieni i półmroku. Mimowolnie pomyślałem wtedy, że w tym domu pewnie nigdy nie zagościło światło w pełni i nagle zapragnąłem takiego światła. Takiego, które rozgoniłoby cienie w trzy dupy. Wreszcie przypomniałem sobie, że szukam Pauliny. Chyba byłem w większej rozsypce niż sądziłem. Nagle zauważyłem, że drzwi do piwnicy są uchylone. Tak sobie dzisiaj myślę, że każdy z nas ma szósty zmysł. Może objawia się on tylko w sprzyjających okolicznościach. Mój szósty zmysł objawił się właśnie wtedy i mówił mi wyraźnie, żebym tam nie schodził. Chwilę ze sobą walczyłem, aż w końcu postanowiłem sprawdzić piwnicę. Czułem, jak miękną mi kolana. Chciałem zawołać Paulinę, ale głos uwiązł mi w gardle. Moje ciało zaczynało odmawiać mi posłuszeństwa. Kiedy zszedłem na dół, dyszałem jak oszalały. Na samym dole dostrzegłem pomieszczenie oświetlone jedynie gołą żarówką, która dawała mizerne światło. Zatrzymałem się i znieruchomiałem. Na podłodze spoczywał człowiek, od razu rozpoznałem menela z lasu. Jego znoszona pałatka leżała rzucona w kąt piwnicy. Koleś był martwy, a jego głowa – przekręcona w taki sposób, że wyglądało, jakby patrzył na mnie z wyrzutem. Jakby chciał powiedzieć, „*Popatrz, co ta chora suka mi zrobiła, twoja żona*”. Spojrzałem. Jego klatka piersiowa była rozplątana, otwarta szeroko, aż widać było kości żeber sterczące z czerwonych płatów mięsa. Wyglądało na to, że Paulina wypatroszyła go jak pierdolonego karpia na święta. Z jego wnętrzości wciąż jeszcze ulatywało ciepło. Poczułem ten paskudny zapach.

Paulina klęczała przed nieboszczykiem z głową pochyloną w miejscu, gdzie kiedyś łączyła się klatka piersiowa menela. Świat zawirował mi przed oczami. Nawet nie zwróciła na mnie uwagi. Była tak pochłonięta, cokolwiek robiła, że przez chwilę słychać było tylko obrzydliwe ciamkanie. Jeszcze mi się robi niedobrze na wspomnienie tego dźwięku. Nagle musiała sobie zdać sprawę z mojej obecności, choć nie poruszyłem się nawet o milimetr. Choćbym chciał, to nie mogłem.

Byłem w szoku. Spojrzała na mnie. Jej oczy były szare. Jakim cudem? Twarz, włosy i bluzka, wszystko miała uwalone krwią zmieszaną z jakimiś wybroczynami. Wciąż słychać było mlaskanie. Coś chęptało nieprzyzwoicie. Wtedy mnie zemdlilo. „Coś ty zrobiła, na litość boską”, wycharczałem wreszcie. Nie mogłem rozpoznać własnego głosu. Patrzyła na mnie zupełnie obca kobieta. W tych szarych oczach dostrzegłem szaleństwo i chaos. „To nic”, odezwała się spokojnym, niewinnym głosem, ale jej głosu też nie rozpoznałem. Brzmiał obco. „To tylko żul. Nic się nie stało”. Czuję, jak żołądek kurczy mi się boleśnie i podchodzi do gardła.

Nagle zauważyłem coś i mało mi oczy nie wyszły na wierzch. Pomyślałem, że zemdlałem a teraz mam jakieś koszmarnie majaki. Niestety, tak nie było. Stałem tam jak najbardziej świadomy i zorientowałem się, że jej włosy poruszyły się. Zaczęły falować w powietrzu jak rozjuszony węzeł. Obląłem się zimnym potem. „Twoje włosy”, chciałem to wykrzyknąć, ale zabrzmiało słabo. Wyciągnąłem oskarżycielskim gestem palec w jej stronę. „Co z nimi?”, zapytała niewinnie, jakbym ją przyłapał na podbieraniu konfitur w piwnicy. „Jak to, kurwa, co?”, moje gardło nieco się rozluźniło, więc zabrzmiałem bardziej zdecydowanie. Bardziej desperacko. „Twoje włosy, one... one piją krew”, kiedy już powiedziałem to na głos, odzyskałem siłę w gardle, więc powtórzyłem dobitniej: „Twoje pierdolone włosy piją krew!”. Nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się. Jej uśmiech zmroził mi krew w żyłach. Żołądek podszedł za blisko gardła i zwymiotowałem. Przez kilka sekund miałem wrażenie, że się nim udławiam. „Lubię, kiedy jesteś wulgarny”, powiedziała. „To mnie podnieca”.

Musiałem się podeprzeć rękoma, żeby nie upaść. Z trudem opróżniłem żołądek. Nie mogłem pozbyć się resztek z ust, ale nie zwracałem na to uwagi. Spojrzałem na nią i przez upiorną chwilę mierzyliśmy się wzrokiem w absolutnej ciszy. Wyglądała mrocznie, złowrogo i obco. Przetarła usta, rozmazując tylko krew na swojej twarzy. Jej bluzka była nasączona czerwoną posoką do tego stopnia, że widać było jej sterczące sutki. To nie mogła być Paulina. Przypominała dzikie zwierzę. Nie, bardziej chorą, wynaturzoną sukę, która nie mogła być moją żoną. „Czym ty jesteś?”, zapytałem przerażony, jednocześnie modląc się w duchu, żeby nie odpowiadała. Nigdy nie zapomnę tamtego widoku. Nawet nie potrafię powiedzieć, skąd to wiedziałem, ale po prostu czułem, że jest silnie podniecona. To wręcz od niej biło. Wreszcie na jej twarzy pojawił się sprośny, wyuzdany uśmiech. Wtedy zebrałem się w sobie i uciekłem. Ukryłem się w łazience na piętrze. To było jedyne miejsce, w którym znajdował się klucz w drzwiach i można było się zamknąć.

Usiadłem na podłodze, opierając się o ścianę. Nie zaprzątałem sobie głowy włączaniem światła, więc ledwie widziałem zarysy mebli i wyposażenia. Wszystko zdawało się rozplływać się w szarości wieczoru. Nerwowym ruchem drżącej dłoni sięgnąłem po komórkę. Wybrałem sto dwanaście i przyłożyłem telefon do ucha. Miałem problem z opanowaniem oddechu. Po kilku sygnałach usłyszałem, jak ktoś podnosi słuchawkę. „Sto dwanaście, numer alarmowy. Słucham?”, usłyszałem nieco zaspiany kobiecy głos. „Chciałem zgłosić zabójstwo”, wyrzuciłem z siebie jednym

tchem. „Zabójstwo czy morderstwo?“, zapytała kobieta po drugiej stronie. „A jakie to ma, kurwa, znaczenie?“, wybuchnąłem zaskoczony i rozdrażniony. „No już, nie ma się co ciskać“, głos telefonistki złagodniał. „Proszę powiedzieć, co się stało, żeby wiedziała, z jakimi służbami pana połączyć“. „Moja żona“, wysapałem. „Ona zwariowała. Zabiła człowieka“. Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. Myślałem nawet, że połączenie zostało zerwane. „To poważne oskarżenie“, odezwała się w końcu kobieta, „Czy wie pan, jakie są konsekwencje za składanie fałszywych zeznań?“. Nie, to nie mogło się dziać naprawdę. „Słucham?!“. „Proszę się uspokoić, panie Adamie“. Kiedy usłyszałem swoje imię, poczułem się, jakbym dostał w twarz. Nie mogłem nic powiedzieć. Po prostu mnie przytknęło. Po krótkiej chwili kontynuowała. „W końcu to był zwykły menel. Swoje już przeżył. Założę się, że nawet nie ma tego za złe pańskiej żonie“.

Mój cały świat runął, rozpadł się na kawałki, a ja trafiłem do piekła. Chciałem rzucić telefonem o podłogę, ale nie mogłem. Byłem jak sparaliżowany. Zerknąłem tylko na wyświetlacz. Byłem połączony z numerem alarmowym. Nagle usłyszałem głos telefonistki. Jeśli to była w ogóle jakaś pierdolona telefonistka. „Zresztą nie oszukujmy się, gdybyśmy wysyłali swoich ludzi za każdym razem, kiedy jakiś kutas kopnie w kalendarz, to nie starczyłoby nam sił i środków, chyba się pan ze mną zgodzi?“. „O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz?“. Jeszcze nigdy nie czułem się tak bezradny i zagubiony. „Mówię o tym, że twoja Paulinka jest tutaj z nami“, głos kobiety zmienił się. Stał się poufały i agresywny. „Ale chyba nie będziesz po niej płakał? Przecież ona zawsze odmawiała ci tej słodkiej przyjemności, kiedy chciałeś się z nią pieprzyć, prawda? Nie potrafiła, a może nie chciała dać ci rozkoszy? A przecież gdyby Bóg nie chciał, żeby mężczyźni doznawali rozkoszy, to kobiety nie rodziłyby się z cipkami między nogami, prawda?“. Rozpłakałem się. Tak po prostu. Nie byłem już w stanie wykrztusić słowa. Coś ścisnęło mnie za gardło. Mogłem tylko słuchać i pograżać się w tym szaleństwie. „Nie martw się. Arletta wypieprzy cię tak, że długo nie dojdiesz do siebie. Jesteś tego warty“, zakpiła złośliwie. Było w jej głosie dużo jadu i pogardy, ale nagle ton jej głosu zmienił się i stał się bardziej formalny. „Aha, i jeszcze jedno. Następnym razem prosimy korzystać z naszej darmowej infolinii, która jest dostępna pod numerem 666“. Z krzykiem rzuciłem telefonem o przeciwległą ścianę. Słyszałem, jak rozpadł się na kawałki.

Ocknąłem się cały obolały i zdrętwiały. Musiałem zasnąć w kurewsko niewygodnej pozycji. W jednej sekundzie wszystko wróciło. Róża, bliźniaczki, włosy Pauliny i całe to gówno. Po omacku dotarłem do drzwi i chwilę nasłuchiwałem. Wreszcie odważyłem się przekręcić klucz. Wychyliłem głowę ostrożnie i powoli. Nigdzie jej nie widziałem. Zszedłem do salonu. W domu było cicho i spokojnie. Nie wiedziałem, gdzie ona poszła. Może raczyła się tym menelem w piwnicy? Równie dobrze mogła odlecieć na mopie. Musiałem się napić. Wtedy nagle przypomniałem sobie, że dzień wcześniej kupiłem papierosy. Nigdy nie paliłem, ale to był najlepszy moment, żeby zacząć. Złapałem butelkę i uznałem, że szkoda czasu na szukanie szklanki. Wziąłem łyk i zapaliłem, zaciągając się głęboko. Chciało mi się jednocześnie śmiać i płakać.

Kiedy się odezwała, aż podskoczyłem w fotelu. Stała gdzieś pod ścianą, ukryta w gęstym mroku. Pytała, czy się już uspokoiłem. Zrobiła kilka kroków naprzód. Wyglądało to tak, jakby się zmaterializowała tuż obok mnie. Przeszedł mnie dreszcz. Jej włosy wyglądały już normalnie. Długie, czarne kudły, lśniące w blasku ognia buzującego w kominku. Kiedy na nią tak patrzyłem, nagle poczułem się zmęczony. Potwornie zmęczony i bezradny. „Tutaj dzieje się coś złego”, odezwałem się słabym głosem, po czym wziąłem łyk whisky. „Z tobą dzieje się coś złego”, poprawiłem się. Westchnęła, a ja przez chwilę wystraszyłem się, że niepotrzebnie ją rozdrażniłem. „Musisz mi uwierzyć, wszystko jest w porządku. Gdybyś tylko mógł na wszystko spojrzeć moimi oczami, byłbyś oczarowany”. Zerknąłem w jej szare, chore ślepia i znów poczułem skurcz żołądka. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałem, było widzieć cokolwiek jej oczami. „Zostawię cię tutaj samego. Prześpij się z tym, a rano wrócimy do tematu”, powiedziała i odeszła w stronę przedpokoju, gdzie zatrzymała się nagle, „Pamiętaj, że to cały czas ja. Twoja Paulinka”. I tyle. Poszła do sypialni. Kazala mi się przespać z problemem. Cóż. Wziąłem kolejny łyk i zaciągnąłem się mocno papierosem.

Obudziłem się około dziewiątej rano. Szarość poranka wlewała się do domu, sącząc się jak trucizna. Dorzuciłem do kominka, który niemal zdążył zgasnąć. Czułem się paskudnie. Miałem w głowie mętlik i kaca. Miałem też serdecznie dość. Paulina spała. Nie wiedziałem tego na pewno, ale od dwóch dni sypiała do późna. Na myśl o śniadaniu zemdliło mnie. Wszedłem do gabinetu. Sam nie wiem dlaczego. Może dlatego, że był pod ręką, a czułem potrzebę, żeby zrobić cokolwiek. Postanowiłem zerknąć na książki, które zostawiła po sobie Arletta. Kiedy spostrzegłem, że wszystkie książki wiążą się z okultyzmem, wybuchnąłem pustym śmiechem. Chyba każdy ma swoją sumę strachu, po przeżyciu której wpada w apatię i zubożenie. Ja tak miałem. Arlette kręcił okultyzm, wielkie mi coś. Mogłem się tego domyślić. Ostatecznie ilu zmarłych napastuje seksualnie żywych albo wykorzystuje lustro do komunikowania się? Róża i cała reszta to pewnie jej uczennice albo coś w tym rodzaju. Wpakowaliśmy się w sam środek pierdolonej sekty, która co gorsza próbuje ściągnąć z zaświatów swoją duchową przewodniczkę, czy jak oni to tam nazywają. Kręciłem głową ze zrozumieniem, jakby nie było w tym wszystkim nic niezwykłego. Wtedy zauważyłem nożyce. Duże i lśniące.

Usiadłem w salonie z nożycami w dłoni. Wziąłem łyk whisky i ze smutkiem stwierdziłem, że już się skończyła. Zapaliłem, rozkoszując się dymem. Nagle te drobne czynności sprawiły mi mnóstwo przyjemności. Nożyce ciachały powietrze ze świstem. Były ostre i duże. Wtedy zrozumiałem, co muszę zrobić. Podniosłem się ciężko i ruszyłem na piętro. Uchyliłem drzwi i zerknąłem ostrożnie. Tak jak przypuszczałem. Paulina spała jeszcze. Zacisnąłem palce na nożycach, aż poczułem chłodny dotyk metalu. *No to suki*, pomyślałem, żeby dodać sobie animuszu, *zobaczmy, czyje będzie na wierzchu*.

Przez moment zawahałem się. Chyba jednak jeszcze nie osiągnąłem sumy wszystkich strachów, bo zmroziło mnie i ręka mi zadrżała. W końcu wziąłem się w garść. Złapałem ją za włosy, zbierając je w jeden kok, i zacząłem ciąć. Paulina przebudziła się. Zaczęła się szarpać i wrywać, ale przygniotłem ją kolanem. Ciąłem nerwowo tuż przy samej głowie. Musiałem ją zranić, bo zobaczyłem nieco krwi na poduszce. *Pieprzyć to*, pomyślałem w panice. Zaciskałem zęby szarpiąc się z tymi piekielnymi kudłami, a Paulina wrzeszczała coś niezrozumiale. Im bardziej opornie mi szło, tym większa panika mnie ogarniała. Wreszcie włosy zostały odcięte. Paulina wygięła się w łuk, zeszywniała i po chwili opadła na łóżko. *Chryste, chyba jej nie zabiłem?*, pomyślałem przerażony. *A co jeśli te pieprzone włosy wrosły w jej mózg? Skąd, kurwa, miałem wiedzieć, jak to działa? Czy ktoś w ogóle wie takie rzeczy?* I nagle włosy, które trzymałem, poruszyły się.

Jakbym trzymał w dłoni garść węgorki. Wiły się nerwowo, aż w końcu oplotły się wokół mojej dłoni jak trujący bluszcz. Zaczęły pełznąć w stronę mojego przedramienia, a ja stałem jak słup soli, nie wierząc w to, co widzę. Kiedy kilka z nich zaczęło dobierać się do moich żył jak pijawki, rzuciłem się do biegu. Omal nie potknąłem się na schodach. Pewnie skręciłbym kark. Włosy zacisnęły się na mojej ręce jak stalowa obręcz. Aż wrzasnąłem z bólu. Żyłki wyszły mi na wierzch, a one zaczęły chłeptać. To było straszne i obrzydliwe. Dopadłem do kominka i włożyłem rękę w ogień. Nie zastanawiałem się nawet przez sekundę. Wtedy w salonie rozległ się przeraźliwy pisk. To włosy tak wrzeszczały, kiedy zaczęły skwierczeć w ogniu. Po chwili krzyczałem również ja sam. Z bólu. Ze strachu. Ze wszystkiego naraz. Na mojej skórze pojawiły się pęcherze. Włosy miały się we wszystkie strony. Rozsadzało mi mózg z bólu. Już myślałem, że pęknie mi głowa i stracę przytomność, choć niekoniecznie w tej samej kolejności, i nagle włosy oklapły. Wrzuciłem je w ogień. Płonęły, roznosząc wokół paskudny smród. Upadłem na plecy. Oparzelina na ręce bolała jak cholera.

Sprawa się na tym nie zakończyła. Włosy w jakiś diabelski sposób zdawały się przejmować kontrolę nad ogniem. Płomienie zaczęły lizać górną część kominka i po chwili były już na ścianie. Ani się obejrzałem, jak pożoga rozlała się w górę, a tam na całym suficie. Przyglądałem się temu, oszołomiony zarówno bólem, jak niecodziennym widokiem. Szczeka mi opadła, kiedy na suficie płomienie zaczęły się formować w jakiś kształt. Po chwili patrzyła na mnie piekielna twarz Arletty, utkana purpurowym ogniem. Była pełna nienawiści i furii. Patrzyłem na to z jakąś dziwną, chorą fascynacją. Wiem, że to była ona i to mocno wkurwiona. Nagle w moją stronę wychynęła płomienna ręka, którą chciała mnie złapać. Z jej otwartego pyska wydobył się paskudny pisk. Taki sam, jaki wcześniej wydobywał się z włosów tylko sto razy głośniejszy. Zatrzęsły się od tego ściany, a wszystkie okna rozleciały się w drobny mak. Tego było za wiele. Wypelzłem z salonu i pobiegłem na górę po Paulinę.

Wciąż leżała nieruchomo na łóżku. Złapałem ją bez ceregieli i zbiegłem na dół. Przy drzwiach wyjściowych zatrzymałem się na chwilę. Wejście do salonu przesłonięte było ogromną ścianą ognia, która wciąż miała formę paskudnej gęby Arletty. Wybiegłem na zewnątrz. Było cholernie zimno. Niemal ją wrzuciłem na tylną kanapę i wskoczyłem za kierownicę. Kluczyki były w stacyjce. Jestem pewien, że gdyby nie strach i szok, jaki tam przeżyłem, nie dałbym rady z poparzoną ręką. Tymczasem dodałem gazu i ruszyłem. Dostrzegłem, że Róża wychodzi ze swojego domu. Podobnie jak Cecylia i Celestyna. Nagle siostra Łucja wyskoczyła mi przed maskę. „Pierdol się”, krzyknąłem w furii i dodałem gazu. Grubaska przetoczyła się po samochodzie, nieźle demolując karoserię. Gruba świnia. Z niedowierzaniem dostrzegłem, że błyskawicznie podniosła się na nogi. Reszta kobiet dołączyła do niej. Nic, tylko stały i patrzyły, jak odjeżdżam. To wystraszyło mnie jeszcze bardziej. Poczulem się niepewnie.

Byłem już na dziewięćdziesiątce czwórce, kiedy usłyszałem, że Paulina zaczyna się dławić. Zatrzymałem się zbyt gwałtownie. Wskoczyłem z samochodu i przeszedłem na tył. Była cała sina. Oczy niemal wyszły jej z orbit. W akcie desperacji włożyłem jej w usta dwa palce. Coś tam namacałem. Złapałem to i wyszarpałem z jej gardła. *Mój Boże*. To był ogromny kłębek czarnych, zaślinionych włosów. Odrzuciłem go ze wstrętem. Najważniejsze, że Paulina zaczęła oddychać. Wreszcie spadł śnieg. Nie pozostało mi nic innego, jak zawieźć ją do szpitala. Wygrzebałem z kieszeni papierosa i zapaliłem. *Wolę, żeby wykończył mnie rak niż pierdolone demony*.

rys. Paweł Chmielnicki



PIWNICA

Mariusz Wojteczek

Mróz chwytał za gardło. Z każdym oddechem pchał się do ust lodowatą mgłą, wyciskającą z oczu łzy i sprawiającą, że świat nikał przesłonięty milionem błyszczących kryształków.

Cel moich obserwacji znajdował się kilkaset metrów od domu, na małej, porośniętej karłowatymi krzakami wysepce, tak szczelnie otulony białą kołdrą śniegu, że nawet ja, wiedząc dokładnie, gdzie się znajduje, nie byłem zdolny go wypatrzeć. Stałem na tarasie na piętrze, skąd rozciągał się widok na całą okolicę, od lasu na wschodzie, mającego poszarpaną, ciemną linię, aż po mglisty zarys wioski, leżącej na zachodzie, oznaczony przez cienkie, szare smużki dymu z kominów. Mimo tego, że nie mogłem dostrzec przed sobą nic poza białymi hałdami, przesypanywanymi leniwie przez urywane powiewy mroźnego wiatru, to jednak patrzyłem. Stałem tam, na tarasie, niejednokrotnie przez kilka godzin, oparty o oszronioną, drewnianą barierkę,

ściskając w zziębniętych dłoniach kubek grzanego rumu i mrużąc oczy, wyteżalem wzrok, lustrując uważnie szarawy zarys brzegu wyspy.

Nie było tam nic, co mógłbym zobaczyć. No, od czasu do czasu dostrzegałem szarą plamkę zająca, który złośliwie i bezustannie omijał zastawiane przeze mnie sidła, ale nic poza tym. Nic poza bielą, lśniąca w promieniach słońca albo szarzącą w nadchodzącym już wczesnym popołudniem mroku.

Jednak zawsze wiedziałem, że tam jest, że trwa, bezustannie, jak czyrak na obliczu Ziemi, jak pryszcz, którego nijak nie da się usunąć. Poszarzały, zbutwiały – ale tylko z zewnątrz, pozornie – upstrzony drobnymi plamkami śniegu prostokąt drzwi piwnicznych, z przybitym zagiętymi gwoździami, przerdzewiałym zamkiem.

Czekałem.

Wiedziałem, że to musi nastąpić już niedługo. Już za kilka dni, może za tydzień, ale nie dłużej. Czas czekania się kończył, czas niecierpliwego, nerwowego stanu oczekiwania, czy nie wydarzy się nic niespodziewanego, czy chociaż przez ten krótki okres będzie spokój. Jeśli spokojem można nazwać ten ciągły lęk, ciągle czuwanie.

Ale nie powinienem narzekać. Mam zadanie i muszę je wykonać. Tylko tyle. I zawsze muszę o tym pamiętać. O tej jednej rzeczy. Że nie mam wyboru.

Szklanka zadrzała. Potem jeszcze raz, jakby na potwierdzenie, że nie było to złudzenie. Płyn zakołysał się delikatnie, marszcząc powierzchnię rozchodzącymi się do zewnątrz kółkami.

Zadrzała ponownie, przesuając się nieco bliżej krawędzi kuchennego stołu; otworzyły się ze skrzypnięciem drzwiczki szafki. Nie trzymał w nich magnes; powinienem to w końcu naprawić...

Przesunąłem naczynie na środek blatu; w tym momencie pod domem przetoczyło się kolejne drzenie. Tym razem poczułem je bardziej, odrobina wody wychlapała się mi na dłoń. Temu z drgań towarzyszył przeciągły, głuchy odgłos jakby grzmotu. Tak jakby zbierało się na burzę.

To już, pomyślałem. Dziś w nocy muszę pojechać do miasteczka. Już nie mogę więcej czekać, nie ma już na to czasu.

Dziś muszę zrobić to po raz kolejny...

Podniosłem się z krzesła, by zamknąć otwarte drzwiczki. Towarzyszyło temu ciche stuknięcie, które uświadomiło mi ciszę, jaka panowała w domu. Jak w kostnicy, gdzie skromna, pojedyncza osoba koronera nie czyni nawet marnych pozorów życia. W moim domu było podobnie. Tylko ja i towarzysząca mi głucha, martwa cisza. Nic poza tym.

Wzruszyłem ramionami. Skoro nic nie możesz z tym zrobić, to zaakceptuj to, powiedział mi kiedyś ojciec. Posłuchałem wtedy jego rady, tak samo, jak teraz zawsze jej słucham. Z tą różnicą, że on już nie żyje, a ja muszę ją sobie sam powtarzać. Ale to też pomaga.

Przeszedłem na drugą stronę rzeki. Miałem szczęście, tym razem śnieg nie padał, a kilkunastostopniowe mrozy z ostatnich paru dni oszczędziły mi mozolnego sprawdzania metalową tyczką, czy kryjąca się pod śniegiem warstwa lodu jest zdolna utrzymać moje wysuszone, starcze ciało. No, może nie tyle wysuszone, co bardziej żylaste, ale jednak nie należałem do najcięższych. Tyle że lód potrafi się załamać i pod byle zajacem, jeśli nie jest wystarczająco gruby, a od mojego starego żywota zbyt wiele zależało, bym przez własną głupotę i nieostrożność miał je stracić. Co będzie po mojej śmierci? O tym nie chciałem myśleć.

Podszedłem do szopy, mozolnie torując sobie przejście przez głęboki do kolan, zmrożony śnieg. Cały dzień sypało, dopiero pod wieczór wiatr rozgonił chmury. Ale złapał mróz.

Gdybym nie wiedział, że tam jest, pewnie bym jej nie znalazł. Ale fakt, że codziennie rano i wieczorem odbywałem do jej wrót tę samą mozolną pielgrzymkę sprawił, że trafiłbym do niej, nawet jeśli bym nagle oślepl. Na co się na szczęście nie zanosilo; wzrok miałem tak dobry jak za młodu.

Sprawdziłem nową, stalową kłódkę. Mimo rdzy pokrywającej zamek i starych, z pozoru całkiem już zbutwiałych desek drzwi, zawsze dbałem o to, by kłódka była nowa, bez śladu korozji czy zużycia. Dwa razy dziennie sprawdzałem, czy nie ma jakichś uszkodzeń, czy ktoś przy niej nie majstrował, a raz na dwa miesiące zakładałem nową. W zimie bywało, że i częściej, bo jednak śnieg i mróz szybciej im szkodził niż prażące, lipcowe słońce.

Wiem, że zastanawia was, po cholere taką nowiuteńką kłódkę do drzwi, które można by otworzyć byle kopniakiem. Nic bardziej mylnego. Dopóki kłódka cała, tych drzwi nie staranowałby nikt nawet czołgiem, choćby nie wiem co. Zwłaszcza od wewnątrz, a to przede wszystkim się dla mnie liczyło.

Tak musiało być, taki rytuał musiał się odbywać dzień po dniu, tydzień po tygodniu. I los sprawił, że rytuał ten, ten quasi-religijny obrządek, z nabożną wręcz czcią odprawiany przeze mnie, stał się nieodzowną częścią mojego życia i takim miał pozostać do moich ostatnich dni. A co będzie dalej? Tego nie wiem. Nie chcę myśleć o tym, co stanie się po mojej śmierci. Nie chcę myśleć, ile czasu przetrwa kłódka, ile wytrzyma deszczy, mrozów i drapieżnych, złodziejskich rąk, które rozkradłszy już wszystko w moim domu, zechcą wydrzeć i tej piwniczce jej tajemnice. I wyrwą jej

mroczny sekret, który w sobie kryje.

Ale jeszcze jedna rzecz była nieodzownie moim udziałem, jedną jeszcze rzecz musiałem co jakiś czas powtarzać, mimo niesprzyjającej pogody, mimo choroby czy zmęczenia, musiałem wypełniać swój obowiązek, tak jak wypełniał przede mną mój ojciec. A przed nim jego ojciec i tak dalej, wstecz, do czasów, których już nikt nie pamięta? Tego nie wiem. Podania, stare legendy, opowieści wiele nie mówią o tym, jak to wszystko się zaczęło, a tylko o tym, co musi się dziać. I tak, jak mój ojciec swoimi dłońmi założył pierwszy raz – w miejsce starego, rdzewiejącego skobla – kłódkę na te piwniczne drzwiczki, tak ja kontynuuję tradycję. Ale to nie jest teraz ważne. Czekam na pracę.

Do wsi nie było daleko. Obok mojego domu przebiegała szosa, wyasfaltowana, równa i wygodna do jazdy nawet zimą, bo zawsze pamiętali, by ją odśnieżyć. Wiodła przez wioskę, dalej, do granicy, i często przejeżdżali tędy turyści – amatorzy narciarstwa na pobliskim wyciągu, więc pewnie dlatego tak o nią dbali.

Zatrzymałem się kilkaset metrów od pierwszych zabudowań, nieopodal starych, popegeerowskich ruin, o których co roku krążyły plotki, że już ktoś miał je kupić i zaadaptować. Ale nic takiego się nie działo. Ruiny pozostawały jak zawsze puste, wpatrując się w mrok nocy pustymi oczodołami okien, z ustami drzwi otwartymi wciąż w niemym krzyku. Jedyni milczący świadkowie tego, co robiłem. Tego, co musiałem zrobić.

Zawsze ktoś się znalazł. A to podpity robotnik wracał z nocnej zmiany w fabryce w miasteczku i szedł na skrót do sąsiedniej miejscowości, a to jakaś młoda latawica wlokła się nad ranem z dyskoteki albo chłopak z kawalerki. Zwykle obcy, spoza wioski. Podróżni, którzy tylko ją mijali, zmierzając do domu. Letnicy na wczasach. Zimą narciarze. Ale obcy. Swoich nie ruszałem raczej, bo jak to tak, swoich. Oni też ostrożniejsi byli, znali podania, znali legendy. I nocą się nie włóczyli, zostawali w domach, zwłaszcza w tych okresach, kiedy drgania się wzmagaly, co było znakiem. Ale zawsze ktoś się znalazł. Sam, nocą, na drodze. Są tysiące powodów, przez które ludzie chodzą nocami po pustej szosie. Ale dla mnie nie liczyły się powody, tylko to, że chodzili. Jedno z nich co jakiś czas nie mogło dotrzeć do celu. A raczej docierało do celu ważniejszego niż mogło im się pomieścić w głowach.

Czekałem. Ręce mi skostniały, mimo grubych, skórzanych rękawiczek i musiałem systematycznie poruszać palcami, by wymusić krążenie i odzyskać w nich czucie. Twarz owinałem ciepłym szalikiem, tak że spod kaptura widać było tylko oczy, łzawiące od bezustannych

powiewów mroźnego wiatru, wkradającego się nawet pod skórzaną kurtkę, zeszywniałą od mrozu i twardą przez to jak blacha. Czekałem. Minuty upływały, jedna po drugiej, cierpliwie, z jakąś taką nieuchronnością, jak krople wody kapiące z niedokręconego kranu. Kap, kap, kap... minuta za minutą... Czekałem.

Było coraz zimniej, ogarniało mnie zmęczenie, oślepiające umysł, tak jak ciało oślepiane było przez mróz, więc by z nim walczyć, wyjąłem spod kurtki starą, poobijaną piersiówkę i pociągnąłem tęgi łyk. Zapieкло w krtani, kiedy strumień bimbru pociekł do gardła, wzbudzając krew i niosąc ze sobą falę wspomnień. Piersiówka była pamiątką po ojcu. Być może i on, kiedyś, dawno temu stał przy podobnej szosie i czekał, otulony kołdrą nocy, zziębnięty, odrętwiały zmęczeniem, ale twardy, niewzruszony, pewny swojej powinności i odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa.

Ale nigdy nie zabrał mnie ze sobą, przemknęło mi przez myśl. Nigdy mnie nie zabrał, by pokazać mi wszystko, co sam umiał, by przekazać mi wiedzę, jaką posiadał, umiejętności, jakie zdobył. Wszystkiego musiałem uczyć się sam, z trudem dopasowując elementy rzeczywistości do jego opowieści, powtarzanych mi co rano, przy śniadaniu, jak mantrę, jak modlitwę do Anioła Stróża, którą ze mną odmawiał co wieczór. I tak musiało być.

Pojawiła się kilkanaście minut później. Wyłoniła się z ciemności, tupiąc obcasami, stąpając koślawo po śliskiej, czarnej nawierzchni asfaltu i raz po raz odgarniając dłonią w zamszowej, skórzanej rękawiczce niesforny kosmyk blond włosów bezustannie opadający na czoło.

Była młoda, mogła mieć dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata. Szkoda. Ale to, że znalazła się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie nie było moją winą, nie ja byłem za to odpowiedzialny. Nie do mnie należała decyzja. TO było głodne, a ja musiałem je nakarmić i nie było wyboru! A ona? *Poświęci się, w imię dobra innych. Tak chciał los, więc nam nic do tego. Jesteśmy tylko bezwolnymi narzędziami działania sił o wiele potężniejszych niż my i nie ma żadnej możliwości, by się przeciwstawić. Wszelkie próby oponowania doprowadzą do zguby*, powtarzał ojciec. *Twojej, ale też wszystkim innym, pamiętaj o tym*. Pamiętałem.

Kiedy się do niej zbliżyłem... jakby czas się zatrzymał. Nie, nie zatrzymał, ale zwolnił, nagle, drastycznie, jakby ktoś chwycił wskazówki zegara i trzymał je, szarpiąc w tył i nie pozwalając posunąć się im do przodu. Postąpiłem kilka kroków za nią, czując jej ciało, jej zapach. Była na wyciągnięcie ręki. Sięgnąłem po ukryty pod kurtką młotek i zamachnąłem się. Kiedy moja dłoń opadła, rozległ się cichy trzask, jakby gdzieś w oddali pękał lód na rzece. Krew zachlapała mi kurtkę, pozostawiając brudną, czerwoną szramę, kiedy chwyciłem upadającą dziewczynę pod ramiona. Zapach krwi uderzył mnie w nozdrza, oczy nabiegły łzami. Zagryzłem wargi. Była ciężka, ale nie aż tak, bym nie dał rady. Podniosłem ją, łączywie wdychając lodowate powietrze, ale po kilku chwilach mogłem już iść w miarę równo, krok za krokiem w stronę samochodu. Nie było

daleko. Parę kroków.

Wrzuciłem dziewczynę do bagażnika i otarłem ręce o jej ubranie. Nie potrafiłem myśleć o niej jako o zwłokach. Nie była zwłokami. Jeszcze żyła, choć mogła się wykrwawić w drodze do miejsca swego przeznaczenia. I szczerze mówiąc, życzyłem jej tego. Lepiej dla niej, aby przed samym końcem nie odzyskała świadomości.

Zatrzasnąłem bagażnik i wróciłem po młotek, który leżał na końcu strużki krwi znaczącej pokryty śniegiem asfalt. Upuściłem go, łapiąc dziewczynę.

Był oblepiony szybko tężejącą na mrozie krwią, na końcu przykleiły się strzępki włosów w kolorze blond. Schowałem go pod kurtkę.

Rozejrzałem się jeszcze, czy nie pozostał jakiś ślad, mogący mnie zdradzić, ale sam wiedziałem, że nie ma tu w wiosce nikogo, kto by go znalazł. I kto w ogóle chciałby szukać. Zbyt dobrze jeszcze tu pamiętano, jak kiedyś uwięzili mojego ojca... teraz woleli milczeć, woleli nie zauważać, woleli nie wiedzieć. Tak było po prostu łatwiej. I bezpieczniej.

Wróciłem do samochodu i przed zapaleniem silnika chwilę nasłuchiwałem, czy dziewczyna w bagażniku daje jakies oznaki życia. Odpowiedziała mi cisza.

Obudziło mnie pukanie. Nie, nie pukanie, to słowo jest zbyt delikatnym określeniem na ten łomot, dochodzący od strony drzwi wejściowych, który brutalnie wyrwał mnie ze snu.

Zwlokłem się powoli z łóżka, czując ból we wszystkich mięśniach, jakbym cały wczorajszy dzień machał łopata. A teraz zima, to i grób jest wykopać niełatwo, zwłaszcza dla starych kości. Tyle że ludziom to obojętne i tak samo umierają, jak i o każdej innej porze roku. A nieraz to i częściej.

Diabli nadali, mruczę sam do siebie. Nieboszczyk i tak poczeka, i tak nigdzie nie pójdzie, więc po cholere mnie z łóżka tak wcześnie wydzierać?

Jednak to nie w sprawie nieboszczyka. Przynajmniej nie bezpośrednio.

Za zaszyroną szybą drzwi wejściowych stoi komendant lokalnego posterunku. Rozpoznaję jego zwalistą sylwetkę i czapkę, kretyńsko zsuwającą się na jedną stronę, i zatrzymującą się na uchu.

Otwieram. W twarz bucha mi zimno, lodowaty podmuch chwyta mnie za gołe kostki i przez moment mam wrażenie, że próbuje powalić na ziemię. Ale to tylko złudzenie. Za to purpurowy na twarzy komendant jest realny. Aż za bardzo realny, zważywszy na jego cuchnący wódą oddech.

– Coś ty, kurwa zrobił? – syczy na mnie spomiędzy zaciśniętych warg, wbijając we mnie

spojrzenie przekrwionych oczu.

Przecieram zaspane powieki i wzruszam ramionami. Ten gest rozwściecza go jeszcze bardziej, bo chwyta mnie za koszulę od pidżamy i rzuca do tyłu, na ścianę. Jego oddech zbliża się do mojej twarzy, przez co dosadniej czuję smród na wpół przetrawionego alkoholu.

– Ty wiesz, coś ty, kurwa, zrobił?! – Teraz już krzyczy. Jego wrzask wibruje w zmrożonym powietrzu i płoszy ptaki ukryte pośród drzew po drugiej stronie rzeki.

Powoli unoszę ręce i zaciskam dłonie na jego – wciąż mnie trzymających – nadgarstkach. Ściskam. Lekko, tylko na tyle, by puścić. Może jestem stary, może w kręgosłupie już strzyka, ale niejeden grób wykopałem tymi rękami, a to wyrabia mięśnie. Dłonie, mimo że porane zmarszczkami, zbyt długo przyzwyczajały się do trzonka łopaty, by nie podolać tłustym przegubom policjanta. W jednej chwili jego wściekłe spojrzenie przeradza się w paroksyzm bólu i... paniki? Czyżbym dostrzegł w nich strach?

– Karmiłem – mówię cicho. – Jak zawsze, od piętnastu lat. Odwalam za was robotę i robię to nie po to, byś tu wpadał i mnie opluwał.

Zwalniam uścisk. Komendant kuli się, przestraszony, jakby nagle uświadomił sobie swój błąd. Dziwnie wyglądamy. On, wielki Pan Władza i ja, zwykły, wioskowy grabarz, stojący nad nim jak sędzia nad swą kajającą się w kurzu i pyle ofiarą. Ale to ja odwalam całą czarną robotę, to ja pilnuję, by to, co powinno pozostać zamknięte, pozostało zamknięte.

– Nie wiesz, kogo wzięłeś... nie wiesz, kogo zabrałeś tym razem... – jęczy komendant, rozmasowując przeguby.

Biorę go pod ramię, po przyjacielsku, po ojcowsku i prowadzę do kuchni, sadzając przy stole. Nastawiam wodę i zasypuję kawę dwa kubki. On patrzy na mnie skupionym wzrokiem, a ja cały czas dostrzegam ten strach, czający się w kącikach jego oczu.

– Będą kłopoty – mówi w końcu. – I ja nic na to nie poradzę. – Kręci z rezygnacją głową. – Teraz nikt już nic nie poradzi.

– Spokojnie. – Wzruszam ramionami i zalewam kawę.

Jej aromat roznosi się po kuchni i pobudza mnie już samym swym zapachem.

– Nie ma sytuacji bez wyjścia. Zawsze pozostają jedne drzwi... – Śmieję się, widząc oczami wyobraźni zmurszałe deski zamknięte lśniąca, nowiutką kłódką. Komendant milczy, wpatrując się w podłogę. Nie zrozumiał żartu?

Chyba nie...

Przyjechali. To było tydzień po wizycie komendanta. Dokładnie siedem dni. Czas i jego miara jest dla mnie ważna, bo wedle cyklu mijających dni musiałem go karmić. I nie było tu odwrotu, nie było możliwości zaniedbania, spóźnienia. Wszystko musiało dziać się w wyznaczonych przez naturę terminach. Tak musiało być. I było.

Nie spodziewałem się, że komendant ma takie znajomości. Ale widać nie na darmo chwalili się siostrzeńcem w tajnych służbach. Coś musiało w tym być, skoro zjawili się ci, na których patrzyłem teraz, ściskając w dłoni szklankę stygnącej herbaty. Byłem zdenerwowany, dłoń pociła się, pozostawiając blade, słone krople na szkle ściskanego zbyt mocno naczynia i drżała lekko – czy to z nerwów, czy była to już pierwsza z oznak nieuniknionej starości?

Szli przez podjazd, zamiatając swymi wełnianymi, mechacącymi się płaszczami świeży, spadły tej nocy śnieg. Niski, korpulentny mężczyzna, którego twarz znałem aż za dobrze z codziennego wydania wiadomości wieczornych. Za nim, gęsiego, krok w krok dreptali potężni jak niedźwiedzie funkcjonariusze BOR-u, z nieodłącznymi dla ich wizerunku ciemnymi okularami i słuchawkami komunikatorów zatkniętymi za ucho. Nie wiem czemu, ale wydali mi się kalecy, z tą całą swą powagą na ociosanych, topornych twarzach, z tymi teatralnymi rekwizytami zupełnie zbędnych o tak wczesnej porze okularów. Jakby niewidomi i przygłusi, chwiejący się lekko na śliskim, zdeptanym na twardą bryłę, zmrożonym śniegu na ścieżce. Pomyślałem, jak są bezradni w obliczu tego, z czym się zetkną, co czeka cierpliwie pośrodku jeziora, na niepozornej hałdzie zmrożonej ziemi. Pomyślałem, jak są bezradni i słabi, w tym swoim zapatrzeniu w sztywne, umięśnione karki, w prężące się pod garniturami mięśnie i chłodną stal pistoletów w kaburach pod marynarkami z Vistuli. Jak swój strach, swoją niepewność dnia codziennego, ale chyba nawet bardziej jutra (czy ono w ogóle dla nich nadejdzie?) chowają skrętnie za ciemnymi szklami okularów nawet przed samymi sobą, tak jak przed tymi, których strzegą i sobą nawzajem...

Upiłem łyk herbaty, nerwowo dłużyć w kieszeni koszuli za papierosem, którego już tam nie było. Rozejrzałem się po kuchni. Tytoń leżał na blacie, pstrząc go drobnymi plamkami brązu, wysypującymi się z rozdartego woreczka. Obok wałało się kilka pomiętych tutek.

Wyglądziłem jedną w palcach i sięgnąłem po maszynkę. Nabawiwszy ją tytoniem – nie za mocno, bo wtedy nie chce się palić – założyłem tutkę i pociągnąłem za suwak. Lekki stuk plastiku o plastik w panującej w domu ciszy zabrzmiał jak szczęk kurka w rewolwerze albo jak trzask iglicy, trafiającej na pustkę zamiast naboju. Przerażający dźwięk, jakby od tego właśnie naboju, którego już nie masz, zależało twoje życie. Wsunąłem papieros między spierzchnięte wargi i zapaliłem, próbując opanować drżenie dłoni. Czym się denerwowałem? Sam nie jestem do końca pewien.

Chyba niepokoił mnie fakt, że o tajemnicy dowie się ktoś spoza wioski, z zewnątrz. Rządowi. Całkowicie nieprzewidywalni, zdolni do wszystkiego, dbający tylko o własne interesy. Czy da się ich przekonać?

Wtedy podjąłem decyzję. Trzeba im pokazać. Pokazać choć odrobinę, choć fragment. To wystarczy.

Popiół spadł mi na palce, a potem na podłogę. Odruchowo poderwałem rękę, czując ciepło, co zaowocowało promienistym uczuciem bólu w ramieniu. Zbyt gwałtowny ruch i już lata dają się we znaki. Co będzie, kiedy mnie zabraknie?

Rozległo się ciężkie łomotanie do drzwi. Rządowi. Tylko oni witają się tak subtelnie.

– Otwierać! – usłyszałem za drzwiami skrzekliwy głos komendanta. Wyraźnie pobrzmiwał w nim strach; słyhać go było w drzeniu głosu, w urywanym oddechu. Komendant nieudolnie próbował zamaskować swój strach złością, ale i tak, nawet przez drzwi czułem fetor jego potu, który stał się jeszcze bardziej natarczywy, kiedy już mężczyźni znaleźli się w środku.

Komendant spojrzał na mnie. Jego spojrzenie chyba miało być srogie, jednak nic z tego nie wyszło, a jego twarz wykrzywił grymas sprawiający wrażenie, że rozboleły go zęby. Wyglądał płaczkliwie i żałośnie, z kroplami potu ciekącymi po czole, spod przerzedzonych włosów, przekraczającymi bezlitośnie czerwoną pręgę na czole, pozostawioną przez nieco za ciasną czapkę, którą zdjął teraz i nerwowo ścisnął w palcach.

– To... – zająknął się, kiedy trącił go ramieniem przechodzący obok niego oficer BOR-u.

Sprawdzali mieszkanie. Fachowo, profesjonalnie zlustrowali przyległe pomieszczenia. Nadal nie zdjęli ciemnych okularów, co sprawiało – przynajmniej w moim odczuciu – komiczne wrażenie.

– To premier Barciszewski – wydukał wreszcie komendant. – On chciał... chciał porozmawiać.

Kiwnąłem głową.

– Porozmawiajmy.

– Wie pan, że bardzo nie podoba mi się fakt, że musiałem tu przyjechać – zaczął ostrożnie polityk. – Mam napięty grafik, cały czas jestem pod obserwacją mediów...

– Przejdźmy do rzeczy. – Wzruszyłem ramionami, odkładając szklankę z niedopitą herbatą na stół. – Co wiecie?

Przez twarz premiera Barciszewskiego przebiegł dreszcz, jakby wstrząsnęło go moje ostentacyjne lekceważenie. Jakby nie przywykł do braku służalczości, do braku tych fałszywych uśmiechów, tego poufałego ściskania ramienia i przymrużenia powiek, kiedy mówi się o sprawach nieprzeznaczonych dla medialnych mikrofonów. Ale ja nie miałem czasu na konwenanse. Nie

miałem czasu na służalcze przekomarzenie się z tym oślizgłym, nadętym grubasem, któremu wydawało się, że coś znaczy. Miałem pokazać. Pierwszy raz, odkąd pamiętam, tajemnica miała zostać ujawniona. I to tym, którzy powinni poznać takie sekrety jako ostatni. Mężowie stanu, pożałujcie Boże! Zastrani dorobkiewiczze, myślący tylko o własnej prywatności!

Odetchnąłem głęboko. Narastała we mnie złość, a złość to marny doradca. Nie pozwala myśleć trzeźwo, nie pozwala dostrzegać szczegółów. A szczegóły są ważne. Byle zachować spokój. Pokazać, skoro musi być pokazane, by uwierzyli.

– Otrzymałem informacje. – Spojrzał wymownie na komendanta, który przełknął głośno ślinę. Widziałem, jak poruszyła się jego grdyka. W górę i w dół, jak tłok. – Otrzymałem informacje, że wiecie coś o mojej siostrzenicy. Że wiecie, co się z nią stało...

– Karmiłem – skinąłem głową, przytakując. Nie oczekiwałem, że zrozumie, nie oczekiwałem, że komendant wyjaśni coś, cokolwiek. Wiedziałem, że to będzie należeć do mnie, że to na mnie spoczywa obowiązek. Tylko że ja nie umiałem pięknie mówić. Wolałem pokazać. Słowom i tak by nie uwierzyli.

– Że co? – Premier patrzy na mnie, odchylając lekko głowę. I ta maniera mówienia do innych w liczbie mnogiej, ten odruch, pozostały mu jeszcze po poprzedniej epoce, długo ćwiczony na rzecz minionej władzy. Teraz to gdzieś umyka, chowa się w głąb. Pozostaje zwykły, prosty język. Premier rozmawia ze zwykłym grabarzem.

– Karmiłem – mówię, kątem oka spostrzegając, jak stojący obok premiera komendant blednie, a jego kłykcie mocniej jeszcze zaciskają się na otoku czapki.

– Długo by tłumaczyć – mówię cichym, spokojnym głosem, jakbym mówił do dziecka. – Ale jej już nie ma. TO zostało nakarmione. Mamy spokój, na jakiś czas. Kiedy minie określony czas, znów trzeba będzie nakarmić. I znów to zrobię. Ja albo ktoś, kto nadejdzie po mnie. Kto mnie zastąpi. Tak było zawsze...

– Słuchaj mnie, ty pierdolony śmieciu! – Premier Barciszewski nagle zmienia się w małego, wkurwionego pokurcza z wydatnym brzuchem. Jego twarz robi się czerwona, a na moje ubranie pryskają kropelki śliny z wykrzywionych w grymasie wściekłości ust. Celuje we mnie swoim tłustym palcem, sycząc: – Słuchaj mnie uważnie! Nie obchodzi mnie, kim jesteś i co ci się roi w tej popierdolonej główce, ale natychmiast... Natychmiast!!! Powiesz mi, co się stało z moją siostrzenicą i kto jest za to odpowiedzialny, albo moi chłopcy zrobią ci z dupy jesień średniowiecza! Zrozumiałeś?

Patrzę na niego spokojnym wzrokiem. Nie odzywam się. On stoi przede mną, dysząc ciężko, choć opuścił już dłoń z wycelowanym we mnie oskarżycielsko palcem. W jego oczach dostrzegam złość, głównie za to, że sprowokowałem go do jego wybuchu, do obnażenia swoich słabości. To nie

przystoi politykowi. Ale polityk też jest człowiekiem. Dotknęło go zniknięcie siostrzenicy. Nie rozumie, że to jest coś, co jest większe od niego, od jego śmiesznego urzędu, od jego chłopców w ciemnych okularach i garniturach Vistuli. I że na straży tego wszystkiego stoję ja – zwykły grabarz.

Patrzę na komendanta i powoli kiwam głową. BOR-owcy nawet nie drgnęli, widać wybuch złości premiera ich nie zaskoczył. Zdarza mu się tak częściej? I ten cytat z kiczowatego filmu. Świadczy o znajomości popkultury, ale nie o wyższej kulturze. Zwykły prostak u władzy. Ale nic, trzeba pokazać.

Tłumaczenie trochę trwało. Komendant mówił, przekonywał, tłumaczył, zapewniał. Ja milczałem. Nie moja sprawa. Ja wiem, co do mnie należy i to robię.

Teraz idziemy przez zmrożony śnieg, który chrzęści pod butami. Ścieżka jest wydeptana, a ostatnio nie padało, więc idzie się w miarę wygodnie. Przynajmniej mnie, bo premier Barciszewski w swoich skórzanych, włoskich pantoflach ślizga się co chwilę na zmrożonych muldach i klnie cicho, podtrzymywany przez komendanta.

Idziemy gęsiego, ja na początku, bo wiem, gdzie idziemy, wiem po co. Ja prowadzę.

Za mną pewnym krokiem idzie jeden z oficerów, rozglądający się czujnie zza szkieł swoich Ray Banów. Tuż za nim drepcze, balansując na krawędzi upadku, zasapany premier naszego państwa, podtrzymywany za łokieć przez spoconego komendanta, który z każdą chwilą robi się bledszy. Zastanawiam się, kiedy zbieje bardziej niż zalegający na okolicznych polach śnieg.

Ostatni z BOR-owców wieńczy nasz dziwaczny kondukt, który stanowi doprawdy groteskową zbieraninę. Korowód szaleńców, wiedzionych na stracenie przez starego, steranego życiem grabarza.

Drzwi naprawdę wyglądają na liche. Lekko oprószone śniegiem, przeżarte przez korniki, tu i ówdzie wyszczerbione deski, poszarzałe od lat wystawienia na deszcz, śnieg, mróz i palące słońce. Sprawiają wrażenie, jakby miały się rozlecieć już pod samym ciężarem żelaznej kłódki, którą są zamknięte.

Wyglądają tak, jakby za nimi rzeczywiście kryła się zwykła, wkopana w ziemię piwnica. Prosta ziemianka, która zawierać może zapasy na zimę, metr ziemniaków, trochę weków, a co najwyżej rozstawioną aparaturę do bimbru.

– No, po coście nas tu przywlekli, he? – Widać premierowi wraca rezon, bo choć jeszcze słyhać wiejski akcent z Małopolski, to już zdążyliśmy wrócić do ukochanej przez poprzednie władze liczby mnogiej.

Nie odpowiadam, ale sięgam pod sweter, pod koszulę, gdzie na cienkim, ale mocnym rzemyku wisi ciężki, metalowy klucz do kłódki.

Komendant cofa się o krok, zagryzając wargi. Jeden z oficerów nerwowo pociąga nosem – chyba ma katar, co wydaje mi się dziwnie komiczne. Czyni poważną skazę na jego twardym, profesjonalnym wizerunku.

Premier łypie na mnie oczkami, trochę nerwowo, trochę złośliwie.

A ja po prostu zdejmuję kłódkę i otwieram piwniczne drzwi.

Zmroziło mnie, mimo że spodziewałem się ujrzeć to, co widzę. Jestem przyzwyczajony, po tylu latach... Przesiąknięty chłodem kosmosu, pradawnej pustki, bezgwiazdnej plamy czerni, na którą tyle już razy otwierały się stare, zniszczone drzwi piwniczne.

Premier blednie, odchyła się do tyłu, łapiąc za serce. Przemyka mi przez myśl, że zaraz dostanie zawału. BOR-owcy łapią z trudem powietrze, a ich wytrzeszczone oczy są widoczne nawet zza szkielek okularów. Nikt się nie porusza, wszyscy stoją, sparaliżowani strachem. Spoglądam w głąb, w kosmiczną pustkę. Kręci mi się w głowie.

Coś tam jest, coś kryje się w głębi ciemności. Coś, pradawnego, coś nienazwanego, coś... złego. Zło wisi w powietrzu. Jest namacalne jak bryła, kształtująca się wokół nas, jak galareta, zagęszczająca powietrze, wysysająca oddech z płuc, ściskająca za serce.

Jeden z oficerów BOR bezwiednie robi krok naprzód. Jeden, potem drugi. Dostrzegam to, chyba jako jedyny, lecz nie reaguję. Wiem, że mniej odpornych TO przyciąga. Wzywa. Wabi.

Odsuwam się, robiąc mu miejsce. Widzę kropelki potu na skroniach komendanta, widzę żyłki w wytrzeszczonych oczach premiera. Czas jakby się dla mnie zatrzymał. Dla nich wszystkich, oprócz BOR-owca, który krok po kroku, powolnie zbliża się do piwnicznego progu. Kiedy na nim staje, kiedy pochyła się, opierając o pozornie zmurszałą framugę drzwi coś, się kotłuje w ciemnej pustce. Jakaś oślizgła macka, jak wielkiej ośmiornicy, wystrzeliwuje z wnętrza piwnicy i chwytą oficera wpół. Nawet nie zdążył krzyknąć, wydaje tylko żalony, charczący skowyt.

Szarpięcie jest szybkie i brutalne. Kręgosłup agenta pęka z suchym trzaskiem, przypominającym puszczenie na rzece lód. Ręka opierająca się o framugę wyłamuje się w stawie barkowym jak zapałka. Na garniturze z Vistuli wykwitła plama krwi.

Ciało – już teraz bezwładne, zostaje wciągnięte w ciemność, w głębię kryjącego się za piwnicznymi drzwiami portalu. I znów nastaje cisza. Czas znów rusza do przodu. Gdzieś w oddali, na polach skrzeczy kruk, jakby był dotychczas milczącym świadkiem śmierci, a teraz oznajmia, że Kostucha przyjęła ofiarę i odeszła.

Mija dłuższa chwila, nim premier spogląda na mnie nieprzytomnym wzrokiem i duka:

– Co... co to, do kurwy nędzy, było?

Wzruszam ramionami. A bo ja to wiem? Zwykły grabarz jestem. Wiem, że pilnować mam tego, co kryje się za drzwiami. I karmić, by nie chciało wydostać się na zewnątrz.

Nie wiem, skąd wziął się ten portal, ta szczelina w osnowie rzeczywistości. Dla mnie była od zawsze, za mojego życia. Za życia najstarszych mieszkańców wioski.

Tradycja karmienia przekazywana w legendach, z pokolenia na pokolenie, w naszej rodzinie, o szlacheckich, sięgających zamierzchłych czasów grabarskich tradycjach.

Nie wiem, kto zbudował drzwi. Czy były wcześniej niż portal, niż ta dziura w przestrzeni, która pozwala zajrzeć w inne wymiary kosmosu? Sądzę raczej, że to w starej piwnicy zalęgło się zło, które otworło te dziwaczne wrota, a jakaś dawna magia, znana naszym przodkom, a teraz prawie zapomniana, pozwala utrzymać to, co za nimi, po tamtej stronie. Przekazy mówią niewiele, może większość rozmyła się w setkach ustnych przekazów, przeinaczona. Trzeba jednak składać ofiary i dzięki temu jest spokój. Nic nie przedostaje się do naszego świata, nie kruszy niewidzialnych pieczęci. Od wewnętrznej strony drewniane drzwi są całe pokryte wyrytymi symbolami. Według tego, co mówią stare podania, oraz tego, co przez lata rozważań zdołałem wydedukować, to zaklęcia, mające chronić. To swoisty rodzaj bramy, która trzyma To, Co Nienazwane po tamtej stronie.

Nikt już nie umie przeczytać tego pisma, jeśli to w ogóle jest pismo.

Ja jednak wiem, że to co robię, jest słuszne. Wszyscy w wiosce to wiedzą. Czuję zło, które wydostaje się zza drzwi piwnicznych tuż przed porą karmienia. I co z tego, że są ofiary? Dzięki temu jest ich mniej, bo gdyby TO przedostało się do naszego świata...

A dzięki takim jak ja wy możecie spać spokojnie.

Nie wiem, czy jestem jedyny. Może na świecie jest nas więcej. Więcej bram, więcej szczelin, tak samo pilnowanych?

Kto ich tam wie?

Patrzę smutno na premiera. Czy rozumie, jaki ciężar na mnie spoczywa? Czy rozumie, że za nic mam te jego rozgrywki polityczne, te jego zakularowe interesy i konszachty. Ja jestem zwykły grabarz, który ma pilnować niezwykłych piwnicznych drzwi. I co mi tam, do wielkiej polityki?

– To... to trzeba zniszczyć! Wezwać naukowców, wezwać wojsko! – Premier rozkręca się coraz bardziej, fioletowa, cienka żyłka na jego czole nabrzmiewa i pulsuje teraz w rytm każdego okrzyku. – Ja tego tak nie zostawię! To jest... to jest...!

BOR-owiec patrzy nam mnie; na twarzy nie ma już okularów, choć nawet nie dostrzegłem chwili, kiedy je zdjął. A może same się zsunęły? Jednak kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, mimo niemego przerażenia na jego twarzy dostrzegam w nich iskrę zrozumienia. On też pojmuje, co musimy teraz zrobić. Coś się stało, coś w nim pękło, żelazne tamy w jego umyśle puściły w chwili, gdy macka czegoś spoza czasu wciągnęła w szczelinę jego kolegi. I teraz wiem, że mam następcę.

Chwytam premiera za jego wełniany płaszcz z kaszmiru i przyciągam jego wykrzywioną

twarz bliżej, do swojej. Przez moment, ale tylko moment patrzę mu w oczy, a potem zamaszystym ruchem wrzucam go w czerniejący otwór piwnicznych drzwi. Sam nie wiem, skąd mam tyle siły. Korpulentna postać Barciszewskiego zatacza się bezwładnie, by potknąć się o wytarty, drewniany próg i wpaść do środka. Widać go jeszcze przez chwilę, jak zapada się w pustkę, rozpaczliwie wymachującego kończynami. Widać twarz, wykrzywioną w przeraźliwym krzyku, jednak samego dźwięku nie słyhać. Otacza nas cisza zmrożonego powietrza. Tylko ponownie, gdzieś w oddali odzywa się skrzekliwie kruk zrywający się do lotu.

Komendant upada na kolana, zgięty w pół nagłymi torsjami. Jego wymiociny barwią śnieg na żółto-różowo. My z oficerem stoimy, milcząc.

Kiedy po kilku minutach policjant w końcu podnosi się, roztrzęsiony, z klęczek i patrzy na nas oczami jak spodki, pyta:

– Co wyście zrobili?

– To, co było trzeba – odzywa się, uprzedzając mnie, oficer. – Dla narodowego bezpieczeństwa.

Uśmiecham się, zamykając drzwi piwniczne. Uderzenie drewna o drewno brzmi jak wystrzał. Jeszcze kłódka. Ale już myślami jestem w domu, przy szklance z herbatą, świeżo zalanej wrzątkiem. I z dolewką bimbru, mocnej księżycówki pędzonej na początku roku. Tym razem wiem, że będę miał towarzystwo. Oficera BOR-u, a raczej byłego oficera, bo chyba przed chwilą złożył rezygnację. Mamy wiele spraw do omówienia.

A jeśli znów ktoś przyjedzie? No cóż. To, Co Nienazwane, To Spoza Czasu... Ono zawsze jest głodne...



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

rys. Roman Panasiuk



POŚWIĘCENIE

Tomasz Czarny

Pokój. Mały, duży – nieważne. Skąpany w czerwieni. Właściwie to w czerwonym świetle, dokładniej rzecz ujmując. Są w nim krzesła, jest stół, taki szklany, i jest skórzany narożnik – taki, jaki zwykle oglądamy w lepszych produkcjach porno lub pornopodobnych.

Jest statyw i jest kamera. Jest i reżyser, i są też aktorzy. Cóż, w tej produkcji akurat są tylko aktorki. Wszystko dzieje się za zasłoniętymi żaluzjami i nikt na zewnątrz nie podejrzewa nawet, że jest to prywatne studio, w którym kręci się filmy dla dorosłych. Ale nie takie zwyczajne filmy porno. Mówimy tu o filmach snuff. A jakże.

Oczywiście oprócz głównych zainteresowanych wszyscy dobrze wiedzą, co się święci. Kolosalne wpływy szybko zmywają bolesne wyrzuty sumienia i wszelkie obawy przed zatrzymaniem przez wyspecjalizowane do tego jednostki policji. Zagłuszają je także narkotyki i morze alkoholu, drogie samochody i mieszkania w najlepszych dzielnicach

miasta. Tak, tak, to wszystko dzieje się pod waszym nosem i musicie zdawać sobie z tego sprawę. To może być wasz brat, wasza siostra, a może i wasza córka lub syn. Świat idzie naprzód, właściwie to leci na łeb, na szyję i to niekoniecznie w dobrą stronę. A rządzi tym wszystkim pieniąż, szatan i chciwi ludzie. Choć ludzie to określenie na wyrost. To ludzkie ścierwa, niemające sumienia ani skrupułów. Człowiek jest dla nich tylko towarem, jak dzinsy w sklepie lub chipsy na stojaku.

Zabiorę was teraz w podróż, która przedstawi wam historię Małgosi, biednej dziewczyny z Podkarpackiego, która chciała poszukać „chleba” w wielkiej Warszawie, a trafiła... no właśnie... zaczynajmy...

– Boję się, to mój pierwszy raz – powiedziała Gosia.

– Nie bądź głupia, przecież to ledwie kilka godzin, a kasa taka, jakbyś harowała ze trzy miesiące. Albo nawet i lepiej – odparła Jola.

– Tak, wiem, ale... ale co jeśli ktoś mnie rozpozna?

– Głuptasie, przecież mówiłam ci już, że będziemy miały na sobie maski. To filmy dla wyspecjalizowanych klientów, tych z wyższej półki. Dlatego tak dobrze płacą. Zresztą przecież będziesz grała ze mną i tylko ze mną, więc czego się boisz?

– No tak. Może niepotrzebnie się denerwuję. Ale mimo to czuję, że grzeszę. Gdyby tylko matka... ojciec... Ale tam bieda piszczy tak, że nie mogłam już na to patrzeć. Musiałam coś zrobić. Po prostu musiałam.

– Wiem, dlatego cię tutaj ściągnęłam. Wiele dziewczyn tak robi. Wolałabyś iść na kasę do hipermarketu? I ile byś wyciągnęła? A może do fabryki na trzy zmiany? Za gówniane grosze. Jesteśmy ładne i trzeba to wykorzystać, póki mamy na to szansę i czas.

– Chciałabym zarobić na remont naszego... no, wiesz, domu, na ubrania dla rodzeństwa, na leki dla schorowanych rodziców. Przecież wiesz, jak jest.

– Oczywiście, że wiem, Małgosiu. Zawsze cię lubiłam i chcę ci pomóc. Nie przejmuj się tak. Dla mnie to nie pierwszozna, a zobacz, jak teraz stoję. Raczej nie narzekam.

– Widzę. Fajnie masz. Te wszystkie kolorowe i nowe ciuchy, porządne jedzenie, kosmetyki. Ale ja robię to tylko dla mojej rodziny. Nie chcę nic dla siebie, nigdy nie chciałam.

– Masz dobre serce. I jesteś mądra. Powinnaś chyba iść na studia, co?

– Chciałabym, Jolu, ale na razie nawet o tym nie myślę. Jest tyle potrzeb. Ojciec coraz gorzej się czuje, te groszowe renciny. Nie mogę. Nie teraz.

– Uwierz mi, że niedługo będzie cię na to stać. Zaufaj mi.

– Czy to... czy to będzie w jakikolwiek sposób bolało?

– To zależy, jakie jest aktualnie zlecenie. Może być i tak. Nie mogę obiecać, że nie. Ale jest to do zniesienia, a pieniądze są wtedy większe.

– Dobrze, Jolu, jakoś to zniosę. I ten wstyd w sobie. Będę myślała o nich, o mojej rodzinie. I będę silna. Bardzo silna.

– Dobra dziewczyna! Taką cię lubię. To nic strasznego. Naprawdę.

Do pokoju wszedł mężczyzna, a za nim następny. Weszli na chwilę do kuchni, po czym pojawili się z powrotem. Mieli gumowe maski na twarzy. Małgosię zmroziło. Siedziały z Jolą na narożniku, w samych stringach, i trzymały się za ręce. Gosia kurczowo ścisnęła dłoń koleżanki, czując, jak bardzo jest zdenerwowana.

– Cześć, dziewczyny! – rzucił jeden z gości w maskach.

– No cześć – odpowiedziała Jola.

Gosia cała drżała; Jola wyczuwała jej strach; gładziła ją po ręce, by chociaż trochę ją uspokoić.

– Jolu, czy wytłumaczyłaś koleżance, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał mężczyzna.

– Tak, jak najbardziej.

– Czy mówiłaś jej o stawkach i naszych wymaganiach? Czy jest świadoma, na co się pisze?

– Owszem. Jest świadoma.

– Doskonale. Możemy zaczynać. Przynieś walizkę i sprzęty. Ustaw wszystko i włącz kamerę.

– Jolu, czy wiesz, że kręcimy dzisiaj R6?

– Wiem. Tak, wiem.

– W porządku. Nie byłem pewien. Okay, musimy się przygotować.

Dziewczyna pogładziła koleżankę po ramieniu i szepnęła jej coś do ucha. Ta uśmiechnęła się niepewnie.

Obydwie były już w maskach. Takich karnawałowych, z piórkami. Jeden z mężczyzn manipulował coś przy kamerze, drugi natomiast grzebał w walizce, która leżała na łóżku obok dziewczyn. Gosia zerknęła do środka. Były tam wibratory, pojemniczki z lubrykantami, pompki, kajdanki i inne tego typu rzeczy. Większość z nich widziała pierwszy raz w życiu; przeraziły ją. Mężczyzna popatrzył się na nią. Widział, jak bardzo jest przestraszona i zdenerwowana. Poglądził się z zadowoleniem w okolicach rozporoka i popatrzył tępym wzrokiem na współnika. Jej koleżanka wciągała biały proszek z blatu stołu przez zwinięty banknot stułotowy. To, co zostało, wcierała sobie sumiennie w dziąsła.

– Chcesz? – spytała Małgosi.

– Przecież dobrze wiesz, że nie.

– To pomaga. Wyluzujesz się. Serio.

– Nie, dzięki.

Jola dostrzegła czerwone światełko na kamerze.

– Dobra, dziewczyny. To zaczynamy...

– Ale bij ją mocniej! – krzyczał pseudoreżyser, patrząc, jak Jola znęca się nad swoją koleżanką.

Małgosia przyjmowała razy. Na twarz, w tułów... wszędzie. Z nosa leciała jej krew. Nie broniła się. Jola sięgnęła po czarną szpicrutę i zaczęła okładać ją, gdzie popadnie. Narzędzie zostawiało czerwone smugi na ciele dziewczyny.

– Dobrze! Dobrze! Dalej, dawaj! – wrzeszczał zamaskowany facet.

Jola już dawno nie miała żadnych skrupułów, była tak samo zdegenerowana jak i oni; a może nawet bardziej.

Zajmowała się zwabianiem tych biednych dziewczyn. W większości były to jej dawne znajome, przyjaciółki... Uważała jednak, by trop nie był zbyt oczywisty. Tak na wszelki wypadek. Dostawała za to dolę. Całkiem niezłą. Nie obchodziło ją to, co działo się z dziewczynami.

Kazała się wypiąć Gosi i zaczęła wkładać w jej anus wielki różowy wibrator. Robiła to brutalnie i siłowo, nie zważając na jęki i protesty tamtej.

Małgosia zaczęła płakać.

Mężczyzna, który stał dotąd w kącie, podszedł do dziewczyn i uderzył ją pięścią w twarz. Małgosia nic nie mówiła, znosiła ból i upokorzenie w ciszy. Nie krzyczała, nie próbowała uciec, nie groziła ani nie błagała.

Myślała cały czas o biedzie trawiącej jej rodzinę. O głodzie. O smutku i beznadziejności.

Gość w masce zaczął ją przyduszać obiema rękami. Napawał się jej cierpieniem. Nagle Małgosia spojrzała prosto w obiektyw kamery. Patrzyła tak kilka sekund; była bez życia, całkowicie obojętna.

Jola całowała jej stopy, by za chwilę zająć się lizaniem jej szparki. Mężczyzna wyciągnął fallusa i podał Gosi do ust. Zaczęła mu obciągać bez słowa skargi.

Człowiek stojący za kamerą masował teraz wybrzuszenie na swoich dżinsach. Gosia nie czuła się dobrze. Kręciło jej się w głowie i chciało wymiotować. Dławiła się jego penisem, którego wpychał aż po sam koniec. Najgorsze było to, że zatykał jej przy tym nos i okładał dłońmi po twarzy.

Jola zagłębiała dłoń w pochwie Gosi, kręcąc nią i wkładając ją coraz głębiej. Ręka zaczęła znikać w jej wnętrzu w szybkim tempie.

– Dobrze! Dobrze! Zbliżajcie się do finału! – krzyknął kamerzysta.

Mężczyzna grający z Małgosią sięgnął po czarny strap-on leżący pod sofą. Złapał Jolę i nałożył jej go, zapinając z tyłu. Szepnął jej coś na ucho, po czym stanął obok swojego kolegi i wpatrywał się w poczynania dziewczyn.

Małgosia była zdruzgotana. Jej psychika nie mogła przetrwać tych wszystkich okropnych rzeczy, których doświadczała. Zaczęła naprawdę się bać. Miała złe przeczucia. Wydawało jej się, że wyczuwa jakiś paskudny fałsz w działaniach Joli. To, że tak naprawdę zależało jej tylko na tym, by znaleźć następną głupią, która spełni ich żądania, a nie na tym, by jej faktycznie pomóc.

Jola nacierała sztucznym penisem na jej cipkę i masowała piersi. Leżała jak kłoda, godząc się na to. Błądziła myślami daleko, przywołując obraz miłych i bezpiecznych wspomnień. Miała nadzieję, że wkrótce się to skończy. Mężczyznom najwidoczniej nie przeszkadzała zbytnio jej bierność, bo w ogóle na nią nie reagowali, co wkrótce zaczęło ją zastanawiać.

– Okay, teraz w usta – rzucił filmowiec.

Jego kompan oddawał się masturbacji, patrząc na igraszki dziewczyn dzikim wzrokiem.

Jola uśmiechnęła się do Małgosi, ułożyła ją w dogodnej dla siebie pozycji i zaczęła wpychać strap-on w jej usta. Najpierw robiła to delikatnie, by później przejść do bardziej brutalnych pchnięć. Gosia dławiała się i śliniła, ale starała się nie pokazywać po sobie, jak bardzo ją to brzydzi i zniesmacza. Bardzo przeszkadzał jej odruch wymiotny, ale starała się to ignorować. Jola ciągnęła ją za uszy i nadziewała jej usta na ogromnego czarnego fiuta, pieszcząc przy tym jej szparkę bądź drażniąc sutki.

Wkrótce zaczęła wpychać jej dildo najgłębiej, jak to tylko możliwe, do samego końca, zatykając jej przy tym nos. Małgosia zaczęła być podduszana i odruchowo się przed tym broniła, rękami próbując wyjmować sztucznego członka, by zaczerpnąć powietrza. Łapała też za rękę Jolę, gdy ta zatykała jej nos, robiąc to zdecydowanie za długo i za często.

Patrzyła w oczy koleżanki i wydawało jej się, że widzi tam coś niesamowicie złego, przerażającego. Doskonale widać było, że Jola oddała się temu bez reszty i sprawia jej to przyjemność. Była okrutna i wulgarna.

– Finał, finał! – Małgosię dobiegł głos zamaskowanego faceta obsługującego kamerę.

Jola przywarła całym ciałem do Małgosi, wsuwając fallusa na siłę w gardło przyjaciółki i zatykając szczelnie palcami jej nos.

– Przepraszam, Małgoniu. Wybacz mi... żegnaj – wyszeptała tylko.

Gosia zaczęła się dusić. Wrywała się i wierzgała. Prawie udało jej się wyswobodzić. Walczyła o życie. Jola popatrzyła z wyrzutem w stronę kamery. Mężczyzna w masce podszedł do nich i złapał Małgosię za głowę, przytrzymując ją. Walnął dziewczynę kilka razy pięścią w twarz, co przyniosło pożądany skutek. Kobieta dusiła dziewczynę strap-onem, czekając, aż ujdzie z niej życie.

Widziała w jej oczach strach i niedowierzanie. I lży, nie wiadomo, czy wynikające z dławienia się, czy z tego, że nie chciała odchodzić.

Małgosia myślała o swoich biednych, schorowanych rodzicach i młodszym rodzeństwie. Myślała o tym, że nie chce umierać. Chciała tylko ostatni raz...

Ciało dziewczyny stało się wiotkie. Jej oprawczyni zwymiotowała na podłogę. Mężczyzna odrzucił od siebie jej ciało jak szmacianą lalkę.

– Świetnie, kochani, dobra robota! Ty zajmij się tym ścierwem jak zawsze, a my, Jolu, napijmy się może dobrego, mocnego espresso – powiedział operator kamery.

Mężczyzna zdjął maskę.

– To było dobre, nieźle na tym zarobimy. Miałem już kupców, zanim to nakręciliśmy, wyobrażasz sobie?

– Spierdalaj. Daj mi spokój – rzuciła kobieta, podnosząc się z klęczek.

Pomagier reżysera wziął ciało za włosy i zaciągnął do łazienki.

– Tak mi jej szkoda, była naprawdę...

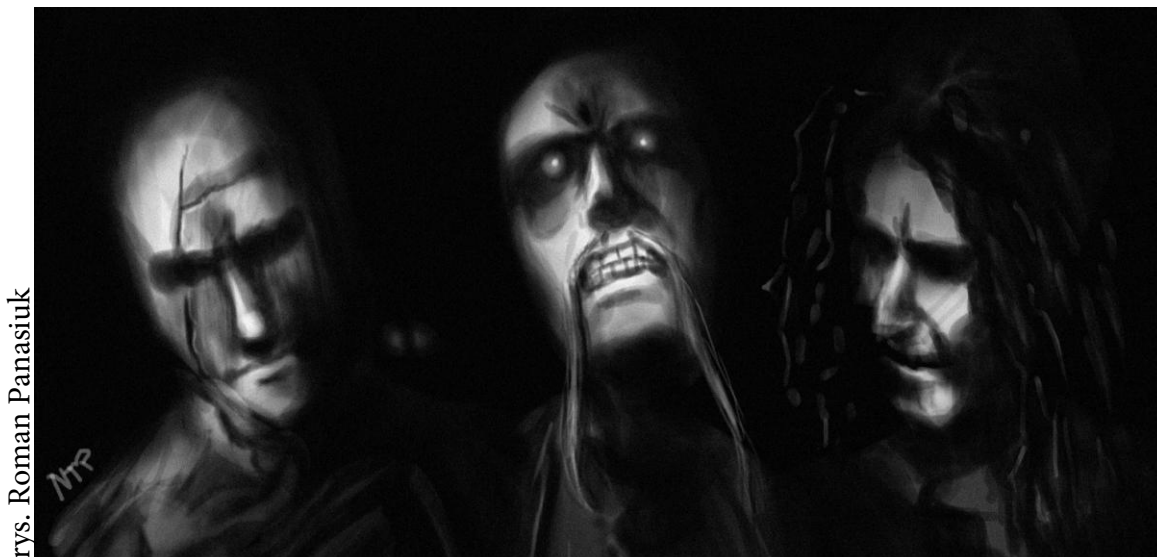
– Daj spokój, przecież to tylko praca. I będą następne, przecież wiesz – powiedział.

– Ale to jej poświęcenie, do końca myślała, że... tak mi zaufała. Więcej tego nie zniosę – żaliła się Jola.

– Jeśli tak, to wkrótce zajmiesz miejsce któregoś z nich i wtedy zobaczysz, co to poświęcenie.

– Wal się na ryj, mężu – uśmiechnęła się.

– Sama wal się na ryj, żono – wybuchnął śmiechem.



rys. Roman Panasiuk

PROKLATA TRIJCA

Edward Horsztyński

W małym miasteczku, jakich wiele było wtedy na Ukrainie, wieczór minąłby spokojnie. Bywalcy karczmy dokończyliby swoje bardziej lub mniej wykwintne trunki. Potem by się udali spokojnie do swoich twardych lub miękkich łóżek. Ani nasiąknięci strachem, ani pełni obaw o siebie, swoje domostwo, swoją rodzinę. Tak by było, gdyby nie...

– Ludzie! – Kulawy Rusin z bielmem na oku, co to zawsze pierwszy przynosił wieści, dobre, złe lub gorsze, swoim wejściem zakłócił zarówno cichsze, jak i głośniejsze rozmowy. – Trójca przyjechała!

– Przeklęci! – odezwał się jeden z chłopów. – Czego ich tu?

– Z łupami wracają, od Tatarów. A teraz idą tutaj pić! – rzekłszy to, wykuśtykał na zewnątrz, a obecni wyszli za nim. Został tylko karczmarz, posługująca dziewczka i jakiś młody, ubrany w karmazyny szlachcic z trzema towarzyszami. I cisza, którą przerywał jedynie ogień trzaskający w kominku.

Dziewka poprawiła i tak już obfity dekolt, tak że ciemny sutek przy ruszaniu się, jak ciekawskie oko, patrzył co chwilę spod koszuli.

– No co ty, u licha, wyprawiasz, głupia? – spytał karczmarz, któremu na czole zaczęły występować krople potu.

– Jak na Tatarów chodzili, to pewnie bogaci...

– Chowaj ty się lepiej. Ty nie wiesz, jak oni lubią się zabawić? Nawet jakby cię żywą zostawili, to i tak Boh jeden wie, w jakim stanie. A mnie dziewczka odstraszaająca klientów niepotrzebna!

Nawet jeśli wzięłaby przestrożę do serca, było już za późno. Drzwi karczmy się otworzyły, wpuszczając najbardziej nienawidzoną trójkę na Kresach, a może i nawet w całej Rzeczpospolitej. A nienawidzili ich wszyscy, równo i solidarnie. Polacy i Rusini, szlachta i chłopci, Kozacy i Tatarzy, księża i popi, Moskale, Żydzi, Wołochy, Turcy.

Pierwszy wszedł Michał Kossecki, szlachcic z Wołynia, który zamordowawszy swoich braci i ojca, skazany został na infamię. Początkowo wielu miało nadzieję dostać nagrodę za zabicie wyjętego spod prawa Kosseckiego, jednak jego zdolności szermiercze i to, co zrobił z ciałami pokonanych, odstraszyło skutecznie pozostałych. Twarz jego nie ludzkie, a raczej marsowe oblicze przypominała. Oblicze to było poznaczone bliznami, a największa z nich zaczynała się na czole, przechodziła przez prawe oko i kończyła się na policzku. Za nim wkroczył Hryhory Tereszczuk, Kozak przewyższający sławą i walecznością niejednego atamana i charakternik, z którym nawet więdźmy bały się zadzierać. Był to młody mołojec z wąsami sięgającymi prawie do klatki piersiowej. Na końcu pojawił się Natan. Żyd, który nie chciał być wieczną ofiarą i popychadłem, kopanym i szarpanym za brodę przez panów braci jak jego ojciec. Zaczął więc od zarżnięcia kilku szlachciców w karczmie swojego ojca. Jego temperament nie wytrzymał kolejnego wyzwiska i zamiast z gorzałką, podszedł do pijanego towarzystwa z tasakiem w ręce. Zrobił także użytek z noży leżących na stole. Zaskoczeni, wesóło podchmieleni panowie bracia, nawet nie zdążyli wyjąć szabel. Przybita nożem do stołu dłoń również uniemożliwiła wyciągnięcie broni. Niektórzy dali mu przydomek Kruk, ze względu na czarne włosy sięgające za ramiona, tak samo czarne oczy i typowy dla jego nacji nos. Zamiast przy pasie, na plecach nosił ordynkę, którą posługiwał się lepiej od niejednego Tatara. Wielu myślało, że jest niemy, bo bardzo małomówna z niego była persona. Gadanie zawsze zostawiał Kosseckiemu i Tereszczukowi. Sam tylko wpatrywał się w ludzi złymi, czarnymi oczami.

Karczmarz wyraźnie czerwony i obłany potem silił się na uśmiech. Dziewka silić się nie musiała, gdyż uśmiechała się jak głupia, mając nadzieję na hojny napiwek. Młody szlachetka pił wino małymi łyżkami, obserwując wchodzących. Natan usiadł przy kontuarze, z obojętnością słuchając, jak oberżysta wymienia najlepsze potrawy i napitki, dostępne w tej przez szlachtę zarzyganej, a przez chłopów zawszonej karczmie. Hryhory podszedł do dziewczki i zważył ręką jej pierś. Była ciężka i w dłoni się nie mieściła. Kozak uśmiechnął się od ucha do ucha. Kossecki

ruszył do siedzącego towarzystwa. Cały czas patrząc w oczy szlachcica, nie mrugnawszy nawet, wziął ze stołu drewniany kubek i wypił zawartość jednym haustem.

– Drogie to wino, ale nie tak drogie jak twoje gardło – powiedział szlachetka.

– Twoje zaś musi być bardzo tanie, skoro nie szkoda ci go dawać pod moją szablę, panie bracie – Kossecki zmrużył oczy.

– Choć wstyd, że taki człowiek jak ty, należy do tego samego stanu co ja, wyzywam cię na pojedynek. Przynajmniej umrzesz jak szlachcic, a nie jak cham zarżnięty w karczmie.

– A kim ty właściwie jesteś, kurwy synu? – Kossecki wziął teraz kubek jednego z towarzyszy młodziana i również go opróżnił. Szlachcic nie dał się ponieść z powodu obelgi, a nawet wręcz przeciwnie. Był spokojny, jak jego towarzysze, gdy Kossecki opróżniał po kolei ich kubki.

– Matka moja szlachetną kobietą była, z takiego domu, w którym twoi krewni mogliby jedynie za służących robić, gdybyś ich wcześniej nie zabił, oczywiście. Jam hrabia Konstanty Biński herbu Łodzia. Podróżuję po Europie, pojedynkując się z rycerstwem Francji, Anglii, Hiszpanii, a teraz przybyłem w te dzikie tereny. Na pewno o mnie słyszałeś. Od dziecka byłem szkolony przez największych fechmistrzów, hartujących mojego ducha i rękę w walce szablą. Pokonałem samego...

Trwało to tyle co mrugnięcie okiem. Michał wyciągnął zza pasa pistolet i wypalił w czoło pana hrabi. Kolejne mrugnięcie zajęło wydobycie szabli. Pierwszemu rozplątał gardło, drugi dostał cios w głowę, a trzeciemu, który zdążył wyciągnąć z pochwy szablę do połowy, Kossecki wbił ostrze w pierś, nadziewając go jak prosię.

– Co ty dzisiaj taki? Nawet nie poczuli, że umierają – powiedział Hryhory, dalej bawiący się pierściami, od których nie odrywał wzroku. Kossecki, zamiast mu odpowiedzieć, zwrócił się do karczmarza, który trząsał się jak galareta.

– Horyłki. Muszę przepłukać gardło po tym winie.

Było już lekko po świcie i poranne słońce zagościło w karczmie, ukazując skutki wczorajszej hulanki. A wyglądało to niemal, jakby cała orda tędy przeszła. Potłuczone naczynia, ściany i podłoga w krwi i wymiocinach, powywracane stoły. Z wyjątkiem jednego. Na tym właśnie stole leżała biedna dziewczka, co obcować z Trójcą się nie bała, a teraz cała we krwi, z szeroko rozłożonymi nogami leżała. Wytrzeszczone oczy zwrócone były ku sufitowi, jakby u Niebios chciała wybłagać pomoc. Jak na obrazie lub teatralnej masce, na jej twarzy zastygł ból i przerażenie. Z otwartych ust wystawał język i kilka monet. W końcu nie po to Trójca chodziła na rabunek do Tatarów, żeby teraz nie płacić.

Miała również rozcięty brzuch, do którego wsadzili głowę pana hrabi. Jej jelita zaś posłużyły za sznur przy wiązaniu karczmarza. Nic więcej mu się nie stało poza tym, że wyglądał

komicznie. Z jabłkiem w ustach, przy jego tuszy naprawdę przypominał prosię. Może gdyby nie posnęli, to by go upiekli na rożnie. Może byli już zbyt najedzeni, by skosztować tak tłustego wieprza. Może Natan oponował przeciw spożywaniu wieprzowiny, a może zostawili go na potem. Tego i sam diabeł nie wiedział, ani nawet nie chciałby wiedzieć, co siedzi w głowach tego towarzystwa.

Natrętne bzyczenie muchy dopełniało tego obrazu. Kozak otworzył leniwie jedno oko. Plunął celnie, trafiając muchę w powietrzu z odległości trzech metrów i wrócił do spania. Ledwo zamknął oko, a co innego przerwało mu drzemkę. Do karczmy wszedł jeden z psów zaklętych przez charakternika, czarny i wielki jak ogar piekielny. Kozak nadstawił ucho, a potem sam coś szepnął. Pies wybiegł merdając ogonem. Hryhory nie miał ochoty zdzierać sobie przepitego gardła, budząc towarzyszy, więc po prostu wypalił z pistoletu w sufit. Natan i Kossecki zerwali się gwałtownie. Pierwszy zaspany, ujrawszy w zasięgu ręki dzban z napitkiem uśmiechnął się od ucha do ucha i natychmiast zwilżył sobie gardło. Drugi patrzył na Kozaka strasznym wzrokiem, oczekując wyjaśnień. Kogoś innego to spojrzenie przeraziłoby do szpiku kości.

– Jakiś jegomość chce z nami pomówić – mruknął Tereszczuk do szlachcica. Ledwo słowo się rzekło, a już drzwi przekroczył mężczyzna wyglądający na cudzoziemca. Według jakiej mody był przybysz ubrany, to żaden z nich nie wiedział, bo się takimi rzeczami nie interesowali. O dziwo, widok zastany w karczmie ani trochę go nie ruszył. Tak jakby wcale nie zauważył ciała, krwi i bałaganu, uklonił się z uśmiechem na ustach.

– Witam szanownych waszmościów, bękartów przeklętych, z matki murwy i z ojca stajennego. – Żaden z trójki się nie obraził, bo sami nie mieli zbyt dobrego mniemania o swoich rodzicielach. – Nazywam się Albert Solberg, reprezentuję pana Ragnara Bjornsona.

Trójca niemo wpatrywała się w niego. Może czekali, aż Norweg przejdzie do rzeczy. A może myśleli, w jaki sposób go zabić.

– Mój pan ma dla was zaproszenie do swego namiotu rozbitego kilka mil stąd oraz propozycję. Ręczę swoją głową, że owa propozycja przypadnie panom do gustu.

– Lepiej więc dla ciebie, żebyś miał rację – rzekł Michał Kossecki.

Wyszli z karczmy, przed którą znajdowało się kilkadziesiąt psów. Wszystkie zakłute przez Hryhorego, pilnujące, by nikomu z mieszkańców nie strzeliło do głowy, żeby przerywać biesiadę Trójcy bądź zarezać ich podczas snu. Gdy odjeżdżali, charakternik gwizdnął, a psy wbiegły pędem do karczmy. Gdy zębiska wgryzały się w ciało karczmarza, grubas zazdrościł dziewczce i szlachcicom, że są martwi i nie czują, jak są rozrywani na kawałki psimi szczękami.

Jechali kawałek gościńcem, a potem skręcili w step. Po jakimś czasie im oczom ukazał się namiot, stojący w owym stepie. Dziwne było to, że możny niewątpliwie obcokrajowiec rozbił się obozem na pustkowiu, zamiast pójść w gościńcu do jakiegoś dworu. Żaden magnat nie powstydzilby

się takiego gościa, a co dopiero zwykły szlachcic, ugaszczając go jak króla, otwierając najlepsze wina i serwując takie potrawy, jakie sami rzadko jedzą. Taka już jest polska gościnność.

Dziwnym było również to, że w środku ten namiot był dziesięć razy większy niż na zewnątrz. Mieściło się w nim wiele skór i poroży zwierzęcych, mnóstwo mebli, z których najbardziej uwagę przyciągał olbrzymi stół, który powinien zajmować cały namiot, a nie tylko jego część. O dziwo, ani w namiocie ani wokół niego, nie było żadnej służby. Z wyjątkiem Alberta i nagiej kobiety grającej na harfie.

Na krześle, które raczej przypominało królewski tron, siedział pan Ragnar Bjornson. Miał długie bujne włosy w wielu odcieniach. W jednym miejscu były blond, w innym rude, a w innym krwawoczerwone. Jego czupryna wyglądała jak płomień świecy. Gdyby Kossecki nie był krzywoprzysięzcą, mógłby przysiąc, że oczy Bjornsona również zmieniały kolor. Z zielonego w niebieski, z niebieskiego w szary i to we wszelakich odcieniach.

Trójca stanęła przed obliczem tego dziwnego człowieka. Oczywiście ani się nie przywitali, ani się nie pokłonili. Kossecki bacznie wpatrywał się w pana Ragnara, Natan gapił się na nagą kobietę jak chłop w cerkwi na ikonę, Hryhory zaś był zaniepokojony. Jako charakternik był wrażliwy na magię, a tu czuł jej całe multum. Jego dłoń cały czas leżała na rękojeści szabli. W tym namiocie byli jak w pułapce.

– W czym mogę szlachetnemu, jaśnie oświeconemu panu służyć? – odezwał się w końcu Michał w efekcie przedłużającej się ciszy. Kossecki nie byłby sobą, gdyby nie umieścił w tych słowach drwiny i sarkazmu.

– Posłałem po was, ponieważ jesteście najlepsi w tym, co robicie, a w dodatku jest coś, co nas łączy. Ale o naszych wspólnych pasjach innym razem. Chcę, byście uwolnili pewną kobietę.

Kozak prychnął.

– Robiliśmy z kobietami tysiące różnych rzeczy, zarówno z żywymi, jak i z martwymi, ale nigdy żadnej nie ratowaliśmy. Wybrałeś nie te osoby, co trzeba.

– Jestem pewien, że właściwe. Również jestem pewien, że tylko wam się uda, ponieważ znajduje się ona w Ukrytym Monastyrze.

Hryhory znowu chciał zabrać głos, lecz Kossecki mu przerwał.

– Ile?

– Dziesięć tysięcy złotych. Do tego coś, co wszyscy trzej kochacie bardziej niż pieniądze. Ale to już niespodzianka.

Trójca jechała przez step, w stronę gościńca. Gdy doń dotarli, zatrzymali konie.

– Jak znajdziemy Ukryty Monastyr? – zapytał Kossecki

– Z tego, co wiem, to tylko Ostapowi Bondarczukowi udało się go odnaleźć – powiedział Hryhory.

– Bondarczuk nie żyje.

– Może zatem znajdziemy go w Wiecznej Karczmie.

– Mamy kilka dni do pełni. Ale skąd wiesz, gdzie tym razem się pojawi?

– Nie wiem. Ale wiem, kto może wiedzieć.

– Baba Jaga?

Kozak kiwnął głową.

– To trzeba będzie po drodze złapać jej jakiś prezent. Jazda!

Wyrwali z kopyta, aż się za nimi kurzyło. Pędzili tak, mila za milą. Ludzie na ich widok schodzili z traktu w las, żegnali się, uciekali do chałup. Z wyjątkiem małego Maksyma i Anastazji, którzy, jak to dzieci, byli tak zajęci zabawą, że zapomnieli o Bożym świecie. Kiedy trzech strasznych jeźdźców wjechało na podwórko, było już za późno. Małe dziatki otworzyły szeroko niewinne oczy, a strach wrył ich małe brudne stópki w błoto.

– Te się nadadzą? – spytał Michał.

– Tak, idealne. – Kozak uśmiechnął się tak złowrogo, że małemu Maksymowi puścił pęcherz. Hryhory szybko złapał maluchy, związał i zarzucił na siodło.

– A może dawaj pod siodło, jak Tatar mięso. Od razu gotowe jej przywieziemy – zażartował szlachcic.

– A jeżeli nie będzie jej tak smakować? – spytał Kozak poważnie. Wtem z chaty wybiegł chłop.

– Pane, pomiłujcie. Możecie wziąć dziewczynę, ale zostawcie chłopca. On do roboty będzie potrzebny...

Hryhory wypalił mu z pistoletu w żołądek. Jakby chłop miał niewystarczająco ciężkie życie, teraz przyjdzie mu zdychać godzinami.

W drodze dzieci płakały, wiły się i wrywały. Ręka świerzbiła, żeby roztrzaskać im głowy kamieniami, ale postanowiono po prostu wlać im horyłki do gardeł. Pałący trunek szybko uspokoił i uśpił pacholęta. Las, do którego dotarli, był bardzo gęsty, więc musieli zsiąść z koni. Idąc w głąb tego lasu, Tereszczuk cały czas nasłuchiwał i czegoś wypatrywał. W końcu do ich uszu dobiegło złowrogie krakanie. Kozak poznał w wielkim czarnym kuku sługę Baby Jagi. Kruk również poznał charakternika i zaprowadził ich na miejsce. Piękny biały murek ułożony był z czaszek i kości. Głównie dziecięcych, ale były wśród nich również czaszki nieproszonych gości. Taki murek otaczał domek stojący na kurzej łapce.

Gdy tylko się zbliżyli, w chatce otworzyło się okno. Stała w nim wiekowa starucha.

Włosy miała długie, siwe i brudne. Piersi zwisały jej prawie do kolan. Brakowało też większości zębów. Nos miała bulwiasty, a twarz ogółem przypominała ropuchę. Miała również bielmo na oku. Zdrowym okiem widziała świat materialny. Tym drugim świat duchów. Ta kilkusetletnia panienka z okienka, na widok swojego ulubieńca rozpromieniła się jak młodociana na widok swojego rycerza wracającego z wojny.

– Hryhory, synoczku! Pryjechał ty odwiedzić staruszkę!

– Witajcie, maty! Podarok ja wam przywozłem!

– Dobrze, synku, dobrze. A kto tam z tobą jest? Stara ja już i nie widzę.

– Pan Michał Kossecki i Natan.

– To dobrze, że dalej trzymasz z dobrym, przyzwoitym towarzystwem. Z nimi nie zginiesz.

Chodźcie, chłopcy, w gościnę!

W środku panowała cała gama zapachów, tak silnych, że nawet otwarte okno nie mogło tego wywietrzyć. Było tu tak mnóstwo ziół, że ich zapach tłumił smród siarki. A były tu zioła lecznicze, trujące, miłosne, magiczne oraz zwykłe przyprawy. Można tu było znaleźć szafran, bazylię, majeranek, lubczyk, tymianek, jaskółcze ziele, wilczą jagodę, bieluń. Nie brakowało również muchomorów, za pomocą których wchodziło się w trans.

Maksym i Anastazja się obudzili, więc zakneblowano ich i rzucono w kąt. Nie mogli się ruszyć, nie mogli wydać jęku. Jedynie łzy spływały po niewinnych, wytrzeszczonych ze strachu oczętach.

– Ładnie wybrałaś, takie, jakie lubię najbardziej.

– Babko, mam ja do ciebie sprawę.

– Dla ciebie wszystko, kochaniutki – powiedziała, po czym wzięła do ręki młotek, brudny od zaschniętej krwi. Trzasnęła nim w malutką główkę Anastazji. Blond włosy zmieniły swój kolor na czerwony.

– Wiesz może, gdzie podczas najbliższej pełni będzie stała Wieczna Karczma?

– W Wilczym Uroczysku. – Teraz młotek spadł na główkę Maksyma. Malutka czaszka pękła jak jajko, a mózg wylał się na brudną podłogę. – Zostaniecie na kolację? Zrobię barszcz z uszkami i kruchą pieczeń.

– A to aby koszerne? – spytał Natan.

O świcie ruszyli w drogę. Choć nikt ich nie gonił, pędzili jak szaleni. Konie pokryły się białą pianą, lecz oni dalej popędzali je nahajami. Nad rzadkim lasem, pełnym starych drzew, świecił księżyc, wielki i okrągły jak picza kijowskiej ladacznicy. Zewsząd dobiegało wycie wilków, lecz

żadnemu z nich nie przyszło do głowy rzucać się na większych wilków od siebie. Z daleka ujrzeni światło i usłyszeli pijackie śpiewy, rozmowy i śmiechy. W końcu doszli do sporej polany, gdzie stała Wieczna Karczma. Przybytek ten pojawiał się tylko na czas pełni, za każdym razem w innym zakątku Ukrainy. Pili tam najwięksi awanturnicy, banici, infamisi, najślawniejsi atamani oraz najdzielniejsi mołojcy. Było to miejsce dla tych, którzy już długo przed śmiercią zasłużyli na brak wstępu do Królestwa Niebieskiego, a w Piekło ich nie chcą, bo jeszcze rozsiekaliby sługi piekielne i sami rzadziliby nim jak folwarkiem. Tutaj stany się zacierały. Szlachcice i Kozacy pili razem, jak równy z równym. I pić będą do dnia Sądu Ostatecznego. Było to miejsce niebezpieczne dla żywych, ponieważ trunek tam serwowany bardzo mocno uderzał do głowy, a jeśli człowiek nie opuszczał tego miejsca przed świtem, zostawał tam na zawsze. Z drugiej strony, dla niektórych ten koncept nie wydawał się wcale taki zły. Darmowe trunki, najlepsze towarzystwo. I tak przez wieczność.

Trójca zdecydowała, że nie ma sensu, żeby szli wszyscy. Poszedł więc sam Hryhory, w nadziei, że Kozak z Kozakiem lepiej się dogada. Gdy tylko przekroczył próg, poczuł się, jakby wpadł do beczki z gorzałką. Zapach horyłki był tak silny, że aż wykręcał mu nos. Do tego sala była tak zadymiona, że można by tu mięso wędzić.

– Toż to Hryhory Tereszczuk, mołojec przesławny! – krzyknęło czyjeś przeżarte palanką gardło.

– Dalejże, wypij z nami!

– Za sławu! Na szczastie!

Wcisnęli mu w rękę kwaterkę gorzałki. Choć Kozak obiecał Kosseckiemu, że pić nie będzie, tylko wejdzie, dowie się, co trzeba, i wyjdzie, byłby to wielki afront dla stałych bywalców, gdyby nie wypił. Na dodatek Hryhory miał zasadę, że pacierza i gorzałki nie odmawia. Co do tego pierwszego, wątpliwym jest, by znał chociaż pierwsze słowa jakiegokolwiek modlitwy.

Opróżnił szybko naczynie i poczuł, jakby ktoś go zdzielił czekaniem w łeb. Jednak nie padł na ziemię, jeno uśmiechnął się tak, że wyglądał teraz jak aniołek, i ruszył chwiejnym krokiem w poszukiwaniu Ostapa Bondarczuka. Na szczęście, Ostap śpiewając fałszował tak samo jak i za życia, więc Tereszczuk szybko znalazł go, siedzącego z dzbanem w ręku, śpiewającego piosenkę tak wulgarną, że już za samo jej śpiewanie nie powinien przekroczyć bram Niebios.

– A niech mnie Matka Boska obsłuży w czechryńskim zamtuzie! Toż to syn najtańszej murwy i psa, Hryhory Tereszczuk! Nie wierzę, że tak młodo ci się umarło!

– Jestem żyw. Ze sprawą do ciebie przychodzę.

– Siadaj! Pij!

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Mołojec opróżnił kolejne naczynie. Na chwilę zapomniał, po co tu właściwie przyszedł. Za to w jego umyśle pojawił się pomysł, że może by tu zostać na zawsze. Gdy Bondarczuk patrzył na niego pytającym wzrokiem, Hryhory najpierw

zmarszczył brwi, a potem palnął się w czoło, jakby chciał ubić muchę na nim siedzącą.

– Ukryty Klasztor. Znalazłeś go. Jak tam dotrzeć?

Mina Ostapa w mgnieniu oka przybrała poważny wyraz.

– Nie obchodzi mnie, po co ci to wiedzieć, ani co chcesz zrobić, więc tak, powiem ci. Ale nie za darmo.

Teraz młody Kozak zmizerniał.

– Tyś martwy. Po co ci pieniądze? Nie dość, żeś martwy, to i tu masz horyłkę za darmo.

– Nie chcę pieniędzy ani żadnych kosztowności. Pojedziesz do wsi Horenicze, tam gdzie mnie chłopci zarezali, dowiesz się, gdzie zakopali moje ciało i pochowasz mnie na poświęconej ziemi.

– A co, jeśli nie pochowali, a wilcy i kruki roznieśli cię na cztery świata strony?

– Wtedy masz problem. No to... wypijmy za to, żebyś znalazł!

Gdyby nie światło z okien karczmy i hałasy, to Wilcze Uroczysko wyglądałoby naprawdę upiornie. Mimo to Kossecki i Natan czuli się tu wyśmienicie. Czuli się tak, dopóki nie zaczęli się nudzić. Świt się zbliżał, a Kozak wciąż nie wychodził.

– Spił się na pewno, bękart przez Turków chędożony. Zabiję tego kurwy syna, ale najpierw musi mi powiedzieć, jak dotrzeć do Ukrytego Klasztoru! – powiedział zirytowany Kossecki i ruszył bojowym krokiem w stronę budynku. Natan, jak zwykle milczący, nie powiedział nic.

– Wiwat, Kossecki! – krzyknął Marek Kalewski, dawny znajomy Kosseckiego, najlepsza szabla i największy pijanica ziemi braćwawskiej. Przynajmniej dopóki nie zapił się na śmierć.

– Wiwat! Wiwat!

– Małmazji mu nalać!

Kossecki ujrzał tu wielu starych znajomych. I jak tu odmówić?

Mijał kwadrans za kwadrans, a świt się zbliżał coraz bardziej. Natan wstał z kamienia, na którym siedział po turecku, splunął, poprawił ordynkę na plecach i ruszył w stronę wejścia. Żaden z panów braci ani Kozaków nie witał Żyda. Natan niewzruszony znalazł śpiącego pod stołem Hryhorego. Wziął go za długie wąsy i tak ciągnął po ziemi, wycierając podłogę pełną rozlanych trunków. Potem podszedł do Kosseckiego, który spał na stole.

– A ty tu czego, parchu? – zapytał pan Marek, siedzący przy panie Michale. – Dobrego towarzysza chcesz nam zabrać? Jak widać, jemu tu dobrze.

Natan zmierzył go jedynie swoimi czarnymi oczami i chwycił pana Michała za czuprynę i zaczął go ciągnąć tak jak Tereszczuka.

– Mówię do ciebie! – Pan Marek krzyczał za nim, lecz ten udawał, że nic nie słyszy.

Był już pod drzwiami, gdy Kalewski chwiejnym krokiem rzucił się za nim. Gdy tylko zbliżył się na długość ostrza, Natan jednym ruchem wyciągnął szablę z pochwy (puszczając pana

Michała, który z hukiem uderzył o podłogę) i rozciął mu gardło. Pijane towarzystwo próbowało się na niego rzucić, lecz kilku straciło równowagę, a pozostali potknęli się o tych leżących. Wyglądało to całkiem komicznie, a dla Natana skończyłoby się tragicznie, gdyby nie zdążył uciec. Na zewnątrz Żyd uśmiechnął się do swoich myśli. Dla Marka Kalewskiego raj zamienił w piekło. Pijanica spędzający wieczność w karczmie, a wszystko, co wypije, wyleci mu przez rozcięte gardło.

Trunki z Wiecznej Karczmy nie dość, że szybko zwalają z nóg śmiertelników, to jeszcze sprawiły, że Kossecki i Tereszczuk spali przez calutki dzień. Po przebudzeniu zaś czuli ból głowy wielki jak pustka w skarbcu Rzeczypospolitej. Dopiero następnego dnia wyruszyli w dalszą podróż, jednak w bardziej paskudnych humorach niż zwykle. Hryhory po drodze zatrzał jedną rzeczkę. Kilka dni później w wiosce, która czerpała z niej wodę, umarli wszyscy ludzie i zwierzęta. Co prawda, gdyby czuł się dobrze, to też by tak zrobił, tyle że nie ze złości, ale dla rozrywki.

Ich węch był tak wyczulony, że poczuli dym, zanim zapach doszedł do nozdrzy koni. Co prawda zapach płonących wiosek był jednym ich ulubionych, ale teraz nie wróżyło to dla nich nic dobrego. Bez chłopów, którzy usiekli i zatłukli Ostapa Bondarczuka, nie znajdą jego kości.

Kozak mocniej pociągnął nosem, gdy wjeżdżali pomiędzy zgliszcza chałup.

– Tatarzy.

– Kiepy bisurmańskie, murwy synowie, kozojebcy! – zdenerwował się Kossecki. – Szukać żywych... lub martwych!

Niestety, wszystko, co żywe, poszło za tatarskimi końmi z powrozem na szyi. Została tylko ona. Piękna młodociana, która widziała zbyt mało wiosen. Całe życie było jeszcze przed nią. Co prawda marne, chłopskie, ale zawsze to życie. Pomiedzy wspaniałymi piersiami był wbity nóż, prosto w serce. Wolała pchnąć się ostrzem, niż trafić w tatarskie ręce. Na jej twarzy widać było spokój.

– No, Hryhory. Do dzieła – powiedział Kossecki.

Kozak uklęknął przy dziewczynie i zaczął poruszać ustami. Dziewczę otworzyło szeroko niebieskie oczy.

– Gdzie Ostap Bondarczuk?

– Co? – Młodociana rozglądała się niepewnie.

– Ten, co go pół roku temu zarezaliście. Gdzie ciało?

– Tam. – Wskazała kierunek sinym palcem. – W zagajniku, pod największą brzozą. – Spojrzała teraz w twarz młodemu Kozakowi, dotknęła jego policzka chłodną dłonią. – To był sen? Tatarzy...

– Nie.

– A więc... uratowaliście mnie, pane?

– Nie. – Tereszczuk pstryknął palcami i głowa dziewczyny opadła z powrotem.

– To co... – Kossecki zaczął zdejmować dolną część ubioru. – Szlachta ma pierwszeństwo.

Zostawili jej ciało, z szeroko rozstawionymi nogami, na pożarcie wilkom. Po przyjemności przyszedł czas na pracę. Ostap Bondarczuk nie był zakopany zbyt głęboko, więc szybko odkopali zgniłe, przeżarte przez robaki ciało.

– Dwadzieścia mil na zachód jest monastyr. Tam go pochowamy – powiedział Kozak, zawijając ciało znajomego w materiał, żeby po drodze nie zgubić ani kawałka.

– Lepiej żeby się to nam opłaciło. Zostanie przelane bardzo wiele krwi, jeśli się okaże, że niepotrzebnie jeździliśmy w tę i we w tę jak jakieś kpy – powiedział pan Michał posepnie.

Gdy stanęli przed klasztorem, załomotali w drzwi od bramy.

– Otwierać! – krzyknął Kossecki, gdy brama nie została otworzona.

– A kto tam? – zapytał starczy głos.

– Raby boże!

Gdy wiekowy mnich otworzył bramę, wierzchowiec Kosseckiego uderzył kopytami w wątlą pierś starca. Kości w klatce piersiowej trzasnęły głośno. Trójca wjechała na teren monastynu, miażdżąc kopytami chude ciało.

Choć jeźdźców było trzech, a nie czterech, to dla mnichów i tak byli Jeźdźcami Apokalipsy. Szable poszły w ruch i nie napotykały żadnego oporu podczas rozcinania i nakłuwania ciał bezbronnych mnichów. Przeor klasztoru zaś ani nie uciekał, ani nie stawiał oporu za pomocą pięści lub kija. Przeora zastali w środku, modlącego się. Może modlił się o ratunek, a może był pogodzony ze swoją śmiercią i pragnął być jedynie wpuszczony za bramy Nieba. Po tym, jak Trójca przybiła go do krzyża, możliwe, że wycierpiał wystarczająco, by święty Piotr go wpuścić.

Po przyjemnościach trzeba było wrócić do pracy. Wykopali przy klasztorze płaski grób, niedbale wrzucili tam zgniłe szczątki i wbili w ziemię zebrany spod ołtarza krzyż.

– Jeżeli nas oszukał, nogi z rzyci ci wyrwę, Hryhory – rzekł Kossecki zimnym tonem.

– Mi? A niby czemu?

– Bo to twój pobratymiec i jesteś taka sama kozacka sabaka jak i on.

Do bójki nie doszło, ponieważ ukazał się duch Ostapa.

– No, gadajże nam teraz, psi synu, bo możemy cię z powrotem wykopać.

– Znacie to miejsce nad Dnieprem, gdzie za naszych dziadów wilkołaki miały swoje siedlisko?

– Tak.

– Od tego miejsca pojedźcie w stronę brzegu, a potem idźcie nim w górę rzeki. Powinniście trafić na małe wejście do jaskini. Tak małe, że będziecie musieli wchodzić na czworakach. W środku zaś jaskinia jest już szeroka. Idąc nią, znajdziecie Ukryty Monastyr.

– Nie ma tam żadnych pułapek, strażników? – Dopiero teraz w Kosseckim obudziła się

podejrzliwość. – I dlaczego wróciłeś bez łupów?

– Strażnicy... Byli. Pułapki też.

– I sam ich pokonałeś?

Ostap wziął głęboki oddech. Raczej z przyzwyczajenia, gdyż duchy nie potrzebują przecież oddychać.

– Nie poszedłem tam sam, tylko z całą sotnią dzielnych mołojców. Zataiłem to, ponieważ jakby się wydało, że poprowadziłem tylu ludzi na śmierć i wróciłem sam, to nikt nie chciałby chodzić ze mną na wyprawę...

– No to mówże, jak to było!

– Były pułapki, oj były! I byli strażnicy. Wyglądali jak ludzie, ale to nie byli ludzie... Zbroje mieli jakieś dziwne, inne. W życiu takich nie widziałem. A nie byli ludźmi, ponieważ byli z kamienia. Jak posągi jakieś. Dopiero jak się głowę takiemu odłupało albo rozłupało się całego, był pokonany. Ale nie został już żaden z nich. Krok za krokiem pokonywaliśmy kolejne niebezpieczeństwa, tracąc ludzi. Na koniec zostałem sam. Stałem przed bramą i... zawróciłem.

– Tchórz. – Szlachcic splunął na ziemię. – To już wszystko?

– Tak.

– To idziemy. – Natan ruszył za Kosseckim. Tylko Hryhory został tam, gdzie stał.

– Po co ci to było? – spytał Ostapa.

– Co?

– Ten grób. Źle ci tam było, w Wiecznej Karczynie? Myślałeś, że dostaniesz rozgrzeszenie i zostaniesz zbawiony?

– Zbawienie... Tak, miałem cień nadziei. Ale jak widać, niebo się nie otworzyło, a anieli nie zagrali. Widocznie muszę teraz tułać się po świecie jako widmo, by odpokutować swoje grzechy. – Kozak rozejrzał się wokół. – Kiedy zrozumiałem... że cała ta przelana krew, ja... Jechałem dokładnie do tego klasztoru, którego ściany splamiliście krwią niewinnych. Jechałem tu, by ofiarować się Bogu i odpokutować moje grzechy. Gdy przejeżdżałem przez jedną ze wsi, jeden z chłopów mnie rozpoznał, choć nie wiem, com mu uczynił. Dokonałem w życiu wiele złego i nie sposób spamiętać wszystko. Rzucili się na mnie kupą i zatłukli. A ja... nie stawiałem oporu. Dość miałem krwi przelanej.

Hryhory wybuchnął śmiechem.

– Ataman Bondarczuk zamieniłby kozacką sławę na habit? Nie wierzę!

– Młody jesteś. Może kiedyś zrozumiesz, że jest i zawsze będzie ktoś potężniejszy od ciebie.

– Ostap spojrzął w górę. – A kozacka sława jest krótka jak ludzka pamięć. Potępienie zaś jest wieczne.

– Hryhory, łachudro! O czym ty tam gadasz z umrzykiem?! – krzyknął zniecierpliwiony

Kossecki.

– Nie ma zbawienia dla takich jak my – mruknął młody Kozak i odwrócił się od ducha.

– Mam nadzieję, że jeszcze zrozumiesz. Póki jesteś żywy. Póki nie jest za późno – powiedziało widmo, lecz Hryhory nie mógł tego usłyszeć, bo już się oddalił. – A może już jest za późno, dla ciebie i dla mnie?

Zerwał się gwałtowny wiatr i widmo rozwiało się jak dym znad ogniska.

Nie żałując koni, pędzili przez Ukrainę. Kraj żyzny, mlekiem i miodem płynący, gdzie spokój tylko czasem zakłócał najazd Tatarów, szlachcic wojujący z sąsiadem czy Przekłeta Trójca. Dotarli na miejsce, gdzie lata temu wilkołaki miały swoje siedlisko, porywały ludzi z okolicznych wsi, a czasem nawet zapuszczały się dalej, dopóki nie zrobiono na nich obławy. Dotarli nad Dniepr szeroki, a potem szli wzdłuż jego brzegu. Nie mieli problemu ze znalezieniem jaskini. Wręcz przeciwnie, znaleźli ich aż kilka. Każda następna budziła coraz większą frustrację u Trójcy. Zaczęli nawet myśleć, że Ostap postanowił zrobić im żart. W końcu jednak znaleźli małe wejście, przez które wchodząc, należało się schylić. Po wejściu zaś, okazało się, że jaskinia jest wysoka i szeroka. Być może kiedyś wejście było tak samo duże, lecz zostało zasypane. Zapalili pochodnie i szli gęsiego. Kossecki i Tereszczuk upierali się by, Natan szedł przodem, zapewne na wypadek jakiejś niespodzianki, ale Żyd nie był głupi i posłał im tylko pełne nienawiści spojrzenie.

Wkrótce natrafili na pierwsze trupy Kozaków Bondarczuka. Były one poprzębijane strzałami, poprzecinane na pół lub nadziane na ostrza wystające ze ścian lub ziemi. Im dłużej szli, tym bardziej liczba trupów się powiększała. W końcu trafili na pierwsze ciało kamiennego strażnika.

– Nu, wszystko się zgadza. Nie powiedział tylko Ostap, że to jacyś sodomici – rzekł zdziwiony Hryhory, patrząc na niewieści dół odzienia, niesięgający nawet za kolana.

– A może to Amazonki? – spytał Kossecki.

– Nie wiem kto to, ale raczej nie, bo patrz. Nie ma piersi – odpowiedział Hryhory.

– Gdybyś był szlachetnie urodzony i miał trochę mądrości w głowie, to byś wiedział, że one piersi sobie obcinały!

– Taki ty szlachetny, jak moja matka kurwa.

Szli tak, dalej się wyklócając. Gdyby Kossecki miał tej wiedzy więcej, to wiedziałby, że w czasach starożytnych Grecy mieli w okolicach swoje kolonie. A że lubowali się oni w sodomickich praktykach i nie nosili spodni, to można by powiązać jedno z drugim.

W końcu ujrzeni mur. Wyciągnęli ostrza z pochew i ostrożnie zbliżali się w stronę bramy.

– Wygląda na solidną... – powiedział Kozak, a potem, jakby szukając potwierdzenia swoich słów, dotknął jej dłonią.

O dziwo, brama była otwarta i uchyliła się pod wpływem lekkiego pchnięcia.

– To pewnie pułapka – szepnął.

– Wpadnijmy więc w pułapkę – odpowiedział mu pan Michał.

Z ostrzami w górze wbiegli na dziedziniec i... nic się nie stało. Nie było żadnych przeciwników, ludzkich czy nieludzkich, żadnej armii czy samotnego strażnika. Tylko ciemność i cisza. Widząc, że droga wolna, przekroczyli bramę klasztoru. Choć Trójca się przekonała, że Ukryty Monastyr nie jest tylko legendą, to jednak niektóre plotki okazały się bujdą. Nie było tu żadnych bogactw, komnat wypełnionych złotem i szlachetnymi kamieniami. Sam klasztor również nie był klasztorem, ale zwykłą małą twierdzą.

Przeszukawszy wszystkie pomieszczenia, skierowali swe kroki ku największej komnacie. Jak na tak dużą salę, mieścił się w niej tylko jeden mebel. Był to sarkofag zrobiony na kształt człowieka. Na dodatek te kształty były bardzo kobiece.

– Myślisz, że to nasza kobieta? – spytał Hryhory, a pan Michał kiwnął głową.

– Myślisz, że ona w ogóle żyje? – spytał ponownie. Wtedy ze środka zabrzmiało podwójne puknięcie.

– Myślisz, że to w ogóle człowiek?

– Tu jest miejsce na klucz – odezwał się Natan, zanim Kossecki zdążył pokazać Kozakowi, jak bardzo irytują go jego pytania.

– Gdzie jest więc klucz?

Sala miała dobrą akustykę, więc usłyszeli nierówny tupot nóg i odgłos metalu szorującego o kamień, zanim przeciwnik zdążył się pokazać. Gdy światło pochodni w końcu go ujawniło, okazało się, że był to starzec, wyglądający na jakieś sto lat, a w rzeczywistości musiał mieć o kilkaset lat więcej. Miał na sobie zbroję, taką samą jak kamienni strażnicy w tunelu, lecz ta była na niego za duża, a starcza ręka nie potrafiła unieść miecza, który ciągnął za sobą po ziemi. Powiedział coś do nich, lecz żaden z Trójcy nie znał greckiego. Potem ostrze Kosseckiego bez najmniejszego problemu oddzieliło głowę starca od reszty ciała. Klucz, który strażnik nosił na szyi upadł z brzękiem na kamienną podłogę. Kiedy Kossecki podnosił klucz, usta starca jeszcze bezdźwięcznie się poruszały. Nie wiadomo, czy im groził, czy się modlił, czy ostrzegał, by nie otwierali tego, co powinno być zamknięte.

Kiedyś na pewno było tu wielu mnichów-strażników, którzy sprawiliby sporo kłopotów Trójcy, a może i nawet by ich pokonali. Choć jakaś magia przez wieki opóźniała ich starzenie, to nic na świecie nie jest wieczne, a ten, który grzebał swoich towarzyszy, nie zostanie teraz pochowany przez nikogo.

– Na pewno chcesz to otworzyć? – Tym razem spytał Natan, któremu udzieliła się niepewność Tereszczuka.

– A chcesz nieść tę trumnę na swoich plecach? – odpowiedział pytaniem na pytanie pan

Michał i otworzył sarkofag.

Prędzej spodziewaliby się wychudzonej kobiety, która przeszła jakieś tortury, niż ucieleśnienia kobiecości. A tym właśnie była ona. Intensywnie zielone oczy, idealnej wielkości piersi, długie czarne włosy, kształty perfekcyjne, jakby wyrzeźbione przez mistrza nad mistrzami w sztuce rzeźbiarskiej. Wszystkim trzem w mig stwardniały fallusy, jednak jej osoba wręcz onieśmieliła ich, a to akurat rzeczą było niebywałą.

– Komu zawdzięczam ratunek? – spytała głosem słodkim jak maliny.

– Trzem dzielnym mołojcom, na zlecenie pewnego możnego pana, Ragnara Bjornsona.

– A ty kim jesteś, pani? – spytał ją Kossecki, który nagle nabrał elegancji i odezwał się do niej tak, jak nigdy nie odzywał się do żadnej kobiety.

– Możecie mówić mi Helena.

Helena. A potem już nie było żadnych słów. Nie zamierzała czekać, żeby odwdzińczyć się swoim wybawcom, a oni nie zamierzali być niewdzięczni i nie przyjąć tak wspaniałego daru. Helena okazała się być kobietą bardzo zdolną, zadowolając ich trzech jednocześnie. Jej nienaturalnie długi język czynił takie cuda, że każda murwa jak świat długi i szeroki mogłaby jej zazdrościć. Podziękowania trwały bardzo długo, ponieważ ona się nie męczyła, a ich nie opuszczała siła, choć każdy z nich doszedł kilka razy. Raz brali ją we trzech, raz we dwóch, gdy któryś odpoczywał, a raz brali ją po kolei.

Niestety, wszystko, co dobre, ma swój koniec, a ich czekała jeszcze długa droga. Tym razem nie popędzali koni i nie spieszyli się wcale, by dostać zapłatę. Tak jakby chcieli jak najdłużej nacieszyć się obecnością niesamowitej towarzyszki. Ściągała ona wzrok innych mężczyzn i po drodze wyszło z tego kilka zwad. Niektórym tak zawróciła w głowie, że nawet wiedząc, że to Trójca ją eskortuje, wyciągali na nich ostrza, pragnąc potem spocząć z tą tajemniczą boginią.

Nadszedł w końcu dzień rozstania, gdy ponownie znaleźli się w namiocie Ragnara Bjornsona.

– A co z tą dodatkową zapłatą? – spytał Kossecki, gdy otrzymali już pieniądze.

– Dowiesz się już wkrótce – powiedział Ragnar.

– Chcę wiedzieć teraz – odpowiedział mu stanowczo pan Michał.

– Mówiłem, że jest to coś, co kochacie bardziej niż złoto. A jest tym chaos, wojna i śmierć.

Powiadam ci więc, drogi panie Kossecki, że niedługo wybuchnie wojna i to najgorsza, bo domowa. Wszędzie będzie zdrada, a potem przez wieki będzie ciągnęła się nienawiść i nieufność jednych wobec drugich. Z miast zostaną tylko zgliszcza. We wsiach będą mieszkały wilki, a obłąkani ludzie będą się włóczyć po lasach, wyjąc potępieńczo. Dla niewinnych i bezbronnych zostanie zgotowane piekło, a zbrodniarze będą czuli się jak w niebie.

Kossecki, Tereszczuk i Natan uśmiechnęli się jednocześnie, ukłonili się nisko i opuścili

namiot.

– No to już wiem, czemu chciałeś mnie uwolnić – powiedziała Lilith, pierwsza kobieta i żona Adama, z której łona na świat przyszła rzesza ludzi i demonów. Ta sama, która przez wieki, grając na męskich namiętnościach, wywoływała wszędzie chaos i wojny. Ta sama Lilith, która pod imieniem Heleny stała się powodem wojny trojańskiej, a teraz znowu pod tym samym imieniem zawita do chutoru Bohdana Zenobiego Chmielnickiego, który ją poślubi. Potem zaś zawróci w głowie Danielowi Czaplínskiemu, który ją odbije. Chmielnicki wywoła powstanie i tak po raz kolejny przez kobietę poleje się morze krwi.

– No tak. Nudziło mi się – odpowiedział Loki.

rys. Roman Panasiuk



ZEGAR ŚMIERCI

Agnieszka Kwiatkowska

Whitechapel nigdy nie jest ciche. Nawet nocą, gdy uczciwi ludzie śpią, to miejsce tętni życiem, bo mało kogo można tu nazwać uczciwym. Zwłaszcza w „kwadracie”, jak nazywał tę część dzielnicy nadinspektor Walter Burroughs, który urodził się tu i wychował. A jednak tej nocy, o czwartej nad ranem, gdy mgła otulała dzielnicę, a on pochylał się nad kolejną ofiarą, miał wrażenie, że Whitechapel opustoszało.

Mgła wytłumia dźwięki. Ale Burroughs znał „kwadrat” jak własną kieszeń. Nawet w najgorszą pogodę kręcili się tu nocami złoczyńcy, klienci burdeli oraz ulicznice. Dziś jednak wszystko jakby zamarło. Burroughs słyszał tylko własny przyspieszony oddech.

Siódma ofiara. Elegancka młoda dama, która nigdy w życiu nie postawiłaby stopy w tej dzielnicy. Leżała na plecach, z rozrzuconymi rękami, szkliste oczy zdawały się wpatrywać się w niebo. Porzucona mufka spoczywała tuż obok, poplamiona krwią, która zlepiała również jasne włosy dziewczyny, tworząc ciemną skorupę na skroni.

Siódma ofiara. Siódma, myślał tępo Burroughs. Coś ścisnęło go w żołądku. Przeklęty Rzeźnik od trzech lat bawił się z policją w kotka i myszkę. Nie zostawiał żadnych śladów, które pozwoliłyby pchnąć śledztwo dalej. Nadinspektor przymknął oczy. Podczas ostatniej rozmowy burmistrz wyraził się jasno w kwestii braku postępów.

Burroughs wiedział, że jego kariera wisi na włosku. A teraz znaleziono kolejną ofiarę...

Otworzył oczy, odetchnął głęboko, próbując opanować kipiący w nim gniew. Przykucnął przy ciele, notując w pamięci wszystkie szczegóły. Myśl. Myśl! Powoli zaczął mu się układać pełen obraz.

Próbowała się zasłonić. Uniosła dłonie otulone mufką, ale dostała w skroń. Jeden cios? A może więcej? Pochylił się, przyjrzał ranie, jednak nie dotknął ciała. Spojrzał na rękawiczki. Idealnie białe. A więc nie walczyła, nie czołgała się.

– Gdzie lekarz?! – podniósł głos. Młody konstabl – jeden z dwóch, którzy znaleźli zwłoki – cofnął się odruchowo.

– Vickers pobiegł... – bąknął. Burroughs zdusił cisnące się na usta przekleństwo. Wcisnął dłonie do kieszeni płaszcza; od dawna miał ochotę się napić, ale teraz po prostu czuł, że musi. Wyobraził sobie zimne piwo, spływające do gardła... Zadrżał, zacisnął powieki. Jedno, choć jedno. Nie! Nie chciał, nie mógł stracić pracy, a *wtedy* był już tego blisko. Przeklęty Slocum, służbista, omal go nie wydał! Na szczęście poradził sobie z nim, ale od tamtej pory był bardzo ostrożny. Napić się, do diabła, nie, nie wolno mu!

Otworzył oczy. Mgła zgęstniała jeszcze bardziej; mleczone, rozsnute w przedświcie pasma zmieniły się w brudnobiałe kłęby. Burroughs usilnie starał się opanować, ale gorzkie myśli pędziły jak oszalałe.

Chryste, jak nic go wywałą. Już poprzednio padały oskarżenia o niekompetencję. Teraz nie uratuje go ani komisarz miejskiej policji, ani burmistrz. Nikt go nie uratuje. *Gdyby był tu Slocum*, przemknęło mu przez myśl. I wtem prawda, którą tak odrzucał, stała się nagle oczywista.

Tylko Slocum mógł go uratować.

Konstabl Browne przyglądał się, jak nadinspektor spaceruje wzdłuż ściany budynku, gestykulując i mamrocząc coś pod nosem. Skrzywił się. Nasłuchiwał się o Burroughsie od kolegów – że chlejus, który ma plecy u burmistrza i któremu lepiej nie podpaść, bo to kawał sukinsyna. Toteż nie pozwolił sobie nawet na grymas zdziwienia, gdy Burroughs nagle do niego podszedł, podał adres i kazał natychmiast, za wszelką cenę, ściągnąć tu Johna Slocuma.

I znów zapadła cisza. Wkrótce zacznie świtać. Nadinspektor opuścił wzrok i czekał, próbując nie myśleć, jak bardzo jest żaloszny, zwracając się o pomoc właśnie do *niego*. Gotów był na wszystko, aby utrzymać robotę. *Zawsze* był. Zaciśnął szczęki i skupił się na analizie sprawy. Te same pytania, o których myślał wcześniej, zadawał sobie i teraz.

Dlaczego Rzeźnik zabijał właśnie tu, w Whitechapel? Czemu wybierał kobiety z wyższych sfer? Mordował zawsze w godzinach nocnych, blisko świtu, i zawsze wtedy była mgła. Siódma ofiara... Żadna z nich nie postawiłaby stopy w tak parszywym miejscu jak to. Dlaczego więc, do diabła, wszystkie wyszły w nocy z mordercą, w dodatku szykownie ubrane?!

– Bo mu ufały.

Burroughs drgnął; przez moment miał wrażenie, że czuje na karku oddech dawnego współpracownika, który szepcze mu do ucha. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł nikogo. Nagle z mgły wyłonił się były detektyw John Slocum, jak zwykle bez kapelusza i z psem u boku; patrzył przenikliwie ciemnymi oczami spod grzywy czarnych włosów.

Burroughs odruchowo zaciśnął pięści. Przez chwilę zerkali na siebie niczym zawodnicy na ringu. Na ustach nowo przybyłego pojawił się drwiący uśmieszek. *Nie zmienił się*, pomyślał Burroughs. Mimo upływu prawie dziesięciu lat Slocum wyglądał tak, jak go zapamiętał.

– Policja zaiste musi być w potrzebie, skoro mnie wzywa. – W głosie Slocuma zabrzmiała ironia. – Oczywiście jest to nieoficjalne wezwanie? Prywatna inicjatywa pana *nadinspektora*?

Burroughs odchrząknął.

– Gdyby to ode mnie zależało, to sam wiesz, że...

– ... zrobiłbyś wszystko, aby przywrócono mnie do pracy. To oczywiste.

On wie, uświadomił sobie Burroughs. I zawsze wiedział, choć nie dał tego po sobie poznać, czyj donos sprawił, że wyleciał z pracy. To dlatego się pojawił – aby odzyskać honor. Pokazać, kto jest i zawsze był tym lepszym i bystrzejszym. Odnaleźć mordercę i odejść, z podniesioną głową i szyderstwem na twarzy.

– Chcesz? – W dłoni Slocuma pojawiła się piersiówka. Coś szarpnęło trzewiami Burroughsa; wyciągnął odruchowo dłoń.

– Nie! – Cofnął rękę, ale było już za późno. Slocum pokręcił głową.

– Czyli wszystko po staremu – skwitował i schował piersiówkę do kieszeni. – Wciąż chlejesz w pracy?

– Nie. – Burroughs wiedział, że musi znieść drwiny Slocuma. – To się zdarzyło tylko raz.

– Fakt. Tylko raz przyłapałem cię pijanego na służbie. – Slocum wyminął Burroughsa i podszedł do ciała. Pies spokojnie dreptał za nim. – Miałeś szczęście, że parę dni później wylano mnie i nie zdążyłem podać cię do raportu. Spokojna głowa, tchórze, jakbym chciał cię udupić, to bym to zrobił od razu. Teraz mam inne rzeczy na głowie. Co wiesz o mordercy?

Burroughs usiłował się uspokoić.

– Nic. To znaczy...

– Nic – westchnął Slocum teatralnie. – No tak, nadinspektor Burroughs w pełnej krasie. To chyba oczywiste, że to ktoś z wyższej sfery, budzący zaufanie, znający wszystkie ofiary.

– To wiem! – Burroughs nie miał zamiaru pozwalać się dalej poniżać. – Wysoki mężczyzna, około sześciu stóp wzrostu, praworęczny. Między palcami jednej z ofiar znaleziono pasmo siwych włosów, więc niezbyt młody, czterdzieści lat, pięćdziesiąt. I nie jest to kobieta. – Spojrzał wyzywająco na Slocuma. – Włosy były za krótkie.

Były detektyw pokiwał głową.

– Nieźle, nieźle. Co jeszcze o nim wiesz?

– Niewiele. Żadnych świadków zbrodni, jedynie... – urwał. Po chwili dokończył: – Po czwartym morderstwie zgłosiła się do mnie jedna ulicznica. Stała na rogu, gdy usłyszała jakieś dziwne dźwięki w pobliżu. Wystraszyła się i schowała w bramie. Wtedy minął ją wysoki mężczyzna z białą maską na twarzy.

– Zabójstwo panny Wickham – mruknął Slocum.

– Tak. – Burroughs przyjrzał mu się uważnie. – Zaraz, a ty skąd o tym wiesz? To są tajne informacje z policyjnych raportów!

– Aleś ty głupi – warknął Slocum. Pies pisnął niespokojnie, wyczuwając napięcie. – Potrafię dostać się do waszego wielce tajnego archiwum i dowiedzieć tego, czego chcę. Od początku śledziłem tę sprawę. A w sumie to prowadziłem ją na własną rękę.

W zadumie pogłaskał psa.

– Dam ci mordercę – powiedział. – Tak, dobrze mnie słyszałeś. Nie wytrzeszczaj tak na mnie gał. Podam ci skurwysyna prosto na talerzu, ale pamiętaj, to ty musisz zdobyć dowody i doprowadzić go pod sąd.

Nadinspektor poczuł się, jakby ktoś uderzył go prosto w żołądek. *Dam ci mordercę*, powiedział Slocum, ot tak sobie, jakby mówił o rzeczy prostej i zwyczajnej. A on, Burroughs, przyjął milcząco i jako rzecz oczywistą, że Slocum wie, kto jest zbrodniarzem. Nagle wszystko zaczęło zmierzać we właściwym kierunku. Wraz ze Slocumem pojawiła się pewność, że w mieście znów zapanuje względny spokój, a on będzie mógł wreszcie zasypiać bez majaków i poczucia, że gdy tylko zamknie oczy, ktoś załomocze do drzwi, wyrwijąc go z ciepłego łóżka prosto w noc i mgłę.

– Zrobię to – wychrypiał. – Jeśli wskażesz mi mordercę, postawię go przed sądem. Prześlę każdą sekundę jego życia, ale znajdę dowody, że to on zrobił.

Slocum pokiwał głową.

– Tylko ich nie fabrykuj – zaszydził. – Mówimy o człowieku z wyższej sfery, na którego dowody muszą być niepodważalne. I pamiętaj, nie będziesz miał na to wiele czasu. Musisz się spieszyć.

– Poradzę sobie – odparł szorstko Burroughs. Przetarł dłonią oczy, potarł nieogoloną brodę. Był gotów do działania; zmęczenie i niewyspanie zniknęło, zastąpione buzującą energią, która tliła się gdzieś w środku, gotowa wybuchnąć. – Zaczynamy.

Slocum przyglądał mu się przez moment nieodgadnionym wzrokiem.

– Nie będzie już odwrotu. Raz puszczona w ruch machina... Nieważne. Wiesz, bylibyśmy dobrymi współpracownikami. Ty jesteś dokładny i skrupulatny, bez polotu, za to jak pies gończy, który cierpliwie goni ofiarę, póki jej nie dopadnie. Ja zaś mam intuicję i nie myślę schematami.

– Tak. Szkoda, że...

– Szkoda. Pewnie. Zwłaszcza mnie. Ale pewnych rzeczy nie da się cofnąć, więc nie zwracajmy sobie nimi głowy.

I wtedy do Burroughsa dotarło, że coś tu jest nie w porządku. Rozejrzał się. Było cicho, noc wydawała się w ogóle nie odchodzić. Nadinspektor czuł, że są tu ze Slocumem zupełnie sami. Sami? Ale...

– Gdzie jest Browne? – zapytał ostro. – I lekarz? Do diabła, gdzie są wszyscy?

– Browne?

– Konstabl, który po ciebie pobiegł!

– Ach. Konstabl Browne... – Na twarzy Slocuma pojawił się dziwny wyraz. – Kazałem mu się nie spieszyć.

Kłamał. Browne potrzebowałby jakieś pół godziny, aby dotrzeć do mieszkania Slocuma. Co najmniej tyle samo, aby Slocum tu się zjawił. A przecież nawet jeszcze nie świtało. Która w ogóle była godzina? Burroughs miał wrażenie, że czas się zatrzymał.

On tu był, pomyślał. Cały czas był w pobliżu. Browne po niego pobiegł, a on tu czekał, we mgle...

Ale to nie było istotne. Burroughs nie chciał myśleć, jakim cudem Slocum mógł się znaleźć na miejscu zbrodni tuż po nim – zbyt szybko jak na kogoś, kto dostałby cynk od chociażby Vickersa. Skoro nie zdążył tu dotrzeć nawet medyk... Nie, Slocum był zawsze dziwny. Można się było po nim spodziewać wszystkiego. Ale czy i tego, że śledząc mordercę, pozwolił na kolejne zabójstwo, po czym ukrył się, czekając na niego, Burroughsa?

– Zbliź się – powiedział szorstko Slocum. Nadinspektor go usłuchał. Obaj przyklęknęli obok ciała.

– A teraz patrz!

Były detektyw pogłaskał psa, szeptem rzucił mu kilka komend. Pies zamerdzał ogonem, zbliżył się do zamordowanej dziewczyny i począł ją obwąchiwać. Nagle zastygł na moment w bezruchu, potem uniósł łeb, zjeżył sierść. Z jego gardła wydobyło się ciche, złowróżbne warczenie. A potem jął się powoli odwracać w kierunku ulicy.

– Złapał trop. – W oczach Slocuma było coś dzikiego. Zerwał się na równe nogi; pies zaczął się szarpać się na smyczy jak oszalały. – Prędko! On jest w pobliżu! – Z tymi słowami wybiegł na ulicę i zniknął we mgle. Burroughs zawahał się tylko przez ułamek sekundy – zostawić zwłoki bez ochrony i biec za Slocumem? – gdy nagle oczom nadinspektora ukazała się postawna sylwetka lekarza, a zaraz potem Vickers i pozostali. Burroughs nie czekał dłużej. Puścił się do biegu niemal na oślep, gnając ulicą w tym samym kierunku co Slocum.

Nie dam rady, pomyślał. Serce łomotało mu jak szalone, pot zlewał czoło; pokaźny brzuch także nie ułatwiał sprawy. Ale po chwili dostrzegł, że Slocum zwolnił tempa. Dopędził go na rogu ulicy.

– Zwolnij! – wrzasnął.

– Złapiemy mordercę! – odkrzyknął Slocum i przyspieszył. Burroughs gonił go ostatkiem sił. Przebiegli kilka ulic i gdy nadinspektor miał wrażenie, że dłużej już naprawdę nie wytrzyma, dostrzegł, w którym kierunku zmierza pies. Na ulicy stał elegancki powóz, do którego wsiadało dwóch dżentelmenów. *Ufały mordercy, powiedział Slocum i tak, miał rację,*

do diabła, miał rację! To był dżentelmen – z nikim innym szanująca się dama nie wyszłaby w nocy z domu!

Jeden z mężczyzn odwrócił się. *Wszystko przepadnie!* – pomyślał Burroughs. *Zaraz wskoczą do powozu!* Ale w tym momencie Slocum puścił smycz. Pies wyrwał w przód i ze wściekłym ujadaniem rzucił się na człowieka, chwytając zębami połę jego płaszcza.

– Co, do diabła...?! – Zaatakowany zamachnął się laską. Slocum dopadł go jednym susem, wytrącił mu laskę z ręki i odciągnął psa, który szczekał jak opętany. Burroughs zamarł. Oczy mężczyzny, którego głos rozpoznał, przyglądały mu się spod maski.

– Ja... – Głos uwiązał mu w gardle. – Ja...

– Tak?

Ten spokojny, zimny głos...

– Proszę o wybaczenie. – Nadinspektor schylił się, podniósł laskę i wręczył ją właścicielowi. – Ścigamy zbiegłego przestępcę. Zechcą panowie wybaczyć...

– Pies go wskazał, Burroughs – rzucił ostro Slocum.

Zimne oczy zamaskowanego zlustrowały uważnie byłego detektywa, który odpowiedział hardą miną.

– Idziemy stąd. Już! – Burroughs skłonił się, a widząc, że Slocum stoi sztywno wyprostowany i nie zdradza chęci odejścia, chwycił go za ramię. W oczach byłego detektywa lśniła pogarda. Ale Burroughs nie miał zamiaru ustąpić. Wreszcie Slocum prychnął, strącił dłoń nadinspektora z ramienia, odwrócił się i odszedł. Burroughs podążył za nim, czując wzrok obu mężczyzn na plecach. Dopiero, gdy skręcili za róg, wypuścił z płuc powietrze.

– Ty tchórze – rzekł zimno Slocum. – Podalem ci mordercę na tacy. Uprzedzałem, że to nie byle chłystek.

Nadinspektor patrzył tępo przed siebie.

– Rozpoznałeś ten głos?

– Jasne – warknął Slocum. – Swego czasu i mnie zdarzało się odbierać od burmistrza Londynu gratulacje za zasługi.

– Slocum... – Burroughs ledwo mówił. – On też nas rozpoznał.

– Zamierzasz coś z tym zrobić? – Pytanie nie doczekało się odpowiedzi. Slocum wzruszył ramionami i kontynuował oziębłym tonem: – Przed chwilą stałeś twarzą w twarz z mordercą, który cię rozpoznał i wie, że ty jego też. Uprzedzałem cię, że będziesz miał mało czasu na działania. Teraz rozpoczynasz grę.

Burroughs nie chciał tego słuchać, ale strach ścisnął mu gardło. *Wiem, co będzie dalej, zamknij się, nic nie mów, po prostu się zamknij. Daj mi pomyśleć...*

– Lada moment siepacze burmistrza ruszą do akcji – ciągnął beznamiętnie Slocum. – Znajdą cię w każdym zakątku Londynu. Jesteś bezpieczny tylko w jednym miejscu. Wracaj natychmiast na posterunek i nie opuszczaj go, póki nie wsadzisz sukinsyna za kratki. Niech Vickers ściągnie głównego komendanta. A ty nie wychodź z posterunku. Pod żadnym pozorem! Powiedz o wszystkim Browne’owi, niech cię pilnuje. Jemu możesz zaufać. Burroughs, do cholery, czy ty mnie słuchasz?

Nadinspektor poczuł, że Slocum klepie go w policzek. Ale jedynym, o czym był w stanie myśleć, było to, że lada dzień zginie. Z nożem w plecach albo poderżniętym gardłem...

– Psia mać! – wybuchnął Slocum. Przeczesał dłonią włosy, a jego oczy stały się jeszcze bardziej dzikie. – A więc tak to ma wyglądać! Niech to szlag, zostawiłbym cię tutaj na pastwę losu, tchórze, ale nie mogę! – Przez moment oddychał ciężko, próbując się uspokoić. – No dobrze. W takim razie chodź ze mną. Zrobimy sobie spacer, a ja powiem ci o czymś, co sprawi, że zmienisz zdanie i zaczniesz wreszcie coś robić. Pojmujesz, że nie masz innego wyjścia?

– Ja... Tak. Dokąd...?

– Nad Tamizę. No, rusz się, przecież cię nie utopię!

Slocum prowadził. Burroughs włókł się za nim, nie wiedząc, po co idą, ale było mu wszystko jedno. Gdy dotarli nad rzekę i stanęli na brzegu, nieco ocucił go chłód bijący od wody. Spojrzał na czarną taflę. Myśl, która przemknęła mu przez głowę, nagle wydała się niesłychanie kusząca.

– Mamy bardzo mało czasu – odezwał się Slocum.

– Chciałeś chyba powiedzieć, że *ja* mam. – Burroughs nie odrywał oczu od wody. – Choć w sumie ty też. On nas obu widział. Ciebie też rozpoznał.

Dlatego dostałem awans. Dlatego tak długo się utrzymałem. Ten śmieć uważał mnie za zwykłego durnia...

– Nic mi nie zrobi – odparł Slocum spokojnie. – A teraz słuchaj. Walka toczy się o najwyższą stawkę i nie myśl nawet o ucieczce. Musisz wystąpić przeciwko burmistrzowi i wsadzić go za kratki. Wiesz, co cię czeka, jeśli tego nie zrobisz?

– Tak – prychnął Burroughs. – Obaj to wiemy.

– *Ja* wiem. Ty wciąż nie rozumiesz do końca. Pamiętasz pierwsze śledztwo, przy którym ci asystowałem?

– Pierwsze... a po diabła...?

– Pamiętasz?!

Jak mógłby zapomnieć? To był właściciel pubu, wiszący na własnym pasku, który cudem utrzymał ciężar ogromnego cielska. Oczywiście samobójstwo, jak stwierdził Burroughs – co młody konstabl Slocum obalił w ciągu trzech dni, dostarczając dowody, że było to morderstwo. To wtedy Burroughs patrzył długo w chłodne oczy konstabla, myśląc: *Jesteś dla mnie zagrożeniem*. A ciemne oczy Slocuma zdawały się odpowiadać: *Wiem*.

– Pamiętam raport lekarza – zaczął Slocum cicho. – Człowiek wszedł na krzesło, założył pętlę na szyję, odepchnął krzesło. Miał lekką śmierć jak na wisielca, bo momentalne skręcił kark. Inni nie mają tak łatwo. Czasami wiszą i dyndają, dopóki się nie uduszą.

– Zamknij się!

– Już kończę! Wiesz, czemu ci o tym opowiadam? Bo gdy w atmosferze hańby wylano mnie z policji, byłem skończony. Po paru latach harówki jako robotnik, uciekłem do Walii. Ale i tam zostałem robotnikiem. Myślałem, że może poza Londynem uda mi się zaczepić na jakimś posterunku. Ale zła sława ciągnęła się za mną. Nie wiem, czy maczałeś w tym palce, i nie chcę tego nawet wiedzieć. Harowałem jak wół, a i tak ledwo starczało mi na utrzymanie. W końcu zacząłem pić. Tak, Burroughs, chlałem od rana do nocy. A gdy straciłem ostatnią pracę, wiedziałem, że to koniec. I wtedy postanowiłem się zabić.

Ton głosu Slocuma był tak chłodny i beznamiętny, że Burroughs aż się wzdrygnął. Lata temu pozbył się go bez uczucia żalu, odczuwając cichą, mściwą radość, że genialne dziecko policji odeszło na boczny tor, zniknęło i już mu nie zagraża. Ale patrzeć w oczy człowieka, którego się skrzywdziło...

– Nie miałem pieniędzy nawet na to, aby się zapić na śmierć – kontynuował Slocum. – Więc napisałem list, prosząc sąsiadów o zaopiekowanie się psem, pożegnałem Lilly – pies pisnął cicho i zastrzygł uszami – wlałem na krzesło, przymocowałem sznur, założyłem pętlę, kopnąłem krzesło. Ale nie miałem tyle szczęścia, co tamten.

– Na Boga – wychrypiał Burroughs. – Człowieku, jak nie miałeś tyle szczęścia? Przeżyłeś! Do diabła, tamten się powiesił, ale ty nadal żyjesz!

– No to patrz! – Slocum rozpiął u góry płaszcz. Oczom Burroughsa ukazała się blada, napuchnięta szyja z posiniałą pręgą. Zamrugnął, otworzył usta, spojrzał prosto w twarz Slocuma – i wtedy zrozumiał, że patrzy w oczy trupowi. Nagle pojął, że ten nieświeży

zapach, który cały czas czuł, to nie był smród Tamizy, ale nasilający się z każdą chwilą fetor rozkładającego się ciała. Cofnął się, zatykając dłonią usta. Żołądek podszedł mu do gardła.

– Powiesiłem się – szepnął umarłak. – Ale coś poszło nie tak. Zamiast umrzeć błyskawicznie, jak tamten, wisiałem na pasku i konałem w mękach tak długo, jak to tylko możliwe. Umierałem powoli, obracając się wokół własnej osi i modląc, aby agonia wreszcie się skończyła. Ale Bóg nie wysłuchał ostatniej prośby samobójcy! – podniósł głos do krzyku. – Wiesz, kiedy mnie znaleziono? Po dwóch dniach! Dwóch dniach, łachu! A moja Lilly... – Jego twarz wykrzywiła się furią. – Umarła z tęsknoty! Wychowałem ją od szczeniaka, a jej z żalu pękło serce! Warto było, śmieciu? Warto było?

– O Boże drogi... – jęknął Burroughs. – Ja nie... ja nie wiedziałem, o Chryste, nie wiedziałem, że ty...

– Nieważne! To jest teraz nieważne! – warknął Slocum. – Słuchaj! Nie przyszedłem tu dla zemsty. Jesteś moją czyścownicą pokutą. Idziesz prostą drogą do piekła, a ja mam cię z niej zawrócić.

Burroughs nie mógł oderwać wzroku od sinej pręgi.

– Twój zegar śmierci wkrótce skończy bieg. – Ton głosu Slocuma był już niemal spokojny. – I to jest w sumie dość zabawne. Bo widzisz, sprawa się nieco skomplikowała. Tym, co może cię uratować przed wiecznym potępieniem, jest ofiarowanie własnego życia w zamian za unieszkodliwienie mordercy. A w chwili, gdy burmistrz cię rozpoznał, podpisałeś na sobie wyrok rychłej śmierci. Zegar przyspieszył swój bieg.

– Zegar? – wymamrotał Burroughs. – To znaczy, że ja... umrę?

– No skąd, będziesz żył wiecznie – zadrwił Slocum. – Sęk w tym, że jeszcze godzinę temu twoje życie miało być... no, powiedzmy, że parę lat byś jeszcze pociągnął. Ale wtedy pofrunąłbyś po śmierci tam, gdzie nikt z nas nie chciałby trafić.

Serce Burroughsa łomotało jak oszalałe. To była dziwna noc, tak odrealniona i przerażająca, że trudno byłoby ją sobie wyśnić w najgorszym nawet koszmarze. A jednak, o dziwo, nagle przestał odczuwać lęk. Miał wrażenie, że znieczulił się, zobojętniał. Wszystko jakby przepływało obok niego.

– Więc kiedy pobiegłem za tobą... i on mnie rozpoznał... podpisałem na siebie wyrok, tak?

– Wyrok szybszej śmierci, tak.

W oczach nadinspektora pojawiło się pytanie.

– Nie! – uciął Slocum. – Nie powiem ci, kiedy. Słuchałeś, co do ciebie mówiłem? Masz niewiele czasu. Zaczynij działać, natychmiast. Idź na komisariat. Wezwij głównego komisarza. Trzymaj się Browne’a.

Burroughs stał jak skamieniały.

– Idź na komisariat – powtórzył Slocum dziwnie łagodnym tonem. – Zdążysz. Jeszcze jesteś bezpieczny.

– Ile? Slocum, ile?!

Były detektyw pokręcił głową.

– Idź. Na Boga, nie marnuj czasu. I pamiętaj, że zegar śmierci raz przyspiesza, a innym razem zawraca swój bieg. To zależy od ciebie, twojej... rozwagi. Nie bądź tchórzem. Ratuj siebie, ratuj kolejne ofiary. Ja nie mogę ci dalej pomagać. Zrobiłem, co mogłem.

Burroughs patrzył, jak Slocum odchodzi, nie zatrzymując się ani nie odwracając. Zmarły przez chwilę szedł nadbrzeżem, a potem nagle rozpląnął się w świetle poranka. Nadinspektor zamrugał. Chyba chciał coś powiedzieć, wcześniej, zanim jeszcze Slocum odszedł, ale co to było? Nic. Zupełnie nic. Gdzieś z tyłu głowy majaczyło, że opuścił miejsce zbrodni, powinien tam wrócić. *Nie. Na komisariat.* Wzdrygnął się, postawił kołnierz i ruszył przed siebie. Chłód poranka studził jego emocje, a z każdym krokiem wracała zdolność logicznego myślenia.

Zdążysz, powiedział Slocum. Zegar śmierci przyspiesza, ale także cofa swój bieg.

Jestem jeszcze bezpieczny, myślał Burroughs, pakując walizkę. Zegar śmierci można cofnąć, dumał, zatrzymując dorożkę. Nie ma głupich, skostatował, stojąc na peronie.

Gdyby zrobił to, co sugerował Slocum, zostałby w Londynie i dał się zabić, bez gwarancji, że powieszą Rzeźnika. Wtedy zginąłby na próżno.

(Tak, wierzył Slocumowi. Wierzył w to, co zobaczył.)

Trzeba więc było rozwiązać sprawę i nie dać się zabić. Tu nie mógł się czuć bezpieczny. Mieszkanie z oczywistych względów musiał opuścić. Ale Kornwalia? Mała rybacka osada, w której kiedyś spędził urlop, była idealnym schronieniem do czasu, aż burmistrz zawiśnie.

W zadumie spacerował po peronie. Niechcący potracił ubraną na czarno damę; cofnął się, przeprosił i zderzył się z wysokim elegantem.

– Najmocniej przepraszam! – usłyszał. Mężczyzna zniknął w tłumie, a Burroughs schylił się po walizkę, którą upuścił. Nagle zrobiło mu się słabo, świat zawirował; poczuł ostre klucie w podbrzuszu. Rozmasował bolące miejsce, ale nie pomogło. Chwiejnym krokiem podszedł do ściany, oparł się o nią i nagle zrozumiał, że coś wilgotnego rozlewa mu się po dłoni.

I wtedy upadł. Leżał na peronie w dziwnym otępieniu; ból nadal się w niego wgryzał, ale teraz wszystko zdawało się falować. Głosy, okrzyki, pochylające się nad nim przerażone twarze...

Jedna twarz wysunęła się naprzód. Młody mężczyzna w policyjnym stroju. Konstabl. „Proszę leżeć spokojnie”, mówił. Nagle Burroughs zrozumiał, że to koniec, umrze lada moment, na tym cholernym peronie. Umrze, ale... pociągnie za sobą kogoś jeszcze.

Drżącą ręką sięgnął za pazuchę i wyjął grubą kopertę. Poruszył ustami, ale głos z trudem przeciskał mu się przez gardło.

– Co pan mówi, sir? – Konstabl pochylił się nad nim. Burroughs wcisnął mu kopertę do ręki.

– Przekaż to... komendantowi głównemu... – Jak ciężko było walczyć o każdy oddech, każde słowo! – Sprawa Rzeźnika... Whitechapel... rąk własnych... obiecaj!

Konstabl patrzył na niego z przerażeniem.

– Mój Boże, ja pana znam! Pan nadinspektor! – Ścisnął w dłoniach kopertę. – Daję słowo honoru, że dostarczę to osobiście. A teraz niech pan leży spokojnie. Proszę nic więcej nie mówić.

Ale Burroughs *musiał* to powiedzieć.

– Przekażcie zeznanie... John Slocum... – Krew zatamowała mu usta, kaszlnął, walcząc o oddech. – On... niewinny. Dowody... podrzuciłem... fałszywe. Powiedzcie... on niewinny... oczyście...

– Sir? – Konstabl Mark Whitman pochylił się nad konającym, ale nie usłyszał już ani słowa. Martwe oczy nadinspektora Waltera Burroughsa niczego już nie widziały.

To był bardzo dobry dzień. Ubrany w ciepły płaszcz i maskę burmistrz spacerował brzegiem Tamizy, z rozkoszą zanurzając się w nocnej mgle. Kochał Whitechapel od chwili, gdy jako dorastający chłopiec wymknął się rodzicom, by samodzielnie odkrywać tajemnice zakazanej dzielnicy. W wieku piętnastu lat po raz pierwszy zaznał rozkoszy z uliczną dziwką, którą w ekstazie chwycił za szyję i udusił. I wówczas zrozumiał, że znalazł swoje miejsce na ziemi.

Nie bał się chadzać wąskimi uliczkami, nawet nocą. Zawsze nosił przy sobie pistolety, a przemyślnie skonstruowana laska kryła w sobie wysuwane ostrze sztyletu.

Colters jak zwykle nie zawiódł – nie trzeba go było uczyć fachu. Pozbył się Burroughsa i przyuważył przekazanie koperty. Uczynny konstabl też już gryzie ziemię, a zeznania nadinspektora wylądowały w kominku. Wszystko się rozwiązało, a on mógł znów oddać się przyjemnościom...

Pogrążony w myślach na temat kolejnej ślicznotki, młodziutkiej i naiwnej córki zubożalego hrabiego, nad którą począł już pracować, nie dostrzegł, że nie jest już sam.

Frankie nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Tej nocy nie spodziewał się żadnego łupu, a tu proszę, spaceruje sobie taki elegancik. *No i git*, pomyślał, wyciągając nóż. Ciemno jest, gość nawet nie zauważy, jak się go ciachnie. Zaciuka się go, buchnie sakiewkę, potem wrzuci trupa do wody i nogi za pas.

Frankie powoli ruszył za spacerowiczem. Szedł bezszelestnie, z nożem w dłoni. Jeszcze tylko parę jardów, jeden ruch, ciachnięcie... Nagle zatrzymał się jak wryty, nóż migiem powędrował do rękawa. Z mgły wychynęła trzecia osoba, tak niespodziewanie, że Frankie aż się wzdrygnął.

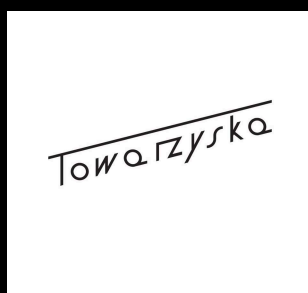
Psiakrew, pomyślał, wycofując się. *Taki łup!* Że też natknął się akurat na Burroughsa! Dobrze, że jeszcze nie dostał od niego w kark! No ale wychowali się po sąsiedzku, głupio byłoby tak łać kumpla z dzieciństwa, nie? Zresztą Burroughs sam miał pewnie interes do tego eleganta, widać było, że za nim polazł.

Zniechęcony Frankie ruszył dalej, szukając innej okazji. Wydawało mu się, że z oddali dobiegł go czyjś krzyk, ale co go to obchodziło? W końcu to Whitechapel. Tu zawsze zdarza się coś złego.

PARTNERZY



STRASZNE-HISTORIE.PL ODWAŻYSZ SIĘ?!





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

